

Mateusz Marczewski  
Niewidzialni

wydawnictwo- Czarne

Wołowiec 2008

Projekt okładki i stron tytułowych Agnieszka pasierska

Fotografia na okładce © by anna hatłas

Zdjęcie Autora © by anna hatłas

Copyright © by mateusz Marczewski 2008

Redakcja Małgorzata uzarowicz

Korekta Magdalena Kędzierska / d2D.pl

BARBARA SIERADZKA / D2D.PL

Projekt typograficzny, skład robert oleś/D2D.pl

ISBN 978-83-7536-052-3

Tokampini

Nie można tego zjawiska nazwać, ale można spróbować je opisać. Opisać obrazy, które być może coś wyjaśnią, nakreślą jakąś prawdę. Te obrazy są wciąż żywe. Będą więc służyć za ilustracje. Ale - z drugiej strony - po co o tym pisać? Przecież to takie oczywiste: odmienności zawsze się odpychają, zawsze pozostanie zatem nierównowaga: rasa ponad rasę, kolor skóry ponad kolor skóry. Kolor jest jednak zbyt banalnym kryterium. Jest widoczny, nachalny, wyróżniający, stosowany jako przymiotnik staje się natychmiast obraźliwym epitetem. Trzeba zatem oprzeć się na innym podziale: mentalność ponad mentalność. Tu właśnie zaczyna się wszystko. Są więc oni - Aborygeni - i jest ostrze cywilizacji. Cywilizacja do nich przyszła i muszą z nią dzielić ziemię. Miasta białych są rozłożone na wzgórzach, są w żyznych i cienistych dolinach, w miejscach, gdzie dobrze być, żeby przetrwać w nieprzychylnym klimacie. Żeby trwać, błyszczyć w środku nocy rozedrganymi światłami, pasami autostrad, samochodami, które po nich pędzą i układają się w podłużne czerwone linie powstałe od tylnych świateł. Linie jak pręgi, jak blizny. W ten sposób my mamy miasta, oni mają za to Nicość - spalone słońcem pustkowia. I jest coś jeszcze: trwająca od dziesięcioleci nieudana próba przeniknięcia tej drugiej kultury, oswojenia jej. I to jest już cała historia.

Aborygeni są jak dzieci. Jak porzucone i bezprizorne skurwysyny, które w mieście rzucają w ciebie butelką za nic - tak dla echa rozbijanego szkła, dla deszczu okruchów, żeby zaraz potem uciec i czatować w ruinach, w które zamienili swoje dzielnice. Śmierdzą i przechodzą grupami jak ciemny, ale silny gatunek budzący jednocześnie strach i politowanie. Zostaw przed domem w ogrodzie rower, a pod osłoną nocy oni go ukradną. Idź w Sydney przez dzielnicę Redfern wieczorem. Idź na stację kolejki wzdłuż ścian, na których wymalowany jest kolor ich gniewu i rewolucji - aborygeńskie flagi: poziomy pas czerwony i wyżej czarny, z żółtym kołem pośrodku. Te flagi na ścianach są wielkie jak domy, flagi o fakturze muru, idź tamtędy, a wynurzą się jak drapieżniki. Nagle i z ciemności. Pobicie, gwałt, rubryki policyjne. Ludzie w Sydney boją się tej zwierzęcej, tej dzikiej... no, jak to powiedzieć... wiesz... oni są po prostu inni, jacyś tacy straszni... musiałbyś tu dłużej pomieszkać.

Są jak dzieci. Zepsute, ogłupiałe kolorową okładką świata, który nastał, osadzone nakazem w maleńkiej wsi, community, kontrolowanej przez lokalną policję. Czasem mieszkają w jednym wskazanym obszarze miasta, w dzielnicy takiej właśnie jak Redfern w Sydney. Tworzą tam swoje własne zakłete rewiry. Zaprzeczają tym samym otaczającemu ich miastu, błyszczącym wieżom jego city, wesołemu tłumowi mieszkańców. Domy Aborygenów w Redfern wyglądają jak po powstaniu: okna wybite, czarne wnętrza i rozpadliny w murach powiewają strzępami gazet, zaparkowane samochody to kupa rdzy, domino z blachy porzucone na chodnikach. I jeszcze ogniska, i slalom pijanych mieszkańców tego getta. Ktoś gra w nogę, ktoś krzyczy, wołanie metalicznym echem odbija się od wymalowanych gniewem ścian. Miasto tak naprawdę tu nie istnieje. Tu istnieje coś po mieście, równość rzeczy zrównanych z ziemią.

Ale to tylko jedna dzielnica. Szedłem tamtędy i byłem sztywny, nerwowy, jakbym znajdował się w klatce z drapieżnymi zwierzętami, zdany na ich łaskę. Wokół panowało milczenie,

6

może nie zauważyli jeszcze zagubionego białego. Widziałem ich. Stali przy dymiącym koksowniku, siedzieli na wywleczo-

nych z głębi domów kanapach, psy leżały na piachu w słońcu. Kobiety były ciężkie, mężczyźni szczupli, brudni, otumanieni biedą. Za nimi, za parkiem, w niebo strzelały srebrne race wież city i niemożliwe wydawało się, że to, co się dzieje na pierwszym planie, rozgrywa się w centrum pięknego miasta. Ich wygląd, ten wszędobylski bałagan, przypominał wsie centralnej Australii. Szedłem przez Redfern i powtarzałem sobie: „To nie dla was dom, to nie dla was miejsce, trzewia lśniącego miasta wciągają, trzeba uciekać, uciekać, ale nie ma dokąd”. Raz w Alice Springs siedziałem pod sklepem, taką australijską „Biedronką” dla najbiedniejszych, siedziałem na ziemi, zmęczony upałem, który rankiem topił szron po nocy. Wtedy przyszli oni. Szli grupą, zawsze chodzą grupą, samotnie się boją. Dwóch mężczyzn i kobiety. One miały twarze napięte jak bombki choinkowe, alkohol już miał w nich wybuchać, oczy jak szparki, patrzyły po ziemi za petami i szurały bosymi nogami twardymi jak guma. Ubrane były w suknie w kwiaty i dziury.

- Widziałam cię, jak spałeś na wzgórzu dwa dni temu w środku słońca. Tam gdzie kolej jedzie.

- Nie spałem na wzgórzu. Dwa dni temu byłem na północy.

- Mnie nie oszukasz. Widziałam cię tam na wzgórzu. Spałeś w słońcu. Przyjdź dzisiaj do nas, będziemy świętować. Zapytaj o Marg, tak mam na imię. Będziemy wszyscy tańczyli.

- Zobaczę.

Wiem, gdzie mieszkają. Na południowym krańcu miasta, tam gdzie rozpekła się góra i w ciasną szparę pomiędzy jej grzbietami wpada autostrada wylotowa z Alice Springs biegnąca na południe i tory transkontynentalnego „Ghan”. I rzeka Todd, sucha jak śmierć na rycinach, a w zasadzie tylko jej łono, bo ta rzeka jest zupełnie wyschnięta, a na jej dnie robi się co jakiś czas regaty. Bieganie z łodziami na ramieniu. By zabawić

7

mieszkańców Alice zmęczonych słońcem, piaskiem i codziennymi drobnostkami.

Jest tam, po drugiej stronie góry, w jej cieniu, osiedle aborygeńskie. Baraki z blachy falistej, porwane druciane siatki, niesione wiatrem gazety, śmieci na drózkach, dróżki między

śmieciami, widma w dresach przemierzające się w celu zakończenia dnia, bez celu.

Reszta grupy wróciła po Marg, która szła ostatnia.

- Masz papierosa? - Stary w koszuli flanelowej, w kocu narzuconym na ramiona, z twarzą zrytą wiekiem i siwym zarostem.

Unoszę głowę i widzę za nimi światło słońca, i są teraz jak posągi z Wyspy Wielkanocnej, zwaliste, nieruchome kontury, każdy patrzący w inną część świata.

- Nie palę.

- Dlaczego siedzisz na ziemi?

- Nie ma ławek.

- Nie ma ławek, żebyśmy nie siadali przed sklepem. Jak masz na imię?

Podnoszę się i otrzepuję. Mówię mu moje imię.

- A ja jestem Victor. - Dłoń ma suchą i miękką. - Pochodzę z północnego Alice.

I teraz jak zombi powoli schodzą się do mnie, kołysząc się, chcą podejść jak najbliżej, do tej życzliwości niezwyklej, że ktoś ich zauważył, że rozmawiał. Idą więc, kobiety i mężczyźni, marsz gwiazdzisty po placu zastawionym samochodami i wózkami sklepowymi, i każdy, kolejno, uroczyście wymawia swoje imię, i jeszcze dodaje, skąd pochodzi. Niektórzy dorzucają, jak w zeznaniu podatkowym, imię ojca i skąd ojciec pochodzi i są teraz jak dzieci, nagle szczerze, niczym niezniszczone, pozbawione jakiegokolwiek wyrachowania i cynizmu. I ich oczy. Jak czarne kamienie, które kiedyś zaścieniały ziemię, świecące siłą prostą i przejmującą. I to spotkanie trwa chwilę, bo potem odchodzą, a wieczorem znów się upijają, znówu udrećzeni gwarem miasta, nachlani będą się szarpać gdzieś w parkach, znów patrole policyjne będą szperać po

8

krzakach reflektorami, a kobieta z recepcji kampusu, na którym się zatrzymałem, będzie powtarzać, że w centralnej Australii trzeba uważać tylko na Aborygenów i zawsze mieć wodę w butelce. Ale te dzieci w nich są nadal. Wciąż schowane pod maską obojętności ukutą na powitanie.

Wieje w Alice Springs. Wieje poziomo i pionowo, gęstym wiatrem przed południem i lekkim, mroźnym oddechem

przed wieczorem. W nocy szron osiada, żeby bladym rankiem pękała rana wschodu i w tej ranie ukazywała się plama dnia. Biała, matowobiała z żółtym rdzeniem słońca. I już po godzinie faluje nad horyzontem śmiertelna kula, już trzeba się chować, chronić oczy, szron schodzi, znika i dzień robi się gorący. To w końcu pustynia. Potrafię sobie wyobrazić, jak ten wiatr musi ścigać się po płaskim. Pojedyncze góry na pustkowiu, wielka równina. Tylko te krzaki, w których nic nie ma, krzaki leniwych eukaliptusów rozciągające się aż po krańce widzialnego świata. Ten kawałek ziemi wyłoniony z morza, ten kontynent, oprócz żywej linii brzegu, to na przemian busz i pustynia, równiny usiane kamieniem i kępami traw wyglądającymi jak zmarłe jeże. Nadepnij je, a twoja noga zostanie przebita na wylot, przez palce wyjdą igły.

Wiatr wieje więc ponad płaskim i wpada pomiędzy domy i ulice Alice ustawione jak makiety z westernów, bo na ich końcach widać horyzont, a przecież w każdym filmie tak jest. Wiatr wpada i rozchodzi się po kościach. Gdzieś znika. Potem pojawia się dalej, gdzieś za miastem, by znów wzbijać tumany, bałwany, by bić w oczy swoją iglastą, sypką wesołością, od której pękają wysuszone usta. Trzeba zostać w Alice Springs dłużej, aby przyzwyczać się do tej anomalii, która każe sile natury wtłaczać się pomiędzy domy i skręcać w ulice. Wiatr szarpie miastem, ale nic mu nie zrobi. Miasto jest silniejsze. Ziemia oddycha wokół miasta, miasto jest na niej sztucznym pieprzykiem, drobnym znamieniem na jej ciele. Ziemia unosi się lekko i opada, a miasto z nią. Postawione na pustyni jest samotne, lecz zdeterminowane. Woda w rzece umarła, ale i to mu nie przeszkadza. Teraz jest tutaj nowe, przyszło nowe,

9

nie wyniesiemy się stąd. A przecież kiedyś tu miasta nie było, niczego tu nie było albo - jak mówią Aborygeni - tu była ich ziemia pełna znaczeń i niewidzialnych ścieżek. Ziemia, wszystkie fragmenty krajobrazu były przesycone sacrum i niosły przekaz o Czasie Snu. Ziemia była święta. Była łącznikiem pomiędzy ludźmi a zmarłymi. Ale większość Aborygenów już nie umie powiedzieć, na czym polega świętość tych kamieni, kurzu, skalistych rozpadlin, na czym polega ich własne prawo do tej ziemi. Nic nie mówią, być może pamiętają jeszcze, lecz

nie przekładają tego na język mówiony, bo nikt z nowo przybyłych, białych, tego nie rozumie.

Zaobserwowane i znamienne: oni tylko rejestrują powstały problem i egzystują z nim. Jest problem, więc trzeba z nim żyć. Żadnej próby naprawy świata, żadnego sprzeciwu. Biegły operator skalpela jakimś cudem usunął z tego zbiorowego ciała niewielki narząd, komórkę, kulkę metalową, która kazała golemowi działać. Ten operator usunął im nerw sprzeciwu. „Jest jeszcze jutro” - powtarzają. Można nimi sterować jak nakręcanymi zabawkami. Kluczyk do nich to obietnice, karty bankomatowe, z których mogą co tydzień pobierać pieniądze, odosobnienie w buszu, wsie ukryte przed spojrzeniem. Tylko żeby się nie pojawiali - brzmi zbiorowa modlitwa białego społeczeństwa. Tylko żeby siedzieli tam, gdzie siedzą, w swoich dzielnicach, w swoich wsiach, na odludziu i w milczeniu. W swoich dramatach, rozróbach, biedzie pomimo pieniędzy z zapomogi socjalnej. Kogo to obchodzi, co dzieje się w tych małych społecznościach ogarniętych potrzebą picia, palenia, oglądania telewizji i kupowania każdego kolorowego banana, który można znaleźć w marketach Woolworths? Czekolada, napoje gazowane, pączki, chrupki. Postaw je na stole i patrz na nie aż do zmęczenia, aż do zrzygania, i wtedy pojawi się hologram końca pewnej kultury. To takie proste, to łatwiej zrozumieć niż Złotą Gałąź Frazera. To opowieść o barwnej przeszłości, po której chce się umrzeć i obudzić jeszcze raz, może nawet tuż przed początkiem dziejów.

10

W Jabiru jest pięknie. Sznury land cruiserów wyposażonych we wszystko co potrzebne w długiej wakacyjnej podróży ciągną każdego roku po porze deszczowej do Parku Narodowego Kakadu. Głęboka północ, Top End. Wilgoć i żar splatające swoje gęste macki, moskity, krokodyle, wędki z włókien węglowych i linki na kilkunastokilogramowe ryby barramundi. W Parku Narodowym Kakadu biali mieszkają w swoich przyczepach na ogrodzonych kempingach z szeregami lamp subtelnie oświetlającymi zieleń, basenami, łazienkami z wodą podgrzewaną bateriami słonecznymi. Widać go stamtąd doskonale. Stoi przy szlabanie przy wjeździe na teren kampu. Nie muszę nawet wyteżać wzroku, by dostrzec jego niezde-

cydowaną, zgarbioną sylwetkę. Chłopak-mężczyzna. Nigdy nie wiadomo, ile oni mają lat, to potrafi być bardzo złudne, dwudziestolatek wygląda na trzydzieści, czterdziestolatek z powodu picia i zmartwień wygląda jak matuzalem. Chłopak ma koszulę narzuconą na gołe ciało, spodnie, jest bosy. Facet z budki szybko wychodzi na zewnątrz i kulturalnie, ale stanowczo zagradza mu drogę. Trwa to długo, incydent jest niemal niezauważony przez otoczenie. Samochody wjeżdżają na teren kampu i z niego wyjeżdżają, a chłopak stoi, jakby zastygł. Ciemne dłonie trzymają szlaban, nawet gdy ten się podnosi. I przez moment świat stoi przed nim otworem: z basenem, z barem oświetlonym światełkami, z całą przyjemnością wieczoru. Ale po chwili szlaban znów opada i wszystko wraca do dawnego stanu. Trwało to długo, ta bierność, ten czas, w którym wydawało się, że wystarczy mu cieszyć się tymi wszystkimi atrakcjami z odległości, że nasyci się i upije światłami i odległą muzyką, że przy białej budce strażnika, na ciepłym po dniu asfalcie, spełni się tego wieczoru i po chwili odejdzie. Ale tak nie było. Nagle chłopak powiedział coś głośniej, widać było tylko jego ruchy, żadnego głosu, powiedział coś do strażnika, machnął dłonią w nienawiści, tylko machnął. Nic nie chciał zrobić - to było jakby pokazanie, że jest zły; że jest spokojny na zewnątrz, lecz jednocześnie w środku zły - i odwrócił się. Potem kopnął śmietnik, który dzięki

11

tej bosej i silnej nodze wywinął wspaniałego fikołka i upadł. Strażnik stał i patrzył, jak odchodzi. Z budki wyszła strażniczka, podała mu miotłę, zaczęli sprzątać. Ludzie z kampu schowani przed nocą i moskitami pod tropikami swoich karawanów tłumaczyli długo, że współczują Aborygenom. Mówili: „Są biedni, bo nieprzystosowani, wciąż dzicy, za mało zasymilowani. Zobacz tych w miastach... Oni nie są w stanie żyć w naszym społeczeństwie. Nie mogą sami za siebie odpowiadać, bo skończy się to tragedią”. Tak właśnie mówili. Mieli rację i jej nie mieli. Noc zapadła i wszyscy oni pozostali już do świtu ukryci w mroku swoich tropików chroniących przed owadami.

I druga barwa, drugi świat układający się w mojej wyobraźni jako kontra do tego pierwszego. To było parę tygodni wcześ-

niej na Mindil Beach w Darwin, kilkaset kilometrów na zachód od Jabiru. Upalna noc, w jakiś czwartek albo środę, kiedy otwiera się największy bazar w tygodniu. Światła perliły się na drzewach, porozwieszano elektryczne łańcuchy; poza tym kramy, stoiska pełne blichtru i specjału. Wąskimi drózkami przechodził tłum i tłum smakował, oglądał, czekał na coś, jakby noc miała się rozstać, ustępując miejsca wyjątkowemu czasowi święta. Najgęściej było tam, gdzie wyrastał w niebo las didgeridoo. Ludzie oglądali malunki na drewnie, robione pociągłymi kreskami, styl plemion z północy Australii, pokazywali sobie ryby skierowane do siebie pyskami i Tęczowego Węża z rozdziawioną paszczą podobną do psa. Patrzyli i dotykali opuszkami palców farby ułożonej na fakturze drewna, milczeli, jakby dostrzegali w tym nieudanym, komicznym obrazie Tęczowego Węża, Wielkiego Stwórcę, rzeczywiste oblicze kultury, której nie rozumieli.

I gdy wszystko, co miało się wydarzyć, już się wydarzyło, kiedy każdy obszedł targ dookoła i zjadł, i wypił, kiedy każdy już nasycił się tą cotygodniową niecodziennością bazaru, wtedy zagrała muzyka. Człowiek ten nazywał się md. Wyglądał, jakby spał w samochodzie przez ostatnie kilka dni,

12

miał wygoloną głowę, podkoszulek rozciągnięty, jakby się szarpał z niewidzialnym przeciwnikiem. Ale oczy miał dobre, życzliwe, muzyk, który wędruje, być może z dzieckiem i żoną, vanem z miasta do miasta. Grał na czterech didgeridoo przypiętych do jakiejś zmyślnej konstrukcji, ich ustniki znajdowały się jeden przy drugim jak trąby anielskie skierowane ku ziemi z niewielkiego prześwitu pomiędzy barokowymi chmurami. Pisanie o muzyce to pomyłka, muzyka jest w tym od pisania doskonalsza, że nie da się schwytać w ramy wersów i przymiotników. One brzmią zbyt tępo, zbyt twardo. Jego gra to był szaleńczy rytm, zawrotna prędkość, płynne inferno, które szarpało trzewiami i wciągało. To był wibrujący trans, wciąż bliski naturze, ale już przetrawiony przez Europejczyka, md był biały. Aborygeni tak nie grają. Oni grają swoje pieśni klanowe, jednostajne, mdłe, za piękne na nasze uszy. W ich grze jest lekkość, niemal niechęć do instrumentu, który oddziela grającego od ulotności samego brzmienia. Ich brzmienie nie



jest nachalne, jest zbyt głębokie do natychmiastowej interakcji, wymaga studiowania, ciszy, słuchania ciszy, bo z niej zaczyna się każda melodia.

md grał inaczej. To był mariaż tradycji i nowoczesnego, stary instrument i nowa wrażliwość. Jego instrumenty wibrowały z coraz większą prędkością, fala dźwięków rozchodziła się, natychmiast budząc wszystko do życia. W koronach drzew zerwał się lekki wiatr i liście, jak przeszkadzajki na wysublimowanym koncercie jazzowym, zaczęły potrząsać sobą, szumieć, i całość była spójna.

Wokół gromadzili się ludzie, tłum gęstniał. W oddali z półmroku spod drzewa wyłoniła się grupa Aborygenów. Byli już pijani, szli, krzycząc coś do siebie, co chwilę zatrzymywali się, jakby na coś czekając, jakby ustalali, gdzie rozpęd ich niesie, niektórzy wówczas siadali, byli niezdecydowani, dokąd chcą iść i co chcą robić. Wewnątrz tej grupki działały się historie: jedna z kobiet krzyczała na mężczyznę, który niczym kozioł ofiarny milczał i słuchał jej, kołysząc się; chlastała go po

13

pysku otwartą dłonią, krzyczała, po czym całowali się czule - i tak na przemian. Reszta rozglądała się, podnosiła z trawy pety. Bałagan. Słyszeć ich było z daleka. W końcu podeszli i widząc md, zaczęli go pozdrawiać. Znali się chyba, bo on, nie przestając grać, odpowiedział pozdrowieniem. Koło się zacieśniało i Aborygeni, uginając nogi, wtórowali ruchem muzyce, przepychali się. Trzasnęła o ziemię jakaś butelka. Dwie Aborygenki wyszły z tłumu i zaczęły tańczyć tuż przed md. Wielkie babska o ogromnych, ciężkich tyłkach, w poszarzałych od słońca i brudu sukienkach z początku kołysały się lekko, łapiąc rytm, stukały bosymi stopami po betonie, ocierały się o siebie. Im bardziej rosło tempo, tym bardziej ich ruchy się skracały, stawały się coraz sprężystsze. Teraz już podrygiwały ciałami, ich dupska kołysały się równomierne, ramiona o ciemnej, nabitej jak bochny skórce uniosły się w górę, w stronę nieba i elektrycznych lampek. Kobiety początkowo śmiały się, potem z zamkniętymi oczyma, z lekko rozchylonymi wargami, jakby łapały powietrze, obracały się powoli, wibrując, trzęsąc się. Wyglądało to tak, jakby jedno drgnięcie rozchodziło się po ciele falą, pobudzając najpierw

ramiona, potem falowało grubą skórą przedramię, w tym samym czasie fala szła też w dół i już drgały biodra. Następnie ten ciężki podmuch ruchu przelatywał przez uda i ginał gdzieś przy łydkach. A kiedy ginał, już za nim pędziły następne fale i drgania.

Rytm md wspinał się coraz wyżej i one coraz szybciej tańczyły, były teraz już zespolone z tym brzmieniem przejmującym, od którego chciało się wrzeszczeć, wrzeszczeć tak głośno, by wibrujące struny głosowe wprowadziły ciało w jeszcze silniejsze drzenie. Nad białymi, prócz zachwytu, wisiał milczący wstyd, że mogą być tylko widzami. One i to brzmienie. W tym spektaklu było coś, czego mogliśmy jedynie zazdrościć, mogliśmy tylko na to patrzeć. Nie umieliśmy jednak nawet obserwować tego zwierzęcego ruchu w pełni wyzwoleni, a co dopiero w nim uczestniczyć. To coś trwało i rozchodziło się po ciele, po drzewach, sięgało gdzieś w górę

14  
i ciemność, i te kobiety były częścią tego czegoś. I jedna z nich zupełnie spontanicznym ruchem, drżąc, wibrując, falując biodrami, przejechała po swoich udach w górę i uniosła swoją sukienkę kawałek po kawałku, aż ukazały się nogi, ciężkie i mocne jak u kobiet rzeźbionych przez Ernsta Barlacha, tych jego wielkich chłopek, olbrzymich bab przysiadających w szerokim rozkroku. Albo jeszcze lepiej - ujawnione nagle nogi Aborygenki wyglądały jak nogi babki Oskara, który miał bębenek zrobiony z prawdziwej blachy. To były rzeźkie, falujące kawały tłustego mięsa okryte ciemną skórą. I była ona w tym tańcu jak archetypiczna Wielka Matka, z której łona wypadał świat po kawałku, z której wszystko wyrosło, która siadając, zasłaniała nocą całą ziemię. Były w niej dzikość i piękno, ale piękno, którego nie mogliśmy objąć, od którego się nie tyle odbiliśmy, ile nie potrafiliśmy się do niego zbliżyć w pełni, bo w kontakcie z prawdziwym pięknem chce się zawsze więcej i więcej.

Muzyka się urwała i znów zrobiło się świetliście od lampek. Rozległy się oklaski przytłumione, niedorosłe, jak po amatorskim koncercie flażoletowym w parku w deszczowe popołudnie, md ocierał rącznikiem pot z czoła, bo muzyka wyssała z niego wszystko. Wokół były stragany.

Aborygenki wróciły do swoich. Potem widziałem je jeszcze gdzieś na ławce. Siedziały i piły dalej, wokół ziemia zaścielona była śmieciami, ktoś spał za ławką, mężczyźni ponownie się klócili, zwykła codzienność ludzi ukrytych w mroku, nic ze spektaklu, nic z uniesienia.

Oni byli z Larrakia. Mieszkali gdzieś w swojej dzielnicy, którą można było straszyć niegrzeczne białe dzieci. Byli tam u siebie, nieokrzesani, zdolni do wszystkiego - ta cecha Aborygenów mieszkających w miastach, która skazywała ich na niechęć reszty społeczeństwa, u Larrakia z Darwin ujawniła się już dawno. Zdarzało się, że pojawiali się gdzieś jak zwykle grupą, jak zwykle w poszukiwaniu czegoś nieokreślonego, jakaś włóczęgowska, brudna i bezcelowa wędrówka po części miasta

15

należącej do białych. Tamtej nocy przyszedli właśnie na targ Mindil Beach. Byli tam jak u siebie. Mindil Beach to jedno z pierwszych miejsc w Australii, w których pojawili się Aborygeni. Po tym jak przeszli przez Sahuland - istniejący gdzieś w plejstocenie, a więc w niewyobrażalnej przeszłości, ląd łączący z niewielkimi przerwami Azję z Australią - zasiedlili między innymi tereny dzisiejszego Mindil Beach. Powstało tu święte miejsce przeznaczone do grzebania zmarłych, otoczone kultem, z wbitymi w ziemię palami pukamani — rzeźbionymi, malowanymi w ceremonialne symbole ciosanymi pniami - które informowały o miejscu śmierci i pochówku. Kiedy biali przybyli do Australii, odnajdywali te pionowe znaki wszędzie. Także na wyspach Tiwi i Melville. Na Tiwi popularna była legenda, która tłumaczy powstanie tradycji pukamani. Podania Aborygenów same w sobie są literaturą. Żadnych dodatków, tylko ciąg przyczynowo-skutkowy, ciągła akcja, niemal bez dialogów. Myślenie w czystej formie. Z palami pukamani było tak: w czasie prapoczątku, Czasie Snu, śmierci nie było. Pewnego razu bogini Wai-ai złamała prawo, przyczyniając się do śmierci swojego syna Jinaini. Zrozpaczony ojciec, bóg Purakapali, który wówczas po raz pierwszy zetknął się ze śmiercią, bo wcześniej nie gościła ona na ziemi, chcąc zaznaczyć w jakiś sposób niezwykłość tego, co przytrafiło się jego dziecku, wymyślił ceremonię, którą nazwał pukamani. Zarządził też, że od tego dnia każdy, kto

umrze, będzie podążał za jego synem w zaświaty. Przywołał na pomoc ptaka-człowieka Tokampini i razem z nim wyciosał pierwsze pale, bogato rzeźbione. Płacząc z tęsknoty za swoim synkiem, ustawił pale dookoła miejsca jego pochówku na plaży. Potem usiedli razem z ptakiem, któremu również było przykro, i ułożyli słowa pieśni śpiewanej w czasie ceremonii. Później wymyślili jeszcze taniec, który ma towarzyszyć pogrzebowi. Tak powstał obrządek, powtarzany następnie przez tysiące lat.

Kocham ptaka Tokampini. Nie próbuję nawet odszukać jego naskalnego wizerunku. Jest dla mnie niewielki. Po prostu  
16

niewielki. Przyszedł zaproszony i zaczął rzeźbić pale. Potem jeszcze ten taniec. Prawdziwy bóg.

Chodziliśmy później parę godzin po oświetlonych uliczkach targowiska. Bezdušność, która nastąpiła wraz z zakończeniem muzyki, już nam nie odpuściła, włączyliśmy się, wiedząc, że w całym mieście najżywszym punktem tej nocy jest właśnie Mindil Beach. Opuścić go oznaczało iść spać w parnej ciemności, baliśmy się więc wejść w noc, pozostawić za sobą światła, nawoływania chińskich masażystów, którzy chcieli koniecznie masować karki i ramiona, stoiska z jedwabnymi chustami, które przy dotknięciu przelewały się przez palce, jakby były i jednocześnie ich nie było. Usiedliśmy w półmroku na końcu jednej z alejek, na betonowym cokole. Dopiero po chwili je zauważyliśmy. Stały w milczeniu. Dwa albo trzy, różnej wielkości, poszarzałe od słońca, z odpadającą farbą. Pale pukamani. Przysiągłbym, że jeden z nich miał twarz ptaka, drugi psa, ale nie wiem, nie pamiętam. Pale stały na betonowym placu i idealnie wpasowywały się w nowe potrzeby. Do ich szczytów przytwierdzone były kable doprowadzające prąd do stoisk. Siatka czarnych nitek oplatała plac, pale, wszystkich, dosłownie wszystkich.

Balanda nie widzą

Chciałoby się poznać całą prawdę o nich, przeświecić tę kulturę, która istnieje w obrębie białej społeczności i wciąż pulsuje swoim niezależnym rytmem, i wciąż nie może się z nią zjednoczyć. To tak jakby podać dłoń osobie, której ręka w uścisku byłaby wiotka, niechętna, nieobecna w powitaniu.

Obie kultury są jak olej i woda wlane do szklanki. Wymieszane stanowią niemal jednorodny płyn. Kiedy jednak ruch ustaje, rozdzielają się znów na dwie, wciąż współistniejące, ale już oddzielne substancje. To nas frustruje, a ich zabija. Jednak proces historyczny jest przecież nieubłagany: górą zawsze jest kultura silniejsza, pozostaje tylko patrzeć, jak ta słabsza poddaje się, klęka, w końcu oddaje broń i upada, aby czekać na swój koniec. To właśnie dzieje się teraz. Ale nie do końca. Kiedy zapytałem pewnego człowieka, starego Aborygena z korzeniami sięgającymi wyspy Melville, o twarz wymęczonej małpy, co dzieje się tak naprawdę z jego światem i jego klanem, odpowiedział krótko: „Zobaczymy, co będzie dalej, zobaczymy, co będzie dalej”. Jeszcze nie ma tragedii, choć frustracja zabija ludzi. Jeszcze czas płynie. Przy ich poczuciu ciągłości czasu, dwustuletni epizod z białymi jest tylko chwilą, wiekiem średnim, po którym nastąpi renesans na miarę skał malowanych ochrą, tańca w kurzu, tradycyjnego rodzenia dzieci pod mitycznym gatunkiem drzewa, paperbark tree, eukaliptusa o korze białej, złuszczonej, odchodzącej jak papier, spod której wyłania się wciąż i wciąż to samo, choć nowe drzewo.

18

Niewiele o nich wiadomo. Ich mity i pieśni poznano, ich kosmogonia została już dawno rozpisana. Ich dzieje, jako że były jednolitą ciągłością bez dat, pozostają w naszym wyobrażeniu czasem wegetacji, a nie czasem płynnej ewolucji. Nie udało się, jak na razie, rozpoznać ich mentalności - prozaicznego „innego oglądu świata”.

Próbuje się zamknąć wiedzę o nich w statystykach, sztywnych słupkach pnących się do góry, nierównych. Pieczołowicie zapisano w nich, ile kobiet aborygeńskich doznało przemocy w rodzinie, ile dzieci, zamieszczono tu też akty pedofilii, zabójstwa pod wpływem alkoholu, wreszcie chlubne karty - dotacje rządowe dla community, działanie organizacji pozarządowych i inne detale, z których nijak nie chce się ułożyć obraz całości. Suną zatem raporty przez wyobrażnię jak sztuczne gwiazdy w planetarium, a w tych raportach na cyferki przeliczony jest gniew. Ale gniew nie może zmieścić się na papierze, papier jest za biały, raport zbyt dokładny, żeby weszło do niego na swoich ubłoconych stopach życie. Istnieje

więc jakaś bariera pomiędzy naszymi światami - co prawda wiemy o sobie nawzajem, ale nasza wiedza o Aborygenach zamyka się w tym, co mówią nam raporty, co mówią zapisane kartki. Tak ich widzimy. Jechać do nich się nie da. Zamknięci w swoich rezerwach, drzemią upojeni melancholią i oczekiwaniem, budzą się do gniewu, kiedy ktoś przekroczy ich granice, wtedy kłótnia, areszt, krzykliwe nagłówki, procesy o odszkodowanie za wjazd na teren ich ziem. „Nie chcemy was u siebie, jeśli wy nie chcecie nas” - mówią. Taka mechaniczna reakcja na szowinizm białych - szowinizm aborygeński. Zostają więc tylko raporty. Zasłaniam nimi oczy, idę ścieżką wyrzniętą w buszu przez zwierzęta kopytne, szukam kawałków rdzy, żeby dłonią, niewidzącą dłonią natknąć się na tę rdzę, żeby skaleczyć dłoń i po kolorze bólu zobaczyć, jak jest naprawdę. A tu nic. Żadnego bólu. Wsie ciche, gniew zamknięty, zgaszony i okazjonalny.

19

Istnieje wyraźna, choć niesprecyzowana segregacja przestrzeni państwa australijskiego na „naszą” i „waszą”. Każde spotkanie wygląda jak spotkanie nierównych, jak spotkanie obywatela z podobywatelom, jakby idącego przez miasto, zadowolonego z życia człowieka zaczepił nagle i nieoczekiwanie lump obwieszony foliówkami pełnymi pieczołowicie kolekcjonowanych odpadków, proszący o papierosa. Nawet nie musiałby się odzywać. Wystarczy, żeby oko zarejestrowało jego brudne zachowanie. Na ulicy można Aborygena ominąć szerokim łukiem, ale już w markecie tropy się przecinają. Paradoksalnie, największym osiągnięciem współczesnej demokracji jest market.

Aborygeni wzbudzają niesmak swoim cierpkim, dusznym zapachem, brudnymi, bosymi stopami, zbyt głośnym zachowaniem. Ich gardłowa mowa przeszywa uszy, kiedy z odległości kilku metrów nawołują się rwanym, ale śpiewnym językiem. Mówią za głośno, są zbyt hałaśliwi, nonszalancy, jakby tym zachowaniem chcieli dać odpór atmosferze równości.

Tym razem była to kobieta, potężna, pulchna mamma w spodenkach odsłaniających jej pełne łydki. Skóra łydek jest popielata tak samo jak jej posklejane w strąki siwe włosy, wy-

suszona, z jaśniejszymi pręgami zadrapań. Mężczyzna jest od kobiety znacznie mniejszy. Chudy, zgarbiony, prawie niewidoczny. Ile mają lat? Może czterdzieści, a może tylko trzydzieści. Trudno ocenić. Wybierają z lodówki kawałki mięsa, zafoliowane czerwone płyty. Pokazują sobie te mięsa, odkładają je z powrotem. Dziecko, które przyszło z nimi, jest brudne, kłęczy na podłodze i zagląda pod lodówkę. Oboje niemal krzyczą, przekładając te kawały, ale w ich głosach nie ma gniewu. Potem idą w stronę kasy. Wchodząc, nie zabrali koszyka, więc ona na swoim wydatnym brzuchu obciążonym obszerną koszulką w paski niesie piramidę produktów. On niesie gnat. Idą do kasy, a duże stopy kobiety, które ona stawia szeroko i niezgrabnie, plaskają o niebieską podłogę powlekaną gumą. Potem wychodzą obładowani siatkami, wynurzają się na świat

20  
zewnątrzny. On zapala papierosa, czekają na coś. Taksówka? Pikap wypełniony ludźmi z wioski? Nic jednak nie nadjeżdża. Zostają więc pod gigantyczną ścianą jak marionetki.

Plac przed marketem jest sceną. Nie ruszając się z miejsca, wciąż widzi się nowych ludzi, którzy odgrywają swoje miniaturowe role. W niewielkich stadach przemieszczają się tam i z powrotem. Wszyscy, mimo tego ruchu, są ogarnięci jakimś marazmem. Co chwila ktoś odłącza się, idzie gdzieś niespiesznie, znika za rogiem, by po chwili wrócić. Poszedł i wrócił, znów wtopił się w grupę. Po co tam był? Czego szukał albo kogo wypatrywał? Już dochodzi do towarzyszy, gdy nagle jakaś wewnętrzna siła każe mu zmienić kierunek. Tych dwóch ma po czterdzieści, może pięćdziesiąt lat. Przebiegają skwer dzielący parking i wejście do sklepu w Darwin. Nic nie mówią. Idąc po trawie, wychodzą z wytyczonej przez białych normy uliczek i chodników, choć ich wolny chód wcale nie wskazuje na to, że się spieszą. Używają w odniesieniu do białych zwrotu Balanda. Jeden z nich urodził się tu, na północy. Tak mówi. W rejonie Ziemi Arnhema Aborygeni tak kiedyś nazywali białych. Określenie ukute przed laty: od holander - holenderskich poszukiwaczy złota, którzy przybyli do brzegu półwyspu Jork gdzieś w xvii wieku.

Nie skracają sobie drogi. Robią to nieświadomie, nie poddając się faktowi istnienia chodnika. A może inaczej: świadomi

faktu istnienia chodnika, nie są przyzwyczajeni do dzielenia przestrzeni na kanały, którymi można się poruszać. My tego nie rozumiemy. Ścieżka parkowa, stojak na rowery, koszyk w sklepie mają swoje ściśle określone przeznaczenie. Na środku ścieżki nie można się kłaść, rozkładać siatek z jedzeniem. Ścieżka służy do poruszania się i nie można jej tarasować. Ścieżka służy każdemu obywatelowi w ten sam sposób i tak ma pozostać. Czasem jest jednak inaczej: w przejściu leżą butelki z wodą, karton po czterolitrowym winie, ludzie drzemający w popołudniowym słońcu. Przecież oni nie zachowują

21  
się normalnie. Aborygenom można zwrócić uwagę, że ścieżka nie jest przeznaczona do spania. Wstaną i pójdą dalej, ociągając się, niechętni dyskusji. Nawyku jednak nie zmieniają. „Jak więc chcecie być szanowanymi obywatelami naszego kraju? - pytają biali. - Jak zatem chcecie być szanowani, jeśli za nic macie nasze zasady?”. Ale te pytania trafiają w nicość, więc biali godzą się na bezkarne przechodzenie przez trawnik, godzą się na leżenie w cieniu drzewa na trawie, proszenie o pieniądze przechodniów. Godzą się na to milcząco, tłumiąc w sobie niechęć do odmienności. Odwracają głowy, patrzą niewidzącym spojrzeniem, nie słyszą charkotu ich dialogów pod sklepem, nawoływań, nie dostrzegają picia ukradkiem czegoś z butelek pochowanych w kurtkach.

Zdarza się, że biali świadkowie burd i pijackich szarpanin wymieniają między sobą porozumiewawcze spojrzenia. Obcy ludzie patrzą sobie wówczas w oczy i te oczy mówią: „No i tak to z nimi jest”.

Trawniki można oczywiście deptać, ale musi mieć to sens. Co to za działanie, które nie ma celu? Nigdzie się nie spieszysz, po co więc skracasz sobie drogę? Balanda starają się zatem nie patrzeć na te odmienne i niczym nieuzasadnione zachowania. Balanda nie patrzą w ich kierunku. Balanda ich nie widzą. Aborygeni są dla nich po prostu Niewidzialni.

Wszystko, co chce się powiedzieć o tych ludziach, zamyka się w ich kroku. Ani to spacer, ani włóczęgostwo. Oni po prostu nie znają pośpiechu. Gdziekolwiek by ich spotkać, zawsze poruszają się wolniej aniżeli otaczający ich świat. Mają w ruchu namysł, który można wziąć za beztroskę. Jeden krok wcale nie



implikuje następnego. Po kroku może nastąpić kolejny. Ale nie musi. Patrzą przed siebie i milczą. Takich scen zaobserwować można setki, takich powolnych ruchów z czasem się nie dostrzega, bo stają się tak oczywistym elementem ich istnienia, jak brudne ciuchy, smród, twarze opuchnięte od alkoholu. Tak zachowują się wszędzie. Może to być ławka w parku w Darwin, może to być plac przed marketem Woolworths

22

w Katherine, wyleniałe place wsi Barunga i Oepeli na Ziemi Arnhema. Różna jest sceneria, zawsze to samo zachowanie. Siedzą, palą papierosa, popijają. Patrzą przed siebie w jakiś punkt. Toną w czasie, któremu pozwalają przepływać, pozwalają każdej godzinie na bezkarne przemijanie. Godziny, zachęczone tym przyzwalającym stosunkiem, mijają jedna po drugiej, a oni siedzą nadal, pogrążeni w jakimś wyczekiwaniu. Czasem któryś wstanie z trawnika, pójdzie gdzieś, aby po chwili wrócić, i znów siedzą jakby porażeni faktem przemijania godzin. Ale nie marnotrawią tego czasu. Palą, jedzą coś z foliowych paczek, piją. Przesiadają się, kiedy przesuwa-  
jące się po niebie słońce zabierze im cień. Wtedy przechodzą metr dalej, tam gdzie cień, pozostawiają po sobie wygniecioną trawę, która po jakimś czasie powstanie, i śmieci, które zbiorą służby porządkowe. I siedzą tak pogrążeni w tym wyczekiwaniu, i do niczego nie dochodzi, nie pojawia się cezura oddzielająca wyczekiwanie od faktu, na który się czekało. Ich beczynność sama w sobie jest spełnieniem, milczeniem w obliczu działającego jak w zegarku świata.

I jeszcze jedna różnica: kiedy rozmawiają, nie mają w zwyczaju patrzeć w oczy. Spuszczają wzrok, gdy tylko poczują tę silną głębię, która pojawia się na styku spojrzeń. Wówczas przychodzi na myśl, że Aborygen spuszcza wzrok przed Balanda. „Przecież to znana prawda, że ktoś, kto spuszcza wzrok i patrzy w ziemię w trakcie rozmowy, jest niepewny siebie i czuje respekt wobec przeciwnika - myśli Balanda. - On zatem czuje swoją słabość wobec mnie. Może i nas nie lubią, może czują się przez nas oszukani, ale jedno jest pewne. Boją się nas". Balanda przecież może patrzeć na Aborygena godzinami, a ten, choćby i z początku był pewny siebie, spuści w końcu wzrok, skieruje go gdzie indziej, jakby wierząc, że jeśli wykreśli z horyzontu

postać rozmówcy, rozmówca zniknie, albo jeśli przestanie patrzeć na rozmówcę, stanie się naprawdę Niewidzialny. Tak jak dziecko, które w obliczu czegoś przykrego zasłania otwartymi dłońmi oczy, wierząc, że relacja pomiędzy nim a tym co

23

straszne przestanie istnieć i znów będzie dobrze. Nawet nie czują potrzeby tłumaczyć tego, dlaczego ich oczy spoglądają gdzie indziej, kiedy rozmawiają. „Biali komunikują się okiem do oka. My komunikujemy się sercem do serca i umysłem do umysłu. W ten sposób możesz usłyszeć wewnętrzny głos człowieka, jego duszę” - mówią.

Kiedy więc rozmawiają, są niezrozumiali przez swój rzekomy lęk. Gdy rozmawiają, siedzą obok siebie wcale nie twarzą w twarz, tylko ramię w ramię, i patrzą gdzieś w dal, jakby horyzont miał być trzecim uczestnikiem ich dyskusji. Prawie cały czas trwa milczenie, rozmowa w większości wypełniona jest ciszą. Cisza pomiędzy pytaniem a odpowiedzią może trwać dłużej aniżeli sama odpowiedź. I znowu toną w czasie, pozwalają mu przeplatać się pomiędzy zdaniami, wypełniać puste miejsca w dialogu. Słowo za słowem, a między nimi zwykła cisza.

Dopiero kiedy dochodzi do podziału jedzenia, gdy z worków z kolorowymi napisami wyciągają puszki piwa, paczki tytoniu, słodyczne, zaczyna się radosna, łakoma prężność, wszystko się dzieje szybciej, jakby Niewidzialni czuli, że może i ich słowa w obliczu czasu są nieśmiertelne, ale to jedzenie, te puszki chłodnego piwa, które za chwilę będą ochoczo psykały sprężonym gazem, są tu i teraz, i dla nich, dla tych puszek, czas jako ciągłość był, jest i będzie zamknięty. Piją więc w cieniu palm, a worki ze sklepu, które zostały opróżnione i porzucone, leżą na trawie poruszane gorącym wiatrem wiejącym od buszu. Nad głowami Niewidzialnych, ponad gigantycznym neonem Woolworths'a, krążą ogromne jastrzębie walczące z wiatrem.

To było kilka miesięcy później. W Katherine. Coco - właściciel galerii ze sztuką Niewidzialnych, ich przyjaciel i łącznik pomiędzy dwoma nieprzystawalnymi światami - stał w cieniu domu oparty o ścianę w swojej hawajskiej koszuli w kwiaty, z rękoma założonymi na piersi. Patrzyliśmy na ich wypoczy-

nek na trawniku First Street. Leżeli tam grupą, w bezruchu,  
24

czekając, aż zar słońca zelżeje, by móc wyjść z cienia. Coco mówił wówczas: „Wiesz, że kiedyś analizowano, dlaczego służby medyczne, które im pomagają, mają taką małą skuteczność w leczeniu chorych? Okazało się, że lekarze odwiedzający wioski w trakcie wizyty zadawali badanym rutynowe pytania, na które Aborygeni przeważnie nie odpowiadali. Lekarz pytał na przykład: »Czy jak kaszlesz, boli cię w górnej części klatki piersiowej, czy w dolnej?«. Kiedy pacjent milczał, lekarz zadawał następne pytanie, zakładając, że chory nie umie określić miejsca bólu. Po kilku pytaniach zwykle stawiał diagnozę, która po pewnym czasie okazywała się niewłaściwa. Leczenie więc nie pomagało. A wiesz dlaczego oni milczeli? Bo w ich kręgu kulturowym milczenie jest elementem rozmowy. To, że milczy, nie znaczy, że nie wie. On po prostu milczy, bo zbiera się w sobie do odpowiedzi. A my parosekundową ciszę uznajemy za objaw niewiedzy. I wiesz co jeszcze? Przyciśnięci zawsze odpowiadają »tak«. Bo zwykle nie rozumieją, co się do nich mówi, znają słabo angielski. Boją się do tego przyznać. Dlatego mówienie »tak« uważają za bezpieczniejsze. A poza tym, istnieje wykształcone przez lata przekonanie, że białemu nie mówi się »nie«. Dlatego, między innymi, tak trudno obniżyć ich wysoką śmiertelność. Dobrze, co?».

Zupełnie nie mój autor, Arnold J. Toynbee, w monumentalnym Studium historii pisze: „Przedstawiciele agresywnie promieniującej cywilizacji, której udało się przeniknąć do obcego organizmu społecznego, są skłonni do ulegania pokusie hybris, typowej dla faryzeusza, który dziękuje Bogu, że nie jest taki jak inni ludzie. Dominująca mniejszość spogląda często z góry na rekrutów z ujarzmionej obcej społeczności, zwerbowanych w szeregi jej wewnętrznego proletariatu, jak na podludzkie »niedobitki«. Nemezis towarzysząca temu osobliwemu usposobieniu hybris jest szczególnie ironiczna. Traktując jak pokonane niedobitki współbliźnich, którzy są chwilowo zdani na ich łaskę, pyszni zwycięzcy potwierdzają nieświadomie prawdę, której chcą zadać kłam. Prawda ta głosi, że wszystkie

25  
dusze są równe w oczach swego Stwórcy; a jedynym rezul-

tatem osiągniętym przez istotę ludzką, która usiłuje ograbić bliźnich z ich człowieczeństwa, jest pozbycie się własnego człowieczeństwa. [...] Zwycięzca wkracza definitywnie na równię pochyłą wtedy, gdy przylepia pokonanemu etykietkę nie »poganina« czy »barbarzyńcy«, lecz »autochtona«. Napiętnowując członków obcej społeczności jako »autochtonów« w ich własnych sadybach, pyszny zwycięzca zaprzecza ich człowieczeństwu, decydując o ich politycznej i gospodarczej nicości. Określając ich mianem »autochtonów«, upodabnia ich implicite do pozaludzkiej fauny i flory dziewiczego Nowego Świata, który czekał, aż wkroczą i obejmą go w posiadanie ludzcy odkrywcy. W myśl tych założeń, fauna i flora mogą być traktowane albo jako szkodniki i chwasty, które należy tępić, albo naturalne bogactwa, które trzeba ochraniać i eksploatować". I dalej Toynbee: „W okresie późnonowożytnym anglojęzyczni protestanczy pionierzy zamorskiej ekspansji społeczności zachodniej byli najgorszymi winowajcami, popełniając notoryczny grzech koczowniczych budowniczych imperium: sprowadzanie ludzkich dusz do poziomu »autochtonów«; a najbardziej złowieszczym rysem w tym powtarzaniu starej zbrodni była skłonność do niebezpiecznego osuwania się po równi pochyłej - do poziomu nie znanego nawet Osmanom - i przypieczętowanie tezy o politycznej i gospodarczej nicości autochtonów przez pogardliwe nazywanie ich nasieniem »niższej rasy«".

Jechaliśmy raz międzystanową jedyneką na zachód. Kraina Wardaman rozciągała się po obu stronach drogi, milczeliśmy zmordowani siedmiogodzinnym oczekiwaniem na stopa. Ziemie się zmieniały, przechodziły płynnie jedna w drugą, totemów poszczególnych rodów nie mogłem sobie nawet wyobrazić. Przed nami gdzieś w oddali na pograniczu z wa (Australią Zachodnią) była oaza Daily River usadowiona nad rozpadliną, którą wyciął w skale wieloletni spokój rzeki. Była tam ponoć kawa i cień, tak mówili mi bezzębnymi ustami

26

mężczyźni w Katherine, można było zapalić papierosa, usiąść na kamieniu i cieszyć się, że dotarło się do miejsca, w którym za rzeką zaczyna się inny stan. Stan wa. Ta kawa i cień były teraz ważniejsze niż totemy, które po zamknięciu oczu

powstawały jak drzemiące dotąd olbrzymy z falujących traw, by wystawić swoje wielkie, przepojone znaczeniem cielska wprost na słońce, a nocą zamienić się w gwiazdy. Każdy klan widzi przecież swój totem na nocnym niebie. To niesprawiedliwe, że tak długo patrzymy w gwiazdy, a nasze dzieje nie są w nich dotychczas zapisane. Nasze niebo jest jak fragment pamiętnika pewnej kultury z wypisanymi strzępami mitologii - ogonem Skorpiona, Strzelcem, Wodnikiem. Nie ma na nim dalszych odcinków naszych dziejów. A Niewidzialni widzą w tych swoich jasnych punkcikach nocnego nieba opowieści, tysiące opowieści, które się na siebie nakładają, tworząc tablicę pamiątkową, dekalog tożsamości.

Patrzyłem z pędzącego busa na pobocze, przymykałem oczy, suche trawy zmieniały kolor, płynnie zlewały się w ciekłą masę, którą ja - statyczny - oglądałem przez szybę. Masa dosłownie mknęła, przypominała jakąś wielką strugę słomkowej szarości złożonej z milionów łądyg. I nagle nad tą masą złączoną w jedno zobaczyłem ptaka. To był jastrząb. Jeden z tych, które spoczywają swoim wielkim ciężarem na padlinie przy drodze. Z dziobem zatopionym w mięsie, z pazurami wbitymi w sierść. Te potwory siedzą tak długo, aż samochód zbliży się na kilka metrów. Wówczas wystraszone hałasem silnika przypominają sobie o swojej dzikiej naturze i zrywają się do lotu. Ten wystartował w górę nagle, tuż przed nami, przez chwilę sunęliśmy równolegle, widziałem go z bliska - może z dwóch metrów. Był ogromny, miał tak gęste pióra, że niemal tworzyły sierść - taki latający pies z dwumetrowym rozstawem skrzydeł. Wznosił się ciężko, całym ciałem pracował na te totalne machnięcia i szedł w górę, ale nagle coś źle zadziało z nawigacją, bo zwrócił się w naszym kierunku i szedł na pochylonych skrzydłach na nas, na przód samochodu, jak ślepy,

27

nieostrożny, a ja patrzyłem jak na jakimś safari, patrzyłem jak astronauta w sztucznym kombinezonie na prawdziwe życie. Na jego dziób przypominający kościany hak. I szedł taki lekki i potężny, a my milczeliśmy w oczekiwaniu, obserwując jego rosnące ruchy, i w końcu uderzył w nasz bus, w belkę przedniej szyby. Tę z mojej strony. I rozległ się wielki huk, jakby auto najechało na pusty karton po telewizorze porzucony

na drodze, zarzuciło nami w kabinie, a ptak jak zestrzelony z działa przeciwlotniczego samolot nagle stracił równowagę, odbił na pobocze, zawirował na rozłożonych jak do ratunku skrzydłach. Nie miał już w sobie tej lekkości. Spadał, wirując, już nie wielki, lecz komiczny, marionetkowy, porzucony przez logikę. Jego skreślona sylwetka Ikara znikła gdzieś, koziółkując w gęstych trawach pobocza, które po zmrużeniu oczu wciąż przypominały gęstą masę, przesuwaną się, jakbyśmy my stali.

Oczy muszą być jednak wciąż szeroko otwarte.

Czerń

Był już zmrok. Głosy w wiosce Barunga ogniskowały się przy rozrzuconych po okolicy domach, w ciszy wyraźnie słyhać było te przedwieczne pokrzykiwania: każde z nich unosiło się wysoko jak niewidzialny ptak. Te krzyki i nawoływania żyły swoim życiem, przypominały nitki wiążące poszczególnych ludzi. Ciągnęły się pomiędzy światłami ognisk, domami, tworzyły sieć będącą zabezpieczeniem przed rozsiadającą się po okolicy ciemnością. Noc jest niepewna, ale ma też i swoje dobre strony. Jest łagodna, nie ma kontrastów, codziennych krzyków, klaksonów samochodów wracających z miasta bądź wyjeżdżających do niego. W nocy na piaszczystej drodze biegnącej przez wieś nie ma tabunów dzieciaków uganiających się za autami. Jest bezruch, a psy skulone pod schodami prowadzącymi do domów podglądają nieruchomy świat jednym okiem. Nie ma światła, ostrych granic między cieniem a jasnością, liście drzew nie mają na sobie tego kalejdoskopu mieniających się słonecznych refleksów. Kurz na drodze nie przepuszcza prętów światła. Noc jest w swoim założeniu spokojna.

Światło widać było z daleka. Dwa nerwowo podskakujące punkciki, snopy rzucane raz na drogę, raz w niebo. Samochód musiał pędzić, skakać na nierównościach, w końcu wynurzył się z buszu od strony Katherine, wymknął się nagle ciemności, jakby kierowca chciał uciec przed zapadającą wokół ciszą,

29

jakby chciał w ostatniej chwili złączyć się z ludźmi ze swojej wsi. Za nim było tylko indygo nieba. Nie skreślił jednak pomiędzy zabudowania, nie przejechał pod szlabanem z żerdzi

z tablicą informującą w prostych żołnierskich słowach, że ta community jest „sucha” i zakazuje się spożywania alkoholu na jej terenie. Pojechał dalej. Jeszcze przez moment wydawało się, że poleci z taką samą szaleńczą prędkością drogą w głąb Ziemi Arnhema, że biały kombi wtopi się w ciemność, ale on nagle skręcił, zgasił światła i zniknął. Spod rogatek ruszył policyjny furgon. Włączył szperacze, na dachu zapalił świątecznego koguta. To były kolory! W przestrzeni wypranej z barw był jak zabawka jarmarczna, kamień szlachetny z plastiku, żywe ciało złożone z dwóch kolorów: niebieskiego i czerwonego. Można go było nieomalże oglądać z zamkniętymi oczyma, tak świecił. Zaczął się pościg. Pulsujące barwy majaczyły za drzewami, potem oba samochody wydostały się jakimś tajemnym przejściem na otwartą przestrzeń wsi i kombi zahamował przed jednym z domów. Policjanci wybiegli z radiowozu, mieli na sobie czarne stroje ze srebrnymi insygniami, było zimno i technicznie, z auta wysiadł mężczyzna w białej koszuli, komisyjnie otwarto tylne drzwi, na piach wypadł dziadek schlany do nieprzytomności. Z domu wyszły cztery kobiety i dwóch mężczyzn, podniosły się rozpaczliwe krzyki, a kiedy wzięli dziadka za ręce i za nogi i wnieśli na werandę, policjant otworzył bagażnik, wyjął latarkę z za paska, podłużną, jak w amerykańskich serialach o stróżach prawa, i zajrzał do wnętrza.

To był karton piwa. Wielki karton piwa. Jeden z mundurowych zabrał znalezisko do policyjnego furgonu, drugi wziął pod rękę kierowcę. Ten zaczął się szarpać, to było jak teatr, chór gromadził się coraz większy, na scenie oświetlonej czerwonym i niebieskim światłem pulsowała tragedia, mężczyzna nawet nie stawiał wielkiego oporu, ale kobiety, które zaczęły wielki lament, ciągnęły go za ramię w stronę domu, wtórując sile swych dłoni płaczem, a może śpiewem, który niósł się ponad wsią. Z drugiej strony tej żywej liny był policjant i balet już

30  
tętnił własnym życiem, a główny bohater jak biała marionetka falował za każdym szarpnięciem jednej albo drugiej strony, za każdym pociągnięciem tych sznurków, które noc rozrzuciła po całej wsi pomiędzy domami, pomiędzy ludźmi.

Oni są jak puzzle wpasowane idealnie w ciało nocy, jak ga-

tunek, któremu przyszło nagle żyć pod peleryną ciemności. Wtapiają się w jej czerń ze swoim życiem i w tym balonie niewidzialności dokonują najważniejszych posunięć. Ta aktywność, która uwalnia się spod słońca i nagle wybucha gdzieś wieczorem, nieokiełznana, połączona z alkoholem i narkotykami, a także z gniewem. Noc jest ich czasem, noc jest dla nich, w nocy nie widać świata i można własną wyobraźnią wywołać świat taki, jaki chciałoby się zobaczyć. Są jak dzieci, jak bezprzyzorne, podniecone ciemnością, tunelem, nagim pustostanem. W dzień trzeba się dostosować, w dzień należy grać, miasta i ulice są nieprzychyłne, są jeszcze wsie i okratowane pikapy policjantów, drzemiące gdzieś na wylocie, przy drodze przez busz. Pikapy zawsze sympatycznych policjantów z obowiązkiem chronienia ich przed samymi sobą, obowiązkiem, który ostatecznie zawsze jest silniejszy aniżeli sympatia.

Byli wtopieni w czerń lasu, wetknięci pomiędzy jej nagie drzewa, między krzaki z witekami wystającymi we wszystkich kierunkach. Był tam też strumień, który mogłem tylko słyszeć, zwaliste, gorące powietrze i nierówności, pomiędzy którymi powoli lawirowałem po omacku, bojąc się upadku. To było takie miejsce na skraju wsi, gdzie można znaleźć śmieci porzucone przez jej mieszkańców i ślady dzikich zwierząt rankiem. Usłyszałem pojedyncze głosy - niby szept, niby nerwowe nawoływania, stukanie metalu o metal. To mogło być zwierzę, mógł to być człowiek, myślałem, bardziej człowiek jednak, choć nie wierzyłem, że w tej ciemności są oni.

A potem usłyszałem wyraźny ludzki głos, zaszeleściło gdzieś po prawej i nagle padło pytanie. W głosie był strach, dziwny strach, bo głos należał do dorosłego człowieka, a jednak był

31

w nim strach, i odpowiedziałem, że przyszedłem tylko po drzewo na ogień, a za zasłoną nocy, za przepierzeniem, z nieznanego terenu odezwało się kilka szeptów, a potem zapadła cisza. I znów to pobrzękiwanie, chyba metalowych pojemników. Łamałem gałęzie i układałem je w jednym miejscu, żeby zebrać całą wiązkę. Ciągłe jednak nasłuchiwałem, odwracałem głowę tak, by złapać choćby najłżejszy szmer, ale niczego nie mogłem uchwycić, żadnych treści, nic. Tylko zdawkowe dźwięki. „Co tu robicie?” - powiedziałem prawie



szeptem w stronę ciemności. Odpowiedź padła natychmiast: „Pijemy”.

Przypadek policjanta Foelsche'a

Na błonie fotograficznej zatrzymani zostali wyprostowani, sztywni, zbyt sztywni na portret. Patrzą w obiektyw, są milczący. Nie okazują emocji. Te fotografie przypominają archiwum kryminalistów. I te ich stroje. Są nadzy, ubrani tylko w przepaski na biodra. Mężczyźni spod czupryn spoglądają ciemnymi oczyma, oczy kobiet są trochę łagodniejsze, bardziej migdałowe. W kobiecym spojrzeniu jest jeszcze ukryta jakaś dzikość. U mężczyzn widać pustkę. Chłód, za którym kryje się pogarda albo obojętność. Piersi kobiet są pomarszczone i wiśzące. Mężczyźni mają ciała poznaczone bliznami. Są to długie pociągnięcia od jakiegoś ostrego przedmiotu. Te blizny są wypukłe, zgrubiałe, prawdopodobnie pod opuszkami dałyby się wyczuć jako napięta, zmieniona faktura skóry. Skaryfikacja. Rytualne cięcia. Niektórzy w nosie mają drewniane albo kościane kijki. Z ozdób jeszcze obręcze na ramionach, czasem w dłoniach włócznia, kij. Na białym tle to bardzo dużo.

Większość z nich to ludzie z Larrakia. Zdjęcia pochodzą z XIX wieku. Wówczas palepukamani, jeszcze nieświadome swojej przyszłej, upadłej roli, stały dumnie wyprostowane na plażach dzisiejszego Mindil. Darwin jeszcze nie było. Zamiast niego kiełkowała niewielka osada, Palmerston, z grupką mieszkańców ochraniających przez oddział policji. Ostrze cywilizacji - osadnicy, którzy za wszelką cenę starali się

33

wytrzymać napady miejscowych, upał, moskity i przyrodę, która mruzczała swoją nieprzyjazną piosenkę.

Ludzie ze zdjęć są już w piachu. Wybiły ich egzekucje, alkohol, ich świat zaczął utykać, a potem po prostu się rozpadł. Spora grupa zmarła na dziwną przypadłość o groźnej, obcej nazwie. Smallpox - powtarzali za białymi i umierali, nie do końca wiedząc, jak to możliwe, że odchodzą nagle, dużymi grupami, czasem całymi rodzinami. Była to ospa.

Paul Foelsche, autor zdjęć, był policjantem. Pochodził z Moorburga nad niemiecką Łabą. Jego ojciec, tak samo jak i dziadek, wytwarzał liny dla statków cumujących w hamburskim porcie. Paul nie chciał takiej przyszłości. Śniły mu

się mgliste pejzaże odległych krain, wrażenia, nowe wrażenia, których Moorburg i skrećanie lin nie mogły mu dostarczyć. Kiedy miał dwadzieścia cztery lata, zaciągnął się do pruskiej armii i wymaszerował z nią okupować duński Szlezwik-Holsztyn. Potem, nienasycony, przyłączył się do fali emigrantów i ruszył w podróż do lepszego życia. Liczył, że znajdzie je w Australii. 22 czerwca 1854 roku statek „Reichertsteg” wypłynął z Niemiec. Do Adelajdy przybył dwa miesiące później. Foelsche wstąpił do policji, szybko awansował. Z początku służył na południu kraju, w roku 1869 ruszył na północ, właśnie do Palmerston. Wówczas było to kilka baraków służących kolonizatorom rzuconym w objęcia dziczy, bezgłośnie śpiewającej dziczy.

Błysnął flesz. W świetle zamajaczyła jak zjawia kobieca postać. Kobieta skrzywiła się od białego światła. Dłonie złożyła na podłokiu, patrzy w obiektyw spod mocnych brwi z głową zwróconą nieznacznie w naszą prawą stronę. Ma krótkie, równo przyszyryżone włosy, lekko wypięty brzuch, piersi jak mysie ryjki, ale pełne, ciężkie. Ma dwadzieścia cztery lata, jest siostrą Dale'a. Tyle wynika z podpisów. Kim jest Dale, kim jest ona, nie wiadomo. Uznajmy, że Foelsche spotkał ją, gdy szła zakurzoną ulicą biegnącą pomiędzy rodzącymi się szpalerami domów osady. Dziewczyna przyszła z buszu. Grzało słońce.

34

Foelsche wyszedł akurat przed posterunek - niski pobielony budynek o dwuszczytowym dachu (też kiedyś go sfotografował) - przetarł czoło i założył na głowę służbowe kepi. I nagle w słońcu zajaśniała mu ona. Chciał ją sfotografować, uchwycić.

To wszystko domysły. Nieznana jest pierwsza „głęboka” fotografia Foelsche'a. Robił wcześniej zdjęcia kryminalistom złapanym przez policję, aż pewnego razu wykorzystał aparat fotograficzny inaczej. Ale czy warto szukać tego pierwszego zdjęcia? Pewne jest, że wykonując je, strzelając fleszem w oczy modela, uwieczniając jego sylwetkę na płytce pokrytej światłoczułą materią, przekroczył próg wtajemniczenia. Błysnęła lampa i Paul Foelsche znalazł się pośród tych, co z uwagą pochylali się nad kamieniem, o którym na pierwszy rzut oka nie można powiedzieć nic. Wszedł w grono tych,

którzy chcą zilustrować rzeczywistość, nazwać ją, nadać jej kształt. Chciał zapisywać.

Trudno oceniać jego służbowe prace. Model: Wandy Wandy. Miał trzydzieści cztery lata, był z klanu Iwaidja. Został aresztowany w roku 1879 za zabicie białego. Zabił, bo biały wcześniej zabił jednego z Iwaidja na wyspie Croker. Skóra Wandy Wandy lśni, jest napięta, splecionymi rękoma zasłania genitalia, w nosie ma ołówek albo drewniany kołek wystający poza obrys twarzy. Ta twarz nie wyraża niczego. Tuż obok krzesła stoi miarka, jaką wykorzystuje się do dziś przy fotografowaniu zatrzymanych.

Ale Foelsche robił też inne zdjęcia. Wykraczając poza dokumentację, stał się w pewnym momencie reporterem. Po pracy, a może - nadużywając swojej pozycji - w trakcie służby, fotografował Aborygenów, zatrzymywał dla nich czas. Robił zasadzkę i pakował w nią rzeczywistość, Aborygenów w czystej formie, prawie czystej formie - ludzi o stanie świadomości niemal sprzed poznania białej cywilizacji. Unikat.

Wciąż nie było w nim artysty. Był precyzyjny i dokładny. Fotografował także budynki, sceny zbiorowe, bawił się pejzażem.

35

Krytycy dostrzegają dziś w jego fotografiach niebywałą konsekwencję, z jaką dbał o zachowanie walorów perspektywy, kompozycję kadru. Ludzie, których zapisywał na światłoczułej powłoce, byli dla niego manekinami, woskowymi figurami pozbawionymi cech charakteru. To pogrążyło go jako artystę. Portret bez uchwycenia wnętrza jest tylko nieudolną próbą. Ale jemu można to wybaczyć.

Tam, gdzie zaszedł w swoich poszukiwaniach, nie miało znaczenia, w jaki sposób zapisuje, ale liczył się sam fakt, że zapisuje. Ten potomek ludzi skreślających liny okrętowe, policjant z przypadku, obudził w sobie pragnienie utrwalenia Aborygenów. Rzadkie uczucie: przeniknąć obce. Fotografował z pasją ludzi, przeciwko którym występował w swojej pracy. Uwieczniał ich w czasie, gdy polowało się na nich jak na zwierzęta.

Spotkałem współczesnego kapitana Foelsche'a. Miał na imię Hero. Tak przynajmniej twierdził, tak się przedstawiał, patrząc rozpalonymi oczyma gdzieś w dół pod nogi. Był młodym

japońskim freakiem, mającym dość pieniędzy, by podróżować miesiącami. To było w Katherine. Niskie domy na betonowych palach w środku wytrawionego słońcem buszu. Zdarzały się tu silne opady, które zamieniały okolicę w wielkie jezioro. Lepkie chmury szły poziomo, niwelując różnicę pomiędzy ziemią a niebem. Było płasko i tylko ciężkie ciała jastrzębi kołysały się gdzieś nad miastem, wisiały w jednym miejscu utrzymywane siłą wiatru. Sklepy miały dzwoneczki przy drzwiach. Kiedy się wchodziło do wnętrza, ekspedient rozmawiał przez telefon albo właśnie wychodził z zaplecza. Mało było tam osób. Ulice były puste, chodniki nagrzane, samochody przejeżdżały z północy na południe, ludzie zatrzymywali się w Katherine na sen, na uzupełnienie wody, otarcie szyb z pomarańczowego kurzu. Czasem na parking przed marketem wtaczał się rozklekotany wóz Aborygenów, wysiadali z niego leniwie, szli na zakupy, wciąż były tam te ciężkie ptaszyska, które wisiały na wietrze, czekając, aż ktoś wyrzuci kawałek jedzenia. Miały

36

piękne lotki - szare i brązowe - czasem opadały nisko, tak na kilkanaście metrów, wówczas zawisały w powietrzu, kołysząc się na fali wiatru. Niektóre z nich siadały na wielkim słupie, na którym w nocy paręnaście metrów nad ziemią rozpalala się niebieskim neonem nazwa supermarketu. Było tam pięknie i martwo. Miasto istniało i miało się dobrze, a ludzie żyjący w nim wiedzieli, że są częścią otaczającej ich pustki, że miasto jest tylko fragmentem buszu, i byli wobec tej ciszy i pustki pokorni.

Pewnego razu na końcu First Street pojawił się on. Szedł z rowerem. Wszedł do Katherine od zachodu. To było zwykłe upalne przedpołudnie i spotkał na ulicy tylko ich - ludzi z Jawoyn. Byli tu od zawsze i pojawienie się miasta przyjęli jak naturalny dopust. Siedzieli na swoim miejscu, na kamiennych ławkach pod drzewami, czekając na przemięcie następnej godziny. On zapytał, gdzie może się położyć, bo jest zmęczony, a oni wskazali mu drogę. I tak szedł w ich grupie, prowadząc rower, który miał pozrywane linki od hamulców, pod siodełkiem drutem przywiązany był koc i jeszcze tobolek. Na kierownicy wisiał kask motocyklowy. Kask był różowy, z pomarańczowymi płomieniami, pioru-

nami i cyframi o agresywnych kształtach. Farba na nim była zniszczona, wyblakła i splekana od otarć i słońca. Spodnie były kawałkami materiału trzymającymi się na nitkach, nogi miał ciemne, opalone, poranione w niewyjaśnionych okolicznościach. Prowadzili go jak w pochodzie Bachusa: on szedł lekko z przodu, środkiem ulicy, oni w sześć, osiem osób otaczali go, poklepywali po ramieniu, biło od nich ożywienie. Szli z nim do kampu Coco. Z tego kampu droga prowadziła do wszystkich wiosek ukrytych w buszu. Stąd można było wyjechać z Aborygenami pikapem na Ziemię Arnhema, do wiosek Australii Zachodniej, można było wyjść i przepaść na kilka lat gdzieś w pełnym życia, choć wysuszonym na wiór buszu. Trzeba było tylko przejść przez kamienną bramę prowadzącą na podwórko zawalone beczkami po ropie. To było dobre miejsce.

37

Rower postawił pod ścianą. Pokoju nie chciał, bo nie miał pieniędzy. Odczepił toból i położył się na trawie w cieniu drzewa, a kiedy zasnął, chodziły wokół niego kury. Wieczorem palił i pił, ciągle rozmawiał przez komórkę, oczy miał rozpalone. Wyglądało to tak, jakby dostrzegł coś, co wprawiło go w zachwyt, jakiś obraz, który omamił go i zniknął, pozostawiając go w stanie ciągłego, niezdrowego uniesienia. Milczał i patrzył w ziemię. Z nagłą jego oczy rozjaśniały się, po chwili znów zapadał w zadumę, coś nie dawało mu spokoju. Pił łąpczywie. Kupił karton wina, cztery litry sikacza za kilka dolarów, i mechanicznie, szklanka po szklance, łykał tę cierpką i wodnistą ciecz. Skręcał papierosy, znowu rozmawiał przez telefon. Kończył rozmowę i kolejny raz zapadał się w siebie. Był jak kukielka - głowa opadała mu na ramię i drzemał na siedząco, i wyglądał niczym przybity do niewidzialnego krzyża. A potem znów podnosił głowę, z oczami jak wielkie płonące kamienie. Była w nich dzikość, może nawet szal, który tlił się wciąż i wciąż nie dawał mu spokoju. Około północy zaczął mówić.

Kiedy miał dziewiętnaście lat, przyjechał do Australii do szkoły językowej. Trafił do Sydney, w którym czuł się źle. Duże miasto, chłodne, martwe. Raz położył się na trawie w Hyde Parku i zasnął, i tym zaśnięciem wcielił się w bezdomnego,

żeby wreszcie do końca przerwać słabiutką nić porozumienia pomiędzy sobą a tym miastem, żeby wreszcie przełamać niechęć tego miasta do własnej osoby. I obudziły go głosy tuż przy głowie, była to lekarka w towarzystwie policjanta i dwóch sanitariuszy, a w oddali, w uliczce parkowej, migotały czerwone i niebieskie światła ambulansu. I przeszedł o wiele dalej za tę granicę, którą zamierzał przekroczyć, bo kiedy lekarka klęczała przy nim i zadawała pytania: czy długo tu leży, czy brał dzisiaj jakieś środki, leki, pił alkohol, wciąż patrząc mu w oczy, zakładała sprawnym ruchem gumowe rękawiczki na wypięłgnowane dłonie. I szelest tej gumy przeciąganej pomiędzy palcami, trzask jej napiętej powierzchni na nadgarstkach był pierwszym świadectwem tego, że miasto oddaliło się już na 38

tyle, że nawet jego mieszkańcy boją się go dotknąć, nawet zupełnie przez przypadek, boją się go dotknąć tak po prostu, skóra do skóry, jakby był chorym, albo przynajmniej nosicielem. I kiedy próbował przerwać jej miły i płynny monolog, na który miał tylko odpowiadać krótkimi stwierdzeniami tak albo nie, nie wiem, nie pamiętam, kiedy tylko próbował przerwać jej monolog, by wytłumaczyć, że wyłącznie śpi, ona ponawiała ostatnie zadane pytanie. Nawet go nie słuchała, była zajęta swoją pracą, a on był dla niej jakimś fantomem, nieprzytomnym, leżącym na trawie w Hyde Parku po zmroku i choć patrzyła w jego oczy, to mogły być one spokojnie wykonane z plastiku - po prostu wypełniała instrukcję, a ta kazała jej utrzymywać kontakt wzrokowy. I kiedy skończyła badać puls, położyła jego rękę na jego piersi, a on chwycił delikatnie jej dłoń za wypięłgnowany nadgarstek tam, gdzie kończyły się rękawiczki, a zaczynała plastikowa bransoletka, i tym dotykiem zostawił jej pieczętkę porozumienia, zostawił jej niechciany prezent, kawałek swojego ciepła, ciepła wcale niezakażonej krwi, a ona sprawnym ruchem chwyciła jego dłoń, dłoń, która dokonała czegoś zakazanego, i wstała powoli, cofnęła się na bezpieczną odległość i wtedy ją puściła, jak robaka o długich kończynach, odpychające, oślizgłe zwierzę. Wciąż leżał na trawie, kiedy ona mówiła policjantowi, że nic mu nie jest, a ten kiwał głową i patrzył to na niego, to na jego torbę, która leżała kilka metrów dalej, torbę, którą ktoś otwo-

rzył i wysypał z niej całą zawartość. I tłumaczył im, że spał, że jest zdrowy, że nie wie nawet, kiedy zabrano mu torbę, leżała przecież tuż przy nim, a oni słuchali, przez krótkofalówki odwoływali alarmy o zasłabnięciu w Hyde Parku, dzwonili gdzieś do swoich central, informując, że mężczyzna spał przez cztery godziny, że raport jest, że obdukcja była, że wezwania fałszywe, a nad ich głowami płonęły w koronach drzew elektryczne gwiazdy, niewielkie lampki choinkowe, które zapalały się w całym parku po zmroku.

Kiedy ambulans odjechał, a policjant poszedł w głąb alejki, on przeszukał jeszcze raz torbę, ale pomiędzy rzeczami, które

39  
pobierał z trawnika i w niej upchnął, nie znalazł portfela. Funkcjonariuszowi, który dopytywał się, czy coś zginęło, powiedział, że niczego nie brakuje, bo bał się tych jego skórzanych pokrowców przypiętych do pasa, pokrowców, w których z pewnością miał przedmioty niezbędne na każdą okazję. Miał tam też skórzany notatnik z kartkami przeznaczonymi do wyrywania, z blankietami, w który i on zostanie wpisany, rozczłonkowany, podzielony na imię i nazwisko, i datę urodzenia, i miejsce zamieszkania, a pomiędzy każdym z tych kawałków, pomiędzy ręką a nogą tożsamości będzie ciągła, nieprzerwana linia dzieląca rubryki. I takie spisywanie raportu może trwać godzinami.

„Szybko ziścił się mój mały i bezczelny plan pozostania na jeden wieczór człowiekiem bezdomnym” - mówił sobie, idąc alejką pod sztucznymi gwiazdami. Ile można włączyć się po city, w którym wszyscy chcą być, bo nikt nie chce być na rozległych i pustych przedmieściach, ile można chodzić w koleinach cienia cielsk drapaczy chmur. Mijał slalomem ludzi poruszających się po tych ulicach tak, jakby znajdowali się w swojej kuchni, bez najmniejszego zastanowienia, intuicyjnie, zagadani przez telefon, bez zbędnego patrzenia na boki, bez potrzeby rozglądania się za skrótem czy wskazówką. Choćby ta kobieta w żakiecie, którą widział wczoraj na Pitt Street, ona przecież zachowywała się, jakby grała w filmie, a jednak robiła zdaje się to co zawsze, jedynie powtarzała detale, z których składało się jej życie, jakby egzystowała w celuloidowej doskonałości. Stał na przystanku autobusowym, czekając na

autobus na Circular Quay, a ona szła w stronę tego przystanku i jakby nawoływana przez zbliżający się autobus, jakby słyszała ten ekologiczny i cichy silnik, odwróciła się i jednym machnięciem dłoni zatrzymała go, wsiadła i uśmiechała się do kierowcy, a on uśmiechał się do niej i ona, nie patrząc wcale w dół na kasownik, automatycznie włożyła bilet w szparę i na sygnał wyciągnęła go, i wszystko odbyło się spontanicznie i prosto, bez najmniejszego zastanowienia, to jest jak pójść  
40

w nocy, bez zapalania światła, do lodówki we własnej kuchni, z całą maestrią omijania kantów stołu i krzeseł, pod warunkiem że stoją na swoim miejscu.

I w końcu zapragnął posmakować tego miasta od jego głębi, od jego krwi, wyrwać się chociaż na chwilę poza przejazdy czystymi wagonami kolejki miejskiej prowadzonej przez przystojnych czterdziestoletnich Sikhów w kolejowych uniformach, z turbanami na głowach. Chciał choć na jeden wieczór wydostać się poza to miasto, poza jego oficjalne ścieżki, wejść w przypadkowe drzwi z napisem „tylko dla personelu” albo „miasto tylko dla bezdomnych”. Chciał chociaż na chwilę ominąć bramki otwierające się uprzejmie po włożeniu biletu w zaznaczoną wyraźnie szparę. I nie poprzestać na tej wolności, która zdarza się w godzinach szczytu, kiedy uśmiechnięci faceci w niebieskich koszulach z wyszytymi symbolami kolei miejskiej na pagonach wychodzą ze swojego akwarium obserwacyjnego usytuowanego koło tych bramek i wpuszczają, jakby było święto, święto podróżnego, wszystkich bocznymi drzwiami, bez sprawdzania biletu. Jakby zależało im, by podróżni zdążyli na pociąg, który właśnie wjeżdża na peron. I wszyscy pchają się uprzejmie, terkocą kółka walizek na schodach ruchomych i we wszystkie twarze wieje gorący, lepki wiatr wypychany siłą rozpędu z czarnych trzewi tunelu. Chciał zerwać z tym i po prostu przejść granicę.

Nie miał ochoty mówić o tym, co się wydarzyło tamtej nocy. Musiał to być po prostu czas spędzony poza domem, w którym rachunek zysków i strat został przeprowadzony do końca. Nie chciał nic więcej zdradzać, zamykał resztę milczeniem, uśmiechał się, jakby wstydząc się, a może przez szacunek dla tamtych wydarzeń. Milczał i tylko raz, na chwilę, wynurzył



się z kontrolowanej strefy, i powiedział, że poznał tamtej nocy Aborygenów, których nigdy wcześniej na ulicy nie zauważał. I było tam coś jeszcze, coś pomiędzy ciemnością a balangą. Było to coś mocnego, takie zdarzenie, które potrafi odbić na 41

duszy stempel, bo kiedy wstał rano, poszedł prosto do domu, wykapał się i zaczął przeglądać rubryki z ogłoszeniami. Kupił motocykl. Wybrał ten, którym bez trudu można było jeździć po bezdrożach. To miała być droga dookoła kontynentu. Kupił też kask: różowy z pomarańczowymi literami i cyframi o agresywnych kształtach, błyszczący, bez zadrapań, niemal świecący świeżością farby. Taki akurat się trafił.

Potem ruszył na południe. Minał nudną Canberę, potem Melbourne i Adelajdę. Przeleciał przez całe Południowe Wybrzeże, gnany jakimś planem z datami i wytyczonymi etapami. Potem zaliczył cały zachód: od Perth na północ. Ocknął się dopiero w Broome. „Za szybko, to nic nie daje, całymi dniami na motorze, noce krótkie, to nic nie pomaga, do niczego nie zbliża. Co ja robię?”.

Zdecydował, że może zrezygnować z hoteli, że może spać również na ziemi, przy drodze. Więc rozkładał namiot i zasypiał. Potem na północy zahaczył o Katherine i pojechał dalej na wschód, półwysep Jork, bagna, piaszczyste drogi, potem Queensland. Zatrzymał się w Byron Bay. Tam upił się, dał motor do przeglądu, dzwonił do swoich przyjaciół, że został mu tylko kawałek drogi do Sydney, że udało się machnąć cały kontynent, że jest wspaniale. Ale kiedy wyruszył z Byron Bay, kiedy dojeżdżał już do domu po kilku tygodniach jazdy, zmienił plan. Postanowił przejechać wszystko jeszcze raz, ale wolniej, dokładniej. Ta pierwsza podróż zaplanowana jako pielgrzymka po ich ziemi okazała się wyścigiem. Przez następne półtora roku jeździł pchany bezustannie jakimś tajemniczym planem, którego nie potrafił wytłumaczyć. Przecinał pustynie, błąkał się po bezdrożach zaopatrzone tylko w mapę. Rozkładał ją przed nami - podartą zadrukowaną szmatę, brudną od smarów i wypłowiałą od słońca, rwącą się w zagięciach - i wiodąc ręką po czerwonej linii, opisywał trasę miesiąc po miesiącu. Tą ręką jak skalpelem przecinał wszystkie tereny, których wcześniej nie znał, dawne ziemie

Aborygenów, z którymi niegdyś byli tak bardzo związani. Jego ręka cięła tajemnicę, wyławiała kolejne obrazy. Ale jego nie  
42

interesował obraz tego świata, lecz świat obrazów, zdarzeń, wąskich ścieżek, którymi niegdyś wędrowali oni. Chciał dostąpić tego, co niewymawialne, a co tętniło w tej ziemi wciąż, tak samo głośne, ale coraz mniej słyszalne.

Dwa miesiące temu wjechał na pustynię Tanami. Wyjechał z Alice Springs, minął osadę Yuendumu. Pustka pokryta śmieciami. Ktoś z Warlpiri ukradł mu okulary przeciwsłoneczne. I dalej, na północny zachód. Minął górę Tanami, kilkanaście kilometrów przed wsią Lajamanu zgasł mu silnik. Nie wiedział, co się stało. Maszyna nagle zakaszłała i zamarła, słyszał tylko, jak skrzypi i zwalnia, w końcu się zatrzymała. Natychmiast zaczęło się robić gorąco. Próbował naprawiać. Bezskutecznie. Wody miał jeszcze na dwa dni. Zbliżał się wieczór, nikt nie nadjechał, nikogo się nawet nie spodziewał. Położył się spać. Rano wstał i zaczął iść, pchając motocykl. Pod koniec dnia dotarł do wioski. Oni też nie umieli naprawić motoru. Chcieli wstawić części z połowicznie rozebranej toyoty, ale skończyło się tylko na próbach. Siedział pod zacienieniem z blachy falistej i patrzył, jak dwóch Aborygenów stara się znaleźć awarię. Potem zaczęli handlować. „Muszę dotrzeć do Katherine” - mówił. Pokazali mu rower. Stary rower górski z pozrywanymi linkami hamulców był własnością jakiegoś chłopaka. Zamienili się. Tamten dostał niesprawny motor. Uparł się, że skończy w Katherine. Tak miało być od początku. To miasto miało być końcem podróży. Zostało mu więc kilkaset kilometrów. Założył kask i wsiadł na rower. Dzieciaki z Lajamanu biegły za nim jeszcze trochę, a potem został sam. To nie było to, co pomykanie na enduro. Teraz słońce grzało strasznie, mięśnie po paru kilometrach bolały, wodę przeznaczoną na trzy dni wypił w ciągu doby. Zdjął kask. Potem musiał odpocząć. Kawalek jechał, potem znów tracił siły, kładł się i znów wstawał, żeby jechać. Tak było dwa dni. Potem przyszła noc. Miał sen. Śniło mu się, że śpi na ziemi i ta ziemia zadrżała i uniosła się. Leżał nadal i wznosił się pod gwiazdy na kawałku płonącej ziemi. Teraz była ona dłonią Tęczowego Węża. Widział go, ale nie potrafił opisać,

był zjawiskiem, czymś w kąciku oka, co ucieka za każdym razem, kiedy się chce na to spojrzeć. Tęczowy Wąż nabrał powietrza do płuc, wydmuchnął je i bezgłośnie zamknął go w kuli ognia.

Kiedy się obudził, miał gorączkę. Trząśł się i miał dreszcze. Szedł z rowerem wzdłuż drogi. Dotarł do Kalkaringi. Dostał udaru słonecznego, był odwodniony. Rowerem od Lajamanu przejechał dopiero około stu kilometrów. Nie pamiętał, co działo się w wiosce. Ludzie się nim zaopiekowali, spał dwie doby. W Kalkaringi spędził tydzień. Potem znów wsiadł na rower. Nic się nie zmieniło. Jechał kilkanaście kilometrów i musiał odpoczywać. Mijali go Aborygeni w pikapach. Wrzucali rower w krzaki i prosili o podwiezienie. Chcieli pieniądze. Za każdym razem to samo. Na końcu zatrzymali się biali i wraz z rowerem zabrali go do Katherine.

Teraz siedział i opowiadał o swojej symbolicznej przegranej. Wiedziony jakimś pędem poznania chciał wnikać w ziemię tego kontynentu, przejrzeć ją na wskroś, ale tylko błąkał się po jej powierzchni. Nic nie uszczknął z tego świata, ani o kawałek się do niego nie zbliżył. Wciąż oni i on byli czymś innym, oddzielnym, pomimo pasji poznania, którą prawie przypłacił życiem. Tak opowiadał. Potem, była już trzecia w nocy, Hero zobaczył oparty o ścianę barakufirestick - długi kij z gąbkami na obu końcach. Gąbki nasyczone łatwopalnym płynem zapala się i kręci nimi młynek, furkocą smugi ognia. Taka cyrkowa zabawka. I Hero, którego ta ziemia odrzuciła, bo do niej nie należał, przed pierwszą nocą po podróży jeszcze raz zamknął się w kolebce z ognia.

Przede mną leży portret Foelsche'a wycięty z jakiejś australijskiej gazety. Pod garnkowatą policyjną czapką z białym otokiem, ponad zapiętym ciasno pod szyją twardym i szorstkim uniformem znajduje się twarz. W brodatej, łagodnej fizjonomii o słabo zarysowanych kościach policzkowych umieszczone są oczy. Foelsche patrzy gdzieś w bok. Twardy, pewnie

czasem bezlitosny człowiek, w którym gdzieś na dnie pali się mądra lampka szacunku dla świata. Tak go widzę, tak o nim myślę. Tam, w Palmerston, pod koniec xix wieku dokony-

wał niemożliwego.

Morze śmieci. Drzewa obwieszane szmatami. Krzaki też. Maszyna rolnicza na gigantycznych, żelaznych kołach - zabytek stojący w centrum wsi Barungi - wszystko w tych spłowiałych szmatach. Świat jako choinka przystrojona szmatami. Jest w tym bałaganie jakaś złośliwość dla istniejącego. Ale te kawałki materii na nowo budują przestrzeń. Jest ona surrealistyczna i brudna. Tak bałaganić trzeba umieć. Trzeba umieć zapomnieć o wszelkich nieporządkach, które się w życiu widziało, żeby wykrzesać z siebie pomysł na bałagan w nowej formie. W tej nowej przestrzeni siedzą oni. Na rozłożonej na trawie niebieskiej folii grubej jak tropik namiotu. Tratwa w trawie ze składanymi krzeselkami i lodówkami turystycznymi poszarzałymi od używania. Do drzew jest daleko, więc chronią się przed słońcem kapeluszami. Ich samochód - nieśmiertelny biały land cruiser - stoi nieopodal, wokół niego poukładane rzeczy niezbędne w podróży, toboły, materace oparte o maskę. Przyjechali na festiwal. Ma być muzyka, taniec, coś się ma dziać. Ale zamiast iść szukać kogoś znajomego, zamiast iść pod scenę, oni siedzą na skraju wsi sami, niespieszni. Są już na festiwalu.

Na ten dzień zjechali się Aborygeni z całego Terytorium Północnego. Ich samochody wyładowane kłopotami niezbędnymi w podróży stoją w cieniu drzew, transportowana materia

46  
rozsypuje się bezładnie wokół aut. Materace, baniaki na wodę, krzeselka turystyczne. Pełno dzieci. Dwie dziewczyny z organizacji pozarządowej rozmawiają z kierowcami, coś tłumaczą, nie można im przeszkadzać, one życzliwość tych ludzi zdobywają miesiącami, idą jak po kruchym lodzie, próbując do nich dotrzeć. Dopiero potem opowiadają o tych wszystkich perypetiach, które ich pracę czynią syzyfową.

Kilka miesięcy wcześniej w rejonie doszło do dwóch wypadków samochodów prowadzonych przez Aborygenów. Wypadków charakterystycznych, bo w obu zginęły małe dzieci.auta były przeładowane, kierowcy pewnie jak zwykle wypici. Dzieci nie miały wielkich szans. Sprawą zainteresowała się któraś z organizacji pozarządowych. Powstał projekt

i znalazły się pieniądze. Do wsi ruszyli pracownicy socjalni z misją przekonania Aborygenów do używania dziecięcych fotelików samochodowych. Były zajęcia praktyczne, każda rodzina mająca dziecko otrzymała fotelik, wydawało się, że wszystko idzie ku dobremu. Po miesiącu, kiedy pracownicy wrócili, okazało się, że foteliki stały się huśtawkami, zmyślnie przyczepionymi do gałęzi drzew. Część darowanego sprzętu leżała porzucona. Próbowano ustalić, dlaczego foteliki, które rozdano, nie zostały wykorzystane, dlaczego nikt nie próbował wozić w nich maluchów. Odpowiedzi udzielił jeden z mężczyzn: „One nie mogły być dobre dla naszych dzieci, jeśli zostały rozdane za darmo. Coś, co jest za darmo, jest do niczego”. Spróbowano zatem innej metody. Jakiś czas potem pracownicy socjalni wrócili do wsi, próbując za symboliczną kwotę sprzedawać foteliki. Ale za pieniądze nie było na nie chętnych.

Nie widzę ich twarzy. Siedzą tyłem do słońca, na tle rozpalonego nieba, w konturze wyglądają jak Czarny Józef i Czarna Madonna w mitycznej podróży. Ona jest jak wszystkie Aborygenki - gruba, na oko pięćdziesięcioletnia, pije herbatę z metalowego kubka. Siedzi na folii z rozłożonymi nogami, jakby sortowała niewidzialną cebulę, on siedzi na krzeselku, które

47

pod nim ginie. Jej metalowy kubek jest gigantyczny. Wystaje z niego kilkanaście sznureczków od torebek ekspresowych. Wodę się najpierw gotuje, potem ostudzona herbata popijana jest małymi łykami - czarna ciecz z oleistymi plamami na powierzchni. Wielkie okulary korekcyjne - telewizory w plastikowych oprawkach - zasłaniają pół twarzy kobiety, jest dobrotliwa, nie odpowiada na pytania, ale uśmiecha się nieznacznie i patrzy na horyzont. On charczy, skąd przyjechali, odpowiada zamiast niej, cały kontakt przechodzi przez niego. Są jeszcze dzieci. Takie małe, skulone. Nagie kulki w pieluchach, z nóżkami podwiniętymi do brzucha, śpiące w szmatkach, w cieniu jego postaci, jak potomstwo jakiegoś leśnego zwierzęcia, milczące, ślepe jeszcze, bezbronne, zaplątane w szmaty tworzące legowisko, które emanuje ciepłem po całej okolicy. Prawdziwa rodzina.

Kropki tworzą obraz

Te statywy, rozpięte płótna tła, czarna skrzynka z okiem, nad którą z pieczołowitością pochylał się Foelsche. Wszystko to magia i technika zarazem. Oni mieli swoje własne metody zapisywania, metody prostsze, a jednocześnie jakby bardziej głębokie, wielowymiarowe. Coś pomiędzy książką a rysunkiem. W ciągu tysięcy lat wypracowali technikę tworzenia obrazów, które czytało się znak po znaku, zupełnie jak otwarty tekst. Płótnem mogła być ziemia, skała albo ciało. Twierdzili: jeżeli świat widzialny jest areną, na której w przeszłości rozgrywały się ważne wydarzenia, nie można opisywać go inaczej niż właśnie jako miejsce takich wydarzeń. Tym samym opisując drogę ze wsi do wsi, opisuje się również wydarzenia, które na ziemi działy się kiedyś i w pewnym sensie dzieją się nadal. Przeszłość jest w końcu faktem ciągłym. Przeszłość w jakiś sposób nadal istnieje, choćby jedynie zapisana w krajobrazie. Tak przynajmniej mówią.

„Rose, podaj mi zieloną farbę”.

Cała scena trwa dwadzieścia minut, albo nawet więcej.

Słońce idzie przez park, minimalnie posuwa się, ale jego ruch da się zauważyć. Jest zachód, Alice Springs powoli wychładza się, choć wciąż jest gorąco. On siedzi na parkowej ścieżce i pochylony wypowiada słowa, mruczy, wpatrując się w szarość kartonu. Maluje.

49

„Rose, teraz potrzebuję wody”.

Dzieje się to nieopodal Centrum Badań Strehlowa. Więc jest zadbane park, są delikatne strzałki na słupkach wskazujące, którędy iść, by dojść do centrum. Wszystko jest przemyślane i zaplanowane. Centrum ma klimatyzowane wnętrza, bogate zbiory, których nie udostępnia. W zbiorach: notatki, szesnaście kilometrów szesnastomilimetrowego filmu z zarejestrowanymi ośmiuset aktami ceremonialnymi. Są tam także zapisane pieśni rytualne, dziś niemal zapomniane, i święte przedmioty. Mniej więcej tysiąc dwieście świętych przedmiotów. Aby zdobyć te materiały, Ted Strehlow przeszedł inicjację. Personel mówi bibliotecznym szeptem, w holu głównym jest wystawa publikacji instytutu. Niektóre z ulotek można brać za darmo. A oni: Rose, malarz i jeszcze trzeci mężczyzna siedzą na zewnątrz. I znowu to samo, ten sam

niezwykły sposób bycia. Jest tak: gdzie oni, tam disorder, wszędobylstwo drobnych przedmiotów, papierków, śmieci, plam wilgoci od splunień. Gdzie pojawiają się Aborygeni, tam wyznaczają miejscu nowy styl. Bardziej podporządkowany potrzebom aniżeli wyglądowi. Są funkcjonalni do bólu. Funkcjonalność oznacza, że przedmioty są rozrzucone bezmyślnie, intuicyjnie, nie tak, by wyglądały, ale tak, by służyły lub już nie służąc - nie przeszkadzały. Obojętnie gdzie się pojedzie, czy będą to wioski na Ziemi Arnhema, czy centralna Australia, można zawsze zauważyć tę samą niechęć dla jakiegokolwiek ramy. To prawdopodobnie ten punkt, który jest przejściem i jednocześnie barierą pomiędzy kulturami.

Stosunek do przedmiotu.

„Rose, niebieskiej”.

Jak wyglądała, nie pamiętam. Mógłbym spreparować obraz na poczekaniu, ale lepiej posłużyć się szablonem, od którego wymalowane są wszystkie Aborygenie. Wyglądała na zmęczoną czterdziestkę, była w spódnicy, bosa, stopy miała jak bieżniki opon, twarde i poryte. Usta ciemne, spękane, włosy siwe, poszarzałe, jakby wcierała w nie popiół z wystygłego

50

ogniska. Były kręcone, być może splecione w kok, może nie. Mocne spojrzenie, zawsze mają silne spojrzenie, wyraźne, zakropione cierpieniem i pewną formą świadomości płynącej z życiowych doświadczeń. Paliała, a końcówka skręta była pożółkła i wilgotna. Te kobiety są przy swoim zużyciu mocne. Pewne. Nie ma w nich zbytnej uprzejmości. Są formami wykutymi w twardym materiale. Jeśli chodzi o kulturę, ich mężczyźni w ciągu dwustu lat, które minęły od przybycia białych, bardzo się zmienili. Są delikatni, częściej piją. W ich zachowaniu widać cierpienie. To trudne do wyjaśnienia. Nie ma już w nich doskonałych myśliwych, są nieudani obywatele dużego kraju. Coś w nich zgasło, zatoneło wraz z utratą wiary w przeszłość, bo tę właśnie wiarę stracili. Więc są miękcy, senni, jakby ich rola się zakończyła, a żadna nowa nie została jeszcze odgórnym nakazem nadana.

Ten malujący za pomocą znaków zapełnia karton leżący między jego nogami. Nie ma w tym obrazie ani złotego podziału, ani mistycyzmu prymitywistów. Jest bełkot koloru i formy.

Praca jest po prostu nieudana. Co chwilę mówi coś tym swoim półszepcetem do Rose, która siedzi kawałek dalej oparta o ławkę. Dlaczego nie siedzą na ławce? Rose nie reaguje na jego słowa, więc sam wychyla się do foliówki, wokół której porozrzucone są wszystkie przybory malarskie. Ten trzeci nie robi nic. W dłoni ma plastikową butelkę, popija z niej wodę. Wokół jest pusto, cicho, ścieżka jest przez nich zajęta, słońce nieruchome, ale posuwa się w dół, czerwienieje. Zaraz zrobi się chłodno.

„Kup obraz. Oryginalne malarstwo aborygeńskie. Mam certyfikat, mogę malować rzeczy, o których wiedzą tylko ludzie z mojego klanu. Historie zastrzeżone. Z naszej przeszłości. Jak kupisz, wszystko opowiem, co jest na tym obrazie”.

Rose wyrzuca skręta i podchodzi, ten trzeci się przypatruje. Zaczynają wierzyć w możliwości sprzedania obrazu od ręki. W galeriach Alice Springs, w galeriach o oknach jak szklane ściany, są setki obrazów. Po kilkaset dolarów, 51

czasem kilka tysięcy. Niektóre z nich, rozpięte na wielkich, białych ścianach, gigantyczne płótna wypełnione milionami kropek, naprawdę robią wrażenie. Za tym malarstwem stoi długa historia.

Było tak. Najstarsze malowidła naskalne powstawały już czterdzieści tysięcy lat temu. Kształty wyrysowane ochrą na skale przetrwały do dziś, odtwarzane co pewien czas. W każdym plemieniu są ludzie, którzy strzegą takiego świętego miejsca, chroniąc jego tajemnicę i bezustannie poprawiając ochrą stare wzory. To one, najstarsze przejawy tej kultury, są kartą przetargową w dyskusjach o prawie do ziemi. „Widzicie te malowidła? - pytają Aborygeni. - One mają dziesięć tysięcy lat i my tu, na tych ziemiach, istniejemy dziesięć tysięcy lat, albo i więcej. Niezmiennie jak kamienie”.

Drugim znanym sposobem tworzenia obrazów było rysowanie na miękkim podłożu. Kreślenie patykiem lub palcem wzorów na piasku było ściśle związane z umiejętnością przekazywania podań. Jako że nie znali słowa pisanego, starsi, kreśląc, śpiewając i tańcząc, opowiadali swoim następcom o zamierzonych wydarzeniach, które miały miejsce w Czasie Snu. To były opowieści o wyłanianiu się, o początku, wówczas



rozwijał się embrion ich kultury, a zdarzenia kształtowały krajobraz, który zamieszkiwali. Każdy z tych rysunków miał bardzo precyzyjną konstrukcję, każdy ilustrował jakąś przypowieść, sztuka ta nie miała więc charakteru dekoracyjnego. Była bardziej nośnikiem tożsamości. Ktoś bowiem, kto potrafił narysować przypowieść i opowiedzieć ją, utrzymywał tę przypowieść przy życiu.

Dla białych malarstwo Aborygenów było wybrykiem. Nie miało wartości artystycznej, bo w pewnym sensie było bezprzedmiotowe.

- Jeżeli jesteście kulturą, jeżeli stworzyliście kulturę, pokażcie nam wasze biblioteki, zabytki, przedmioty.
- Mamy tylko tyle, ile możemy unieść w naszej corocznej wędrówce.

52

- A my mamy miasta - odpowiadali biali. - A w nich biblioteki i kościoły. Po nich widać, że istniejemy od tysięcy.
- A my mamy pieśni i rysunki, w których jest zawarty cały świat.

Proste wzory ułożone z punktów, bardziej przypominające mozaikę aniżeli konkretny obraz, były usypywane przez artystów przez wiele godzin. Kiedy zakończyli pracę, przychodził równie ważny moment jak akt tworzenia. Wodząc palcami po kamieniach, dokładnie relacjonowali, co dany kamień przedstawia. Z punktów układała się rzeczywistość, historia ożywała. Mogła to być opowieść o prapoczątkach albo dzieje powodzi, która spustoszyła dany region wieki temu.

W roku 1971 nastąpił zwrot. Nauczyciel jednej ze szkół centralnej Australii, Geoffrey Bardon, zaproponował kilku Aborygenom, by pokryli wielką białą ścianę budynku szkoły malowidłem. Nazywali się kolejno: Kappa Mbitjana Tjampitjinpa, Long Jack Phillipus Tjakamarra oraz Billy Stockman Tjapaltjarri. Pochodzili z osady Papunya Tula. Zabrali się do pracy. Obraz nazwali Sen mrówki (Honey Ant Dreaming). Rozpętała się burza. Po raz pierwszy od zetknięcia białych i Aborygenów historię zastrzeżoną dla ludzi z klanu opowiedziano publicznie, co więcej - zapisano ją trwale jako malowidło. Po fali protestów Aborygenów, którzy sprzeciwiali się upublicznieniu klanowych tajemnic, nastąpiła eksplozja zainteresowania

malarstwem aborygeńskim. W Papunya rok później powstał ruch artystyczny skupiający twórców z rejonu zwanego zachodnią pustynią. Biali zaczęli masowo kupować malowidła akrylowe na płótnie, zachłysnęli się malarstwem kropkowym układającym się we wzory, które choć dla nich zupełnie nieczytelne, miały w sobie gigantyczny ładunek: niezrozumiała, ale wciąż obecna, konkretna opowieść klanową. Obcowanie ze świętą materią zakodowaną w malarstwie Aborygenów stało się obsesją kolekcjonerów w Australii, Europie, USA. Tak mit i podanie, odwieczne, podstawowe elementy tożsamości

53  
Aborygenów, elementy święte i ponadczasowe, poprzez umiejętny przeniesienie ich na płótno stały się zwykłym towarem rynkowym. Opowieść artysty o Śnie mrówki po skończeniu rysunku na piasku stawała się zupełnie zbyteczna. Pozostała opowieść na płótnie, zestaw kropek, których nikt z kupujących nie rozumiał. Czas Snu, bo większość prac poświęcono wydarzeniom z tamtego mitycznego okresu, został wyceniony. Był człowiek, który tworzył obrazy w taki sposób, że rozumeli je zarówno biali, jak i Aborygeni. Zapłacił jednak za tę śmiałość uwspólniania doznań życiem, bo próba istnienia na granicy dwóch kultur okazała się doświadczeniem trudnym.

Kiedy był mały, rodzice nazwali go Elea. Mieszkali w Hermannsburgu, protestanckiej misji w centralnej Australii. Pochodzili z plemienia Aranda. Hermannsburg wyglądał zupełnie inaczej niż wioska, w której niegdyś mieszkali ludzie Aranda. Hermannsburg to były ogromne białe domy o nierównych ścianach z gliny. Na domach zalegały ciężkie dachy, był tam też kościół i pomieszczenia gospodarcze, i sale szkolne z pięknymi obrazami świętych. Była nawet wysoka wieża z metalowym dzwonem, i ilekroć dzwon śpiewał, mały Elea wpatrywał się w jej szczyt, wierząc, że mieszka tam Gąsienica. Gąsienica niezwykła - Gąsienica przodek, totem klanu Aranda. Dźwięk bijącego dzwonu przejmował małego Eleaego uczuciem, którego nie potrafił określić: świętość, którą sły-chać. Ten dźwięk wydawać mogła tylko Gąsienica. Tak myślał. Gąsienica żyła w Czasie Snu, potem umarła, ale i tak istniała nadal, przywoływana rokrocznie do życia przez mężczyzn

z Aranda. Raz dzieciak był świadkiem pewnego obrzędu. Mężczyźni zebrali się w obozie i z gałęzi ułożyli niewielki tunel. Wyobrażał on poczwarkę gąsienicy. Potem kolejno wchodzili do tego tunelu i z jego głębi śpiewali pieśni o swoim przodku - właśnie o niej. Następnie ustawili się jeden za drugim. Nadzy bez broni ruszyli w busz tak jak ona - wielka Gąsienica. I było znów tak jak na początku: święta ziemia, pełna znaczeń i Gąsienica wędrująca przez tę ziemię. W końcu doszli

54  
do wielkiego kwarcytu, w który, jak twierdzili, się zamieniła. Był ukryty w buszu i tylko ludzie z Aranda wiedzieli, gdzie się znajduje. Na miejscu jeden ze starszych uderzał w niego drewnianym narzędziem i śpiewał pieśń. Reszta milczała i ten suchy zawodzący głos unosił się w powietrzu ponad spaloną od słońca zielenią. Pieśń miała zmusić Gąsienicę do złożenia jaj. Aby ją do tego zachęcić, mężczyźni podnosili z ziemi kamienie leżące koło kwarcytu i pocierali tymi kamieniami swoje podbrzusza. Wraz z głosem w powietrze unosiły się niewidoczne gołym okiem zarodki Gąsienicy i niesione wiatrem rozprzestrzeniały się na cały świat. Potem ruszyli dalej. Tak odwiedzili wszystkie miejsca, które w jakiś sposób były związane z jej życiem.

Hermannsburg znajdował się na pustkowiu i otoczony był Nicością, której misjonarze się bali. Nicość była niebezpieczna, bo kryła w sobie niechętnie obcym plemiona, była wielką polacją świata pozbawioną wody, wypełnioną tylko słońcem i suszą. Ludzie z Aranda widzieli te tereny zupełnie inaczej. Były one dla nich przejrzyste i czytelne. Zamiast gęstego buszu widzieli dzieło Gąsienicy i innych przodków, którzy wędrując po świecie w Czasie Snu, tworzyli każdym swoim gestem krajobraz. Ale biali nie potrafili tego dostrzec. Raz, bawiąc się, Elea podsłuchał przez otwarte okno czyjś monolog. Był to sędziwy misjonarz Schwarz, jeden z założycieli misji Hermannsburg. Schwarz, jak zwykle ubrany na czarno, chodził po swoim pokoju, a jego buty głucho dudniły na deskach. Czytał coś z kartek na głos, co pewien czas zatrzymywał się przy biurku i nanosił poprawkę piórem. Interesujący nas fragment brzmiał mniej więcej tak:

Dzisiaj mamy 21 maja 1908 roku. 21 maja 1878 roku, a więc

trzydzieści lat temu, poślubiłem moją żonę. Wydarzyło się to tutaj, w Hermannsburgu. Była moją narzeczoną, jeszcze zanim opuściliśmy Hanower. Po sześciu tygodniach od jej przyjazdu i niecały rok od założenia misji postanowiliśmy wreszcie zrobić to, co obiecywaliśmy sobie jeszcze w Europie.

55

Pamiętam ten dzień doskonale. Uroczystość poprowadził pastor Kempe [przyjaciel Schwarza z ławy szkolnej]. Kto mógłby z większą miłością i wiarą udzielić mi sakramentu małżeństwa aniżeli on? Wtedy, stojąc przed ołtarzem, czułem, że moje prawdziwe życie dopiero się zaczyna. Dzisiaj, kiedy patrzę wstecz, wiem, że w żarliwej służbie Bogu, tu, na tych jałowych ziemiach, przeżyłem wszystko co najlepsze. Mój cały czas. Jestem już stary i coraz spokojniej patrzę w przyszłość, która jest coraz krótsza. I tylko czasem, po modlitwie wieczornej, kiedy zamykam już oczy i prawie śnię, pojawia się pod powiekami milczący obraz pustkowia, które Hermannsburg otacza. Nigdy Ci o tych pustkowiach nie pisałem, Andreasie [tu brak fragmentu tekstu] więc są tam tylko dukty, które biegną z punktu do punktu. Inaczej się o tym nie da myśleć. Oswoić tę przestrzeń? Trzeba by zastosować skrót myślowy. Na przykład: ta przestrzeń to konstelacja osad ludzkich rozrzuconych szerokim gestem pośród Nicości. Zapewniam Cię, mój drogi, że opisywać można tę przestrzeń jedynie za pomocą prostej, niemal szkolnej definicji, bo inaczej na zawsze pozostanie ona dla nas niezrozumiała. Nicość jest miejscem, na którym biały człowiek nie zdoła, bez pomocy Boga, wycisnąć piętna swojej obecności. To piach i kamienie albo wysokie, żółte trawy ostre jak igły, w których toną drzewa o jasnej, niemal białej korze. Wyglądają jak opalone słońcem piszczelki wbite w suchą glebę. I jest słońce. Słońce okrywa lepkiem płaszczem każdy fragment pejzażu, wdziera się pod drzewa i pod powieki. Wejść tam i zgubić się znaczy umrzeć. Dlatego podróż jest wędrówką po ostrzu noża, stałym, równoległym obcowaniem ze śmiercią na odcinku tysięcy kilometrów. Wiem dobrze, co znaczy to uczucie pustki wokół, pustki wypełnionej milczeniem.

Wyznam ci moją słabość, Andreasie. Przyznam, że strach przed śmiercią, która może zmaterializować się w jednej

chwili, kiedy tylko straci się w dziczy orientację, przysłania mi piękno tej ziemi. A przecież jest ona formą doskonałą. Jest pustką, z której wydestylowana została tylko przyroda.

56

Drzewa, skały, czerwony piach, który przesypuje się pomiędzy palcami i rozwiewa w żagiel pyłu. Tam wszystko zwalnia, jako że nie ma czego gonić. Umieranie jest powolne, wydłużone do nieprzytomności, zbliżone do kontemplacji samego faktu odchodzenia. Umiera się z wycieńczenia. Z braku wody, z nadmiaru słońca.

Natura jednak, obracając swój byt wokół wielkiej Osi Roku, takich znikomych istot jak człowiek nie zauważa. W buszu rolę pierwszoplanową odgrywają bohaterowie skali makro. Kiedy pada deszcz, powstają niewielkie strumienie, które przeistaczają się w rzeki. Kiedy deszcz przestaje padać, rzeki i strumienie wysychają, pozostawiając po sobie ślady obecności: linie papilarne wyschniętych koryt, podłużne rozpadliny i podmyte skarpy. W wielkich pożarach, kroczących wraz z kierunkiem wiatru, drzewa eukaliptusowe płoną. Ostatkiem sił wybuchają z potężną energią, wyrzucając z siebie nasiona, które padną na gorącą ziemię. Z nasion tych odrodzi się drzewo, które zginęło w ogniu.

Wszystko jest tam gigantyczne i człowiek nie jest tu w żadnym wypadku czynnikiem, który może współdziałać z tą maszyną. Widzi swoją małość i przelotność, i tym samym zaczyna dostrzegać obecność zjawisk od siebie większych. Kiedy zasypia na kawałku suchej ziemi, widzi nad sobą Krzyż Południa, i ten układ kilku gwiazd jest dla niego takim samym kawałkiem świata jak kamienie, którymi obłożył palenisko ognia. Dostrzegając to, co dotychczas było niezauważalne, bo zbyt duże, by można było się z tym mierzyć, także samego siebie zaczyna postrzegać w innym świetle. W jednej sekwencji, która przebiega jego umysł, potrafi umieścić obecność Krzyża Południa i siebie leżącego na ziemi i okutanego materia, która chroni go przed mrozem nocy. Mówi do siebie w duchu: „Nade mną jest Krzyż Południa”, i tym samym w jednym zdaniu wiąże to co nieistotne, zbyt oniryczne i łzawe, aby zasługiwało na uwagę, z tym co twarde, surowe i piękne. Trochę w dół od bardziej szpiczastego końca Krzyża Połu-

dnia widać gwiazdę. Łatwo ją przeoczyć. Dopiero długie

57

godziny wpatrywania się w niebo pozwalają stwierdzić, że gwiazda ta jest, tak samo jak Gwiazda Polarna, miejscem, przez które przebiega oś, wokół której Ziemia się obraca. Jest jedynym punktem stałym na nocnym niebie, gdyż inne gwiazdy zataczają w ciągu doby pełne koło, wirując wokół tej osi. Jedyny stały punkt w widzialnej rzeczywistości. Jedyny bezruch w wielkim, równym i milczącym przemijaniu.

Człowiek przebywający w Nicości, odcięty od dźwięków, które mu od zawsze towarzyszyły, wpada w panikę. Cisza wdziera się w głowę i nawet lekki wiatr nie jest w stanie zakłócić okropnej czystości myśli. Cisza wydaje się groźna, jakby drzewa przypatrywały się w całkowitym milczeniu intruzowi, którego los i tak jest przesądzony. Ciało staje się czymś cennym a jednocześnie kruchym. Mieć ciało w mieście a mieć ciało w Nicości to wielka różnica. Ciało w Nicości jest przeszkodą i sporym utrudnieniem. Trzeba myśleć za ciało. Pić siedem litrów wody dziennie, choćby nawet nie czuło się pragnienia. Należy okrywać głowę, bo w przeciwnym wypadku słońce, które wieczorem zajdzie, pozostanie w głowie na całą noc, albo i dłużej. Słońce wtedy pali od środka i pojawia się temperatura, wymioty, obrazy, których nie ma, a które jednocześnie widać.

Ciało łatwo zranić o trawy. Ich igły przechodzą przez palce nóg na wylot, jakby miękka i biaława pomarszczona tkanka dla traw nie istniała. W mieście z takim ciałem można iść do lekarza, w mieście, nawet jeśli zasłabnie się na ulicy, można spodziewać się pomocy.

Tak jest ze wszystkim. Spotkanie jest spotkaniem, cisza jest ciszą. Każdy krok decyduje o przetrwaniu. Wszystko ma swój z góry nadany sens. W ciszy słyszeć. Dlatego prawdopodobnie chcąc odciąć bodźce zewnętrzne, pustelnicy w pogoni za prawdziwym sobą, a więc i bliskością Boga, uciekali. Widzę w Nicości dzieło Boga, widzę stworzoną przez Niego bezgraniczną ciszę. Powiem tylko, cytując Pascala, którego wielce sobie cenię, że „wiekuista cisza tych nieskończonych przestrzeni przeraża mnie”. Bywaj zdrów, czekam na wieści

58

z Hanoweru, niech miłosierny Bóg ma nas, pokornych wykonawców Jego woli, w swojej nieskończonej opiece.

Podpisał się, włożył list do koperty, zakleił i schował do szuflady.

Elea był zdziwiony tym, co usłyszał. Nigdy tak o swojej ziemi nie myślał. Była dla niego gościnna i przejrzysta w swoich intencjach. Żał mu było pana Schwarza, który, jeśli wierzyć słowom listu, znaczną część życia spędził w miejscu wzbudzającym w nim niepokój. Tego dnia Elea, leżąc w łóżku, marzył, by kiedyś pokazać panu Schwarzowi ziemie Aranda takimi, jakimi są naprawdę.

Wiele lat później, w roku 1934 do Hermannsburga przyjechali z Melbourne artyści malarze: Rex Battarbee i John Gardner. Postanowili zrobić w misji wystawę swoich prac. Wówczas Elea już nie nazywał się Elea, tylko Albert Namatjira. Takie imię i nazwisko nadali mu misjonarze. Miał trzydzieści dwa lata, zarabiał, wożąc towary karawaną wielbłądów przez pustynie, miał też żonę o imieniu Ilkalita.

Wystawę otworzył pastor F. W. Albrecht. Przyszło na nią około trzystu Aborygenów i zanim Albrecht skończył mówić, ludzie dyskutowali namiętnie, zdziwieni tym, w jaki sposób biali artyści przedstawili ich klanowe ziemie. Mężczyźni pokazywali palcami obrazy i śmiali się. Autorzy prac, to było oczywiste, malując krajobraz, nie zauważali świętych miejsc. Idioci! W ogóle nie oznaczali ich w pejzażu, jakby byli nieczuli na oczywistość tych punktów. Poza tym ten sposób opowiadania o świecie! Po co malować drzewa, wzgórza takimi, jakimi one są? Przecież ten sam krajobraz można przedstawić symbolicznie: można jednocześnie opowiedzieć o krajobrazie i o dziejach Czasu Snu! Krajobraz wszak jest legendą, każde wzgórze coś znaczy! Po co więc tylko przenosić jego kształt na papier, zapominając o dziejach z tym miejscem związanych? Ale Albert był zachwycony. Z otwartymi ustami śledził wijące się pociągnięcia pędzla, z których wyrastały drzewa

59

i wzgórza, i za każdym razem śmiał się wzruszony, kiedy odnajdywał na blejtramach znany sobie pejzaż. „Przecież kraina Aranda na tych obrazach wygląda jak żywa - mówił. - A tu!

Byłem tam w zeszłym tygodniu!". I te uczucia, które w nim wybuchły, były jak zarodniki Gąsienicy uwalniające się pod wpływem śpiewu starszych klanu. Ogarnął go czysty zachwyt i uniósł we wszystkie strony świata. Wiedział już, w jaki sposób pokazać ziemie Aranda białym, aby nie bali się tych ziem, aby byli nimi zachwyceni.

Po wystawie Rex Battarbee i John Gardner chętnie odpowiadali na jego pytania. Albert, aby być bliżej nich, zaproponował nawet, że jeśli mają ochotę, pokaże im piękne pejzaże, których żaden biały jeszcze nie widział. Jakiś czas potem wraz z Battarbeem poszli w busz. Albert prowadził. Kiedy Rex malował, patrzył na jego ruchy. Rex, widząc fascynację Aborygena, zaczął uczyć go krok po kroku sztuki nakładania farby i tworzenia obrazów z barwnych, lepkich plam farby. Namatjira najpierw rozcierał farbę na końcówkach palców. Dziwiła go jej konsystencja, brak grudek, które znajdowały się w ochrze używanej przez artystów aborygeńskich. Potem unosił palce do słońca i znów się dziwił. Takie kolory! Takie możliwości! Okazał się pojętym uczniem. Malował dużo. Sam ze śmiechem mówił o sobie, że ma dar, że ten dar jest w nim i Rex tylko pomógł mu go wydobyć z głębi, ze środka. W roku 1938 zachęcony przez przyjaciół po raz pierwszy pokazał swoje prace publicznie na wystawie w Melbourne. Sława przyszła natychmiast. Był pierwszym Aborygenem, który malował jak biali - figuralnie, ale jego pejzaże były przeniesione na płótno nie tyle pędzlem, ile czułością, którą je darzył. To było wi-  
dać - mocne uczucie człowieka związanego ze swoją ziemią emanowało z kolorów, faktury, sposobu postrzegania świata. Kolejne wystawy w Adelajdzie i Sydney dały mu to, czego tak naprawdę pragnie każdy artysta. Zdobył sławę i pieniądze. Do galerii, w których wystawiał, waliły tłumy, obrazy sprzedawały się natychmiast. Królowa brytyjska lubiła jego prace. Wiedział, że jest ewenementem w skali całej Australii. Żaden

60

Aborygen nigdy wcześniej nie był traktowany z takim szacunkiem i sympatią. Jednak w jasnych, przestronnych salach był skrepowany. Otoczony tłumem białych, czuł się nieswojo, wolał przebywać wśród swoich. Ostatecznie robił to wszystko, godził się na cały blichtr białych, bo wiedział, że za zarobione



pieniądze będzie mógł nabyć ziemię i założyć hodowlę bydła. Tak żeby jego rodzina pracowała na siebie.

Kiedy zebrał już wystarczającą sumę pieniędzy, postanowił kupić farmę. Znalazł nawet kawałek ziemi, który mu się spodobał. Ale kupno okazało się niemożliwe. Aborygeni bowiem, jako ludzie drugiej kategorii, nie mogli nabywać ziemi. Zabraniało tego australijskie prawo. Postanowił więc, że w Alice Springs kupi dom. „Jeżeli nie mogę zainwestować zarobionych pieniędzy tak, by je pomnażać, kupię dom, w którym dam schronienie mojej rodzinie” - pomyślał. Ale i to okazało się niemożliwe.

Miłośnicy jego malarstwa szybko dowiedzieli się o niezwyklej sytuacji. Oto człowiek, którego ceni cała Australia, który z wyrazami największego szacunku goszczony jest w każdym jej zakątku, nie może za zarobione pieniądze kupić nawet domu! Czy to jest możliwe? Czy taka polityka ma sens? Kiedy sprawa stała się głośna, rząd Australii zdecydował o nadaniu mu obywatelstwa. Stało się to w roku 1957. Namatjira i jego żona byli więc pierwszymi Aborygenami-obywatelami Australii. Precedens ten stał się początkiem długiego procesu nadawania obywatelstwa wszystkim Aborygenom. Zakończył się dekadę później, w roku 1967.

Teraz mógł kupić dom, gdziekolwiek mu się zamarzyło. Co więcej, jako obywatel mógł kupować alkohol. Taki trik ustawowy stworzony po to, by chronić Aborygenów przed alkoholizmem: tylko obywatele mogą go kupować. Ale ludzie z jego społeczności szybko wykorzystali nową sytuację. Dawali pieniądze Albertowi, a on jechał do liquor store i kupował. Nie mógł przecież odmówić swoim bliskim pomocy, byłoby to niezgodne z zasadami postępowania ustanowionymi jeszcze w Czasie Snu. Jeżeli brat prosi cię o pomoc, musisz mu

61  
pomóc - tak to mniej więcej brzmiało. Albo: dziel się z bliźnimi tym, co sam masz. W ten sposób Namatjira zakochany w ziemiach Aranda, przenoszący ich subtelne piękno na gruntowany karton, znalazł się gdzieś pomiędzy dwiema kulturami. Był ich stykiem, delikatną nitką łączącą oba gigantyczne, odmienne od siebie organizmy.

Rok później nieopodal osady Morris Soak zamordowano

Aborygenkę. Zatlukł ją mąż w napadzie furii. Naoczni świadkowie mówili, że dostał szau. Zmasakrowane ciało zabrała policja, mordercę też. Na posterunku powiedział, że zrobił to, bo był pijany, a alkohol kupił mu znajomy Aborygen. Do Namatjiry policjanci przyjechali kilka godzin później. Wylądował w areszcie. Kiedy go prowadzili po stopniach wiodących do sądu w Alice Springs, szedł wolno, ledwie powłócząc nogami. Próbował jeszcze tłumaczyć, że obowiązywały go dwa prawa. Białe prawo, które zabraniało dostarczać alkohol nieobywatelom, i prawo Aborygenów, nakaz stary jak ich kultura, o którym każdy Aborygen dowiaduje się w dniu swojej inicjacji, mówiący, że masz dzielić się wszystkim, co posiadasz, ze swoim bratem.

Dwa miesiące później wyszedł z więzienia. Nie chciał już malować. Nie chciał także żyć. Zmarł złamany w roku 1959. Dla białych stał się symbolem Aborygena-obywatela, a jego śmierć zwróciła uwagę na tragiczną sytuację autochtonów poddanych ciężkiemu procesowi asymilacji. Dla Aborygenów Namatjira stał się symbolem tego, że można.

Dwanaście lat po jego śmierci, w roku 1971 Geoffrey Bardon zaproponował kilku Aborygenom, by pokryli wielką białą ścianę budynku szkoły malowidłami. Tym razem oczy białych nie mogły nie dostrzec aborygeńskiego malarstwa tradycyjnego, dotąd przenoszonego tylko akrylem na płótno.

Na zachód od Alice Springs rozciąga się pasmo Gór McDonnella. Droga uciekała serpentynami w busz, świeciło słońce i gdzieś na marginesie płaszczyzny przepalony słońcem

62

pomarańczowy łańcuch. Ziemia Aranda. Jechaliśmy do Hermannsburga stopem, poprzedni kierowca zostawił nas na rozwidleniu dróg na środku płaskowyżu. Jechał w góry, my bardziej na południe, do misji, tu więc na rozgałęzieniu nasze drogi się rozchodziły. Po dwóch godzinach oczekiwania zatrzymał się pikap. Włoszka. Wiozła swojemu chłopakowi, który prowadził kamp ukryty gdzieś w buszu, ciasteczka z orzechami. Pachniało nimi w kabinie. Studiowała historię sztuki w Melbourne. Mówiła: „Największym problemem stojącym przed współczesnym malarstwem aborygeńskim jest pamięć. Kiedyś Aborygeni nie chcieli zdradzać swoich kla-

nowych podań, gorliwie strzegli legend. Namatjira pilnował, aby nigdy w swoich pracach nie zdradzać elementów mitologii Aranda. Kiedy Bardon poprosił o pomalowanie ściany szkoły, po raz pierwszy pokazano publicznie Sen Mrówki. Biali dowiedzieli się o istnieniu mistycznych, religijnych obrazów i zachwycili się nimi, ich głębią. Aborygeni zaczęli zakładać stowarzyszenia i zarabiać na życie, malując. Szybko jednak okazało się, że wyczuwając koniunkturę rynku, przestali malować obrazy o konkretnym znaczeniu. Zorientowali się, że biali biorą jak leci: obrazy, na których przedstawiono najpilniej strzeżone klanowe tajemnice i przypadkowo postawione kropki i kółka na płótnie. Białym to nie robiło różnicy, nie widzieli jej, nie umieli bowiem odczytać skomplikowanej i wielowymiarowej symboliki malarstwa Aborygenów. Tamci zaczęli więc malować przypadkowe wzory. Jednak broń, której użyli, obróciła się przeciw nim. Dziś niewielu ludzi potrafi namalować obraz, który niósłby w sobie treść, przedstawiałby dzieje z Czasu Snu. Sztuka ta zanika, odkąd zetknęła się z pieniądzem. Chcesz kupić malarstwo za przyzwoitą cenę? Pospaceruj po parkach w Alice Springs, spotkasz tam siedzących na ziemi ludzi, którzy malują obraz za obrazem. Ale co one opowiadają? Tego nigdy się nie dowiesz, oni sami tego nie wiedzą, nastąpił koniec ich malarstwa".

### Kukielki

W Hermannsburgu jest pięknie. Do Hermannsburga jest daleko. Od Alice Springs trzeba bić ciągle na zachód, po prawej faluje nerwowymi skokami pasmo Gór McDonnella, potem robi się nagle spokojnie. Samochody, które przelatowały z hukiem, obrzucały nas drobnymi kamieniami. Siedząc na poboczu, na rozjeździe dróg, w oczekiwaniu na stopa, przesuwaliśmy się po kawałeczku, by wciąż pozostać w cieniu drzewa. Rozjazd oferował dwie wyraźnie odmienne możliwości. Jedna droga biegła w prawo, w góry, widać było majaczącą w oddali fasadę łańcucha. Droga w lewo wiodła do położonego pomiędzy niewielkimi wzgórzami Hermannsburga. Tam natychmiast zniknęła między wzniesieniami. Potem przyszło zderzenie z oczekiwanym. Kiedy przyjechaliśmy na miejsce, zapadał zmrok. Domy z blachy, śmieci. Hermannsburg był większy, niż się spodziewaliśmy. Na ścianie sklepu wisiała

metalowa tablica z apelem policji. Był to komunał typu: „Widziałeś przestępstwo - informuj. Razem stwórzmy spokojną społeczność”. Był też rysunek obrazujący zależnośći rządzące lokalną community, wykonany na wzór malarstwa symbolicznego. Kręgi i linie o religijnym ładunku tu służyły objaśnianiu układów administracyjnych.

Gdy szliśmy drogą przez wieś, przyplątał się do nas kundel. Budynki dawnej misji w zachodzącym słońcu wydawały się wcale młode. Ich ściany falujące, nierówno otynkowane.

64

Przestrzeń pomiędzy budynkami wypełniała cisza. Był tam też cmentarz z rozwalonym murem, pokonaliśmy ten mur wraz z psem, nagrobki Aborygenów o biblijnych imionach śmieszyły nas, pies czekał niczym niezrażony. Groby misjonarzy, kawał historii wyryty w kamieniu. Wracaliśmy. Na wzgórzu wznoszącym się na środku wsi stał krzyż. Góra w zachodzącym słońcu była czerwona, płonęła, niebo nad nią miało mentalność nieba z obrazów Eugenijsza Delacroix. Ten krzyż wyglądał jak zwiastun wielkich biblijnych wydarzeń, które mają nastąpić, zwiastun górujący nad osadą pełną biedy, śmieci i policyjnych, okratowanych furgonów zaparkowanych na poboczu. Potem jeszcze pies przyjaciel nas wyprzedził, wlaź na tę płonącą górę i ustawił się do zdjęcia. I takie właśnie zdjęcie Ania zrobiła: nierzeczywiste, patetyczne. Krzyż, płonąca ziemia, dynamiczne niebo walące się na nasze głowy, czarny pies u podnóża wielkiego krzyża. Brakowało tylko nadej i pustej muzyki Glassa.

Następnego dnia poszliśmy zanurzyć się w chłodne sale misji. W jednej z izb - wyczyszczonej, lepiej: schludnej, o jasnych deskach podłogi i białych ścianach - wisiało sepiowe zdjęcie w ramce. Niewielkie, idealnie wkomponowane w symetrię protestanckiej pustki. Para Aborygenów patrząca w obiektyw. On w kapeluszu, lekko zmrużone oczy, ona w chustce na głowie. Dwie kukielki wciśnięte siłą w formułę, której nigdy do końca nie rozumieją. To było w Hermannsburgu chyba najsmutniejsze.

Pierwszy kamień

Jest gęsto. Wszystko jest gęste. Woda w plastikowych butelkach jest ciepła, powietrze z trudem rozstępuje się pod napo-

rem ciała. Drzewa od tej gęstości oszalały. Poskręcane grube pnie, obłąkane konary, które same nie wiedzą, czy są jeszcze gałęzią, czy już lianą. Diagram szaleństwa rządzi tą puszczą: liany i pnącza są wszędzie. Nie ma granicy ściółki i obszaru drzew. Ziemia to ciemny torf, z którego wyrastają czarne od powodzi kształty.

Jest sucho. Taka pora. Lepkie noce wypełnione szumem komarów nie chcą się kończyć. Morze Arafura jest trzydzieści kilometrów stąd, zaraz za pasem lasów namorzynowych. Ale nawet pomimo odległości jego słone cielsko nas obejmuje. Na mapie nie ma jednolitej granicy oddzielającej morze od lądu. Są na niej za to kreseczki, matowe plamki wskazujące, że między lądem a wodą jest jeszcze materia przejściowa, podmokła - znów szaleństwo, coś jak czyściec pomiędzy stanami skupienia.

Droga opada z niewielkiego wzgórza i ginie w rzece East Aligator. Rzeka jest mętna, żółta i leniwa. Jej drugi brzeg to już Ziemia Arnhema. Jest upalny poranek i na zjeździe do brodu stoją trzy land cruisery. Dwa z nich należą do Aborygenów. Mówią, że jadą aż do Nhulunbuy, a więc około pół tysiąca kilometrów piaszczystym duktem, który nawet nie jest zaznaczony na mapie. Kilkudniowa katorga pełna podskakiwania

66  
na fotelach, trzeszczących wycieraczek szorujących po kurzu, gęstego smrodu tytoniu i potu. Na dachach piętczą się starannie powiązane pęki gałęzi. Drewno przyda się do rozpalania ognia, jeśli w okolicy nie będzie drzew.

W jednym z samochodów, pomiędzy zaschniętymi rozbryzgami czerwonego błota zalegającymi na szybie, widać twarz. Z początku, zaglądając ukradkiem, nie dostrzegam jej, jestem zbyt ciekawy wnętrza auta, nie widzę tych czujnych oczu świecących w półmroku. W środku jest ciemno, błoto na szybach ledwie przepuszcza promyki słońca. To kobieta. Siedzi na tylnym fotelu wtopiona pomiędzy pękate worki. Siedzi, a raczej tonie w tych workach, one są ważniejsze od jej ciała, worki wypełniają auto po brzegi. Pewnie wiozą dobytek. Ona ma na sobie wymiętą, czerwoną sukienkę. Zbyt ozdobną na taką podróż. Widzę jeszcze siwe kręcone włosy i wielkie oczy. Przy odsłoniętej piersi - makówka. Główka niemow-

laka. Przyłapaną kobietę patrzy mi w oczy, milczy, nie unika spojrzenia, jest wyniosła w swojej przestrzeni.

Mężczyźni palą. Ich ruchy są powolne, wyważone, w sam raz na to mocne słońce. Mówią mało, ale konkretnie, krótkimi sekwencjami, wszystko jest oszczędne. Jeden popija piwo z puszki. Z wozów co chwila ktoś wychodzi i wsiada z powrotem, małe przetasowania, ciągły ruch, choć nie dzieje się nic konkretnego. Raz jest to dziewczynka, zaraz potem starsza kobieta, obolała od niewygody podróży, posuwa się krok po kroku z dłonią na krzyżu, ciężko wsparta na masce samochodu. Obwisłe policzki nadają jej rysom dobroduszość. Suknia w kwiaty, skóra na pulchnych ramionach wyschnięta, niemal biała. Jeden z mężczyzn wyciąga tytoń i skręca jej papierosa. To ich podróżowanie, mityczna wędrówka, ten rdzeń ich kultury, dziś, w naszych czasach jest jakoś zbyt usankcjonowany. Wyglądają jak turyści w tych swoich wielkich samochodach, jak zwykli ciekawscy świata. Ich spotkania z odległymi krewnymi są śmiesznie zwyczajne, pełne czułości, serialowe perypetie pospolitych rodzin. Tylko we wnętrzach samochodów wiozą certyfikat na swoją niezaprzeczalną

67

statykę formy, swoją niezmiennność. Te worki, te załadowane gratami auta. Coś cygańskiego - tabory, które nie tylko są podróżą, ale i nigdy niekończącą się wędrówką, takim praktycznym filozofowaniem. Wciąż są bardziej zanurzeni w nomadyzmie niżeli w zwykłej podróży. Takiej matematycznej. Z odcinkami. Od-do. I z powrotem.

Trzeba jeszcze poczekać, by bród rzeki stał się przejezdny. By ciało East Aligator River rozstało się i podsunęło kołom samochodów i stopom pieszych swoje dno, które ktoś dawno temu wyłożył w tym miejscu płytami z betonu. Pod stopą pojawiają się więc śliskie uskoki, ale lepsze to niżeli grząskie, muliste dno.

Cała wielka rzeka, na brzegu której stoją samochody, odbija się w maleńkiej rubryce w lokalnej gazecie wychodzącej w Darwin. Na dole jednej ze stron jest tabela wypełniona cyferkami oznaczającymi godziny. Są jeszcze ikonki pokazujące fazy Księżyca: symbole pełni i nowiu. Z gazety można się dowiedzieć o stanie wody na rzece East Aligator. W maleń-

kiej tabelce jest więc wszystko: jak Księżyc rzekę popycha do działania i jak jej odpuszcza. I kiedy można przeprowiać się przez bród. W diagramie zawarte są zatem losy rzeki. Pomyślowe: energię tak wielką, że sięga aż od Księżyca do Ziemi, da się zapisać w postaci kilku cyfr umieszczonych w paru okienkach.

W końcu woda opada. Samochody ruszają. Trzaskają zamykane drzwi, z rur wydechowych wypływają kłęby czarnego dymu, a zaraz po nich, kiedy silniki odkaszną, błękitnawe smużki. I znów zesłanie w czarne kabiny, kabiny pełne kurzu i domowej atmosfery. Wozy kulają się ciężko, a pod kołami chrzęszczą kamienie. Jeden po drugim zanurzają się w żółtej wodzie. Wyglądają jak wielkie żuki powoli mielące po dnie łapami.

Na brzegu pozostaje dwójka dzieci. Brodzą w rzece, kiwają samochodom na pożegnanie. Więc jest rzeka: szeroka, żółta

68  
i mętna, naturalna rzygowina pełna archetypicznych gadów łakomych na słodkie mięso ludzi, i ta dwójka. Dwa maluchy rządzące tą rzeką i jej ciszą. A wokół lasy i słońce. Skąd pochodzą? Gdzie ich rodzice? W Jabiru? To za daleko. Nikogo w pobliżu nie ma, więc nie przyjechały tu samochodem. Gdzieś nieopodal musi być ukryta wioska. Skaczą z kamienia na kamień i znalezionym sznurkiem biją taflę wody. Ona ma dwie kitki i białe zęby. Ubrana jest w sportową koszulkę z jakimś numerem i szorty. Jest boso. Chłopiec jest od niej o kilka lat młodszy. Brudny i usmarkany. Dwójka dzieciaków i rzeka, która oddycha tak powoli, że w ciągu doby robi zaledwie jeden wielki wydech. Ta scena dotyka czegoś, co jest w głowie, wciska się w podświadomość i choć jest to uczucie wyraźne, wcale nie chce się dać wyrazić. Mówię sobie, że to uczucie jest za stare, żeby próbować je nazwać. Albo że jest zbyt subtelne. Bez sensu byłoby je spłaszczać słowami. Zatem w drogę. Trzeba wynająć samochód w Darwin, w którejś z wypożyczalni usytuowanych nieopodal lotniska przypominającego barak stojący przy podłużnym pasie betonu. Jechać do Jabiru szeroką szosą z żółtym i kłującym buszem z obu stron drogi. Słuchać głośno muzyki, zmieniać płyty, przez otwarte okna wpadać będzie duszący podmuch gorącego powietrza. Woda

w butelkach już robi się ciepła. Smakuje jak rozcieńczony plastik. Potem jeszcze wąskie drogi Parku Narodowego Kakadu. Równiny traw z surrealistycznymi palikami pokazującymi poziom wody w porze deszczowej. Niedługo, już za kilka miesięcy, woda znów tu będzie i zostaną tylko pnie drzew ponad taflą. Po prawej, w oddali nad trawami pojawia się pierwszy masyw. Pasma płaskich jak stół skał o stromych zboczach. Mijamy miasteczko Jabiru, ściszymy radio. Wjazd w las. Teraz czas na deformację. Musimy zmienić się, aby przyjmując obraz, do którego jedziemy, takim, jaki on jest. W pobliżu Ubirr jest już milcząco i mroźno. Chłód jest tylko w głowie, bo tak naprawdę jest tam gorąco. Malowidła z tamtejszych galerii skalnych mają coś do przekazania, a nie jest to nic innego jak statyka istnienia, która trwać może nieprzerwanie przez

69

dwadzieścia tysięcy lat. Tyle mają te malowidła. Taka fantazja twórcy: narysować postać i jednocześnie pokazać jej wnętrze. Malarstwo rentgenowskie, wynalazek Aborygenów. Taki mały Totentanz Hansa Holbeina - Taniec Śmierci, którego my się boimy, a oni, wywyższeni wobec własnej przemijalności, zadają mu kłam od tysiącleci, odrysowując co roku zebra i piszczele postaci w Ubirr. Więc jest to ich panteon świętych. Na tych ścianach są wielcy ich świata, kamienni ojcowie Kościoła, który nie ma swoich gmaszysk. Więc jest aż mroźno.

Jeszcze kawałek i już jest rzeka i bród na Ziemię Arnhema. Zostawiamy furę. Ostatnie kilkaset metrów piechotą. Środkiem drogi. Pustkowie, wciąż w pamięci gnają płaskie jak skała postaci z kośćmi prześwitującymi spod skóry. Gdzieś w koronach drzew pokrzykują ptaki, ptaki wrzeszczą, ich głos ma nam coś do przekazania, może to dobra wiadomość, może przestroga, nie wiadomo. Jesteśmy. Powoli. Żeby nie spłoszyć. Po prawej stronie, pod okapem drzew, jest skarpa. Wejźmy na nią. Teraz patrz w dół. To one: roześmiane dzieci - kilkulatki na pustkowiu - chłopiec i dziewczynka bawią się na brzegu mętnej rzeki. Są tak jedyne, że widać je nawet z kosmosu. A rzeka wciąż chudnie - trwa odpływ. Powoli, centymetr po centymetrze rodzi z siebie błoto i końcówki lian. Dzieciaki mają więc jeszcze większą przestrzeń do zabawy. Odbywa się dzielenie świata na nowo. Ich sznurek sięga wyłaniają-



cych się z wody kamieni. Sznurek niewidzialnej energii sięga Księżycy.

W Jabiru jest kompleks handlowy - kilka sklepów i punkty usługowe. Przed sklepami na stojakach wystawione są rulony gazet. Ludzi nie ma, wieje mdły, gorący wiatr, jest pusto, jakby wszyscy poszli sobie na drugi koniec miasteczka na festyn. Sklep spożywczy to średniej wielkości hala, w której połowa półek wypełniona jest konserwami, a druga połowa sprzętem niezbędnym do przeżycia w buszu. Są tam gigantyczne świece na moskity, fantastyczne siekiery, od których nie można oderwać wzroku, siatki na twarz, które przypina

70  
się do runda kapelusza, i gigantyczne maczety z zielonkawej natłuszczonej stali z czarnym napisem Brasil wytłoczonym na klindze. Hangar zwiedza bosy chłopak z klanu Mirrar. Bierze latarkę do ręki i dokładnie ogląda, odkłada na półkę, przechodzi kawałek dalej i bierze do ręki saperkę. Nie spieszy się, jest spokój.

W Jabiru trzeba załatwić pozwolenie na wjazd na Ziemię Arnhema. Biuro, które wydaje takie zezwolenia, mieści się tuż przy sklepie. Strażnik brodu wygląda, jakby nigdy nie wstawał z za biurka ustawionego w maleńkiej kanciapie oklejonej plakatami. Jest gruby, ciężko dyszy astmatycznym świstem. Pomimo klimatyzacji ociera co chwilę wysokie, spocone czoło. Ogląda nasze paszporty, potem starannie wypisuje blankiety pozwoleń. Po części formalnej nagle ożywa, zmienia się, jest wesoły. Nie wstaje z za biurka.

- Jakim samochodem jedziecie? Falconem? To nie wysiadać, jak się w wodzie zadławi. Wzywać pomoc, ale nie wysiadać. W zeszłym roku jeden przyjechał łowić tu ryby. I co się stało? Wszedł na środek brodu, woda była wtedy po kolana, a on wędkę rozłożył i zarzucił. Łowił, łowił i nic nie złowił.

A wiecie dlaczego?

- Nie wiemy.

- A jak myślicie?

Zagadki.

- Krokodyl wyskoczył z wody i odgryzł mu pół ciała - gruby strażnik rozweselony swoją opowieścią trząsł się ze śmiechu. - Dosłownie pół ciała.

Kartka z pozwoleniem jest złożona na czworo. Na ścianach biura porozwieszane bajeczne pejzaże - fotografie z lotu ptaka rejonów Parku Narodowego Kakadu i Ziemi Arnhema. Bóg był łaskawy nie próżnować.

Mogę się bawić: odczytywać w ich twarzach zmęczenie, które przyszło wraz z pojawieniem się białego człowieka. Nawet w ich twarzach, w twarzach kolejnego pokolenia, tamta dawna eksplozja wyryła zmarszczki zmartwienia. Nawet

71

w tych późnych pokoleniach, które narodziły się już w świecie białych, jej zabójcza siła zostawiła pieczętę cierpienia. Na północy kolonizatorzy pojawili się około roku 1820. Sepiowe klimaty, niezwykle odległe. W jednym z antykwariatów Sydney, przy Oxford Street, ulicy gejowskich klubów i awangardowych kolekcji odzieży, ulicy, która leniwie wspinała się od city taśmą dwupasmówki na klifowe wybrzeże, był do kupienia komplet pocztówek ułożony w zgrabną harmonijkę. Były to widoki starego Sydney. Na witrynie, w jej centralnym miejscu, stała jeszcze oprawiona w orzechową ramkę panorama - podłużna fotografia wykonana z nieistniejącej już wieży. Fotografia obejmująca młody, ledwie wznoszący się Królewski Park Botaniczny i oklejone rusztowaniami, rosnące gmachy Sydney. Park rodził się, drzewa jeszcze maleńkie, już rozsadzone, rozplanowane były w sporych odległościach, miasto miało już wyznaczone ulice, budynki pięły się w górę szybciej niż drzewa. Pod spodem, na kremowym passe-partout widniał kulfoniasty, elegancki, nieczytelny podpis. W tamtych latach północ była wciąż odległa i obca. Krążyły legendy o wyludnionych pustkowiach, słońcu, braku wody i agresywnych tubylcach mordujących przybyszów. Biali mieszkali w barakach uformowanych w niewielkie osiedla, w skupiskach otoczonych światem, do którego nie mieli wstępu. Byli regularnie wyrzynani przez miejscowych, tak jak w legendarnym Barrow Creek, gdzie w ataku Aborygenów na stację telegraficzną zginęło dwóch białasów. To był pierwszy odnotowany przypadek agresji miejscowych na północy. Pierwszy kamień. W odwecie i oni mordowali. Za tych z Barrow Creek pod nóż poszło pięćdziesięciu tamtych. Wiadomo. Krew białych w świecie droga. Inaczej zresztą nie można: pojawiające się zniecka

cienie mordujące białych, rozplywające się w buszu w chwili później, musiały być eksterminowane w imię spokoju i nowych pastwisk.

„W okręgach położonych w głębi kraju Aborygeni (nazywani »czarnuchami«) pozostawali najstraszniejszymi wrogami, z jakimi musieli zmierzyć się osadnicy. To absolutna głupota, 72

utrzymywali osadnicy, mówić o humanitaryzmie i wyrozumiałości, gdyż czarnuchy nigdy nie staną się życzliwi, nigdy nie dadzą się obłaskawić i nigdy nie pozbędą się swych zdradzieckich zwyczajów. Zniszczyć ich, radzili osadnicy, gdy szykują się do walki; zastraszyć, ponieważ są nieokrzesani i pozbawieni rozumu. Czarnuchów, uważali, należy traktować jak wrogów, ponieważ szlak ich wrogich czynów znaczący jest krwią, morderstwami i spustoszeniem wśród białych osadników. Ta polityka, która zawsze dominowała, odpędziła Aborygenów od zasiedlonych okręgów i zredukowała ich liczebność, chociaż na stałym lądzie nie było to tak katastrofalne, gdyż rozległe obszary interioru dawały szansę uniknięcia całkowitej zagłady" - pisze mądry starzec w kowbojskim kapeluszu, Manning Clark, czołowy australijski historyk. Ekspansja objęła całe Terytorium Północne. Poza mityczną Ziemią Arnhema. Macartney, człowiek, o którym nie wiem nic oprócz tego, że pierwszy wkroczył ze stadami na Ziemię Arnhema, odważył się wdrzeć do kolebki tej kultury. Nęciły go bezkresy soczystych traw i łatwo dostępnej wody. W roku 1885 założył w jej północno-centralnej części farmę Floryda. Więc na ziemiach, które nie widziały białego, na ziemiach ludzi, którym wydawało się, że to wokół nich właśnie, wokół ich kultury obraca się oś wielkiego świata, pojawiły się nagle drewniane baraki, sześciany zbite z desek i kryte słomą. Yolnu - właściciele ziem - byli zaskoczeni. Obserwowali ławice ciężkich rogatych łbów sunących w kołyszących się trawach, próbowali przełożyć na swój świat to, co się wydarzyło, ale nie umieli, ich normy nie przewidywały takich wydarzeń, prawo Madayin milczało.

Z Madayin było tak: Wielki Stwórca Wanarr posłał swoich wysłanników na tereny dzisiejszej Ziemi Arnhema. Wędrowali, tworząc krajobraz i dając napotkanym ludziom dar

języka i zbiór zasad dotyczących całego życia. Ludzie byli wówczas nadzy i bezbronni, okryci rzeczywistością, której nie rozumieli. Były to początki ich istnienia, a świat był jeszcze  
73

nieukształtowany. Darowany sposób życia obejmował każdą jego dziedzinę. Yolnu otrzymali zatem zbiór zasad stanowiący nieformalną, duchową konstytucję zawierającą pojęcie własności, zbrodni, handlu, moralności i polityki, a także opis wierzeń. Dzięki niemu zrozumieli sens przedmiotów i miejsc, które wyrażały istotę prawa i religii. Poznali zasady dyplomacji, uprawy roślin i polowania. Ten sposób życia nazywał się właśnie Madayin. Był wszystkim. Kodeksem i religią jednocześnie. Źródłem nauki o moralności i źródłem mężności wojownika w walce. Dzięki Madayin łatwo było uniknąć konfliktu, ale i osądzić winnego, rozstrzygnąć spór. Madayin wreszcie zawierało lekcję o zachowaniu dyscypliny umysłu, ciała i duszy. Prawo to, albo raczej zespół praw przenikający całe ich życie duchowe i codzienność był szanowany jako coś wyjątkowego. Dar od samego Wanarra, Wielkiego Stwórcy.

Yolnu zgodnie z prawem Madayin poruszali się w swoich wędrówkach po wytyczonych szlakach - dhumbarpar dhukarr. Zapisane były one w klanowych pieśniach. W nich dokładnie określone było także, gdzie zaczyna się i kończy klanowa ziemia. Yolnu, jak i inne klany, znali swoje pieśni powtarzane przez pokolenia, zatem doskonale wiedzieli, gdzie zaczynają się ziemie sąsiadów. Tam, na granicy, zatrzymywali się i rozpalali ogień. W niebo szedł dym - znak dla właścicieli ziem, że ktoś chce pokojowo przekroczyć ich terytorium. Rozbijali obóz i czekali. Po paru dniach zjawiała się kilkusobowa grupa starszych miejscowego klanu. Po powitaniu i wspólnym posiłku wędrówka mogła być kontynuowana. Te kilka godzin spędzonych razem wiązało klany przyjaźnią, która więcej znaczyła niż jakiegokolwiek pokojowe zapewnienia.

Ziemie, które zajął Macartney, rozciągały się pomiędzy rzekami Glyde i Blyth. Żyło tam trzynaście pomniejszych klanów. Macartney zmusił je siłą do wycofania się. To był gwałt na ich tożsamości - zostać wygnanym ze swoich ziem, a więc z raj, którego nigdy nie musieli opuszczać, oznaczało być wyrzuconym poza oś swojej tożsamości. Wygnane klany wędrowały

bezdomne przez ziemie swoich sąsiadów. Mogły liczyć na gościnę, ale nie trwała ona w nieskończoność. W końcu wróciły, wybierając sąsiedztwo agresywnych przybyszów. To co ujrzały, w niczym nie przypominało miejsca, które pozostawiły kilka miesięcy wcześniej. Bydło wyjadło wysokie trawy, drzewa zostały wycięte. Teraz bez problemu można było patrzeć w dal, ponad równiną. Polowanie na większe zwierzęta, które łatwo było podejść, ukrywając się w wysokich trawach, stało się niemożliwe. Dzikie zwierzęta, które jeszcze do niedawna przychodziły na te ziemie żywić się soczystą zielenią, teraz przestały się pojawiać, wybierając inne tereny, bogatsze w pożywienie. Nad Yolnu zawisła klęska głodu. Z pomocą przyszło im jednak prawo Madayin. Mówiło ono, że zwierzęta należą do tego, kto jest właścicielem ziem, na których się znajdują. Yolnu zaczęli więc polować na bydło przybyszów.

Biały anioł, który wygonił Yolnu z ich raju, Macartney, zemścił się. We wsiach pojawili się jego ludzie z darami dla Aborygenów. Była to konina. Starszyzna klanowa cieszyła się, widząc, że nieokrzescani przybysze nareszcie zrozumieli, że korzystają z gościnności, że w końcu chcą porozumienia. Biali, ofiarowując mięso, mieli tylko jedno życzenie. Mówili: „Aby pokój zamieszkał znów na tych ziemiach, chcemy, żebyście wy, jako właściciele tych terenów, podzielili się tym mięsem z wszystkimi zaprzyjaźnionymi klanami, tak by dar ten scalił wszystkich mieszkańców tych ziem. Wówczas nastanie pokój”.

Tak zrobili. Wieczorem w okolicznych wsiach rozpalono ziemne piece i przygotowano mięso. Kiedy pierwsza osoba zaczęła się wic w konwulsjach trawiona strychniną, starsi klanu nie wierzyli, że przyczyną agonii jest mięso. Ale gdy umierały kolejne, podstęp wyszedł na jaw. Ludzie próbowali wymiotować, ale było za późno. Tamtej nocy zginęły setki Yolnu.

Potem weszła w życie znana historyczna reguła, w której ząb i oko mają swoje miejsce. Yolnu atakowali bez przerwy, mordowali bydło. Już nie dla jedzenia, ale po to by wypędzić

Macartneya. Po ośmiu latach od przybycia stada ruszyły na

zachód, wracając tam, skąd je przypędzono.

Dziewięć lat później biali jednak wrócili. Tym razem było ich więcej. Ich stada były jeszcze większe niż stada Macartneya. Szły od południa. Po Ziemi Arnhema szybko rozeszło się, że Yolnu z południa pracują z białymi, a nawet otrzymali od nich broń. Nauczyli się także jeździć konno i strzelać z siodła. „Nowi przybysze nie są tacy sami jak ci od Macartneya - mówili do siebie Yolnu. - To zupełnie inni biali: przyjaźni”.

Ale po dwóch latach Yolnu, którzy zamieszkali z białymi, zmienili się. Przestali utrzymywać sąsiedzkie stosunki z klanami z północy i zaczęli mówić tak, jak mówili kiedyś ludzie Macartneya: „Jeżeli ktoś zostanie złapany na kradzieży bydła należącego do białych, zostanie wtrącony do więzienia znajdującego się na farmie”. No i najgorsze - zaczęli nazywać siebie „tubylczą policją” i grozić, że każde złamanie prawa ustanowionego przez białego człowieka skończy się karą.

Yolnu z południa nigdy nie przyszło na myśl, by walczyć przeciw swoim krewnym. Ale poglądy są rzeczą płynną. Pewnego razu grupa Aborygenów wracała od krewnych. W trakcie wędrówki natknęli się na zwój drutu kolczastego, który pozostawili biali, przygotowując się do opłotowania pastwiska. Szybko podjęli decyzję: „Kawałek drutu pasterzy stad nie zbawi, a dla nas to skarb. Powstaną z nich doskonałe ostrza dzid do polowania na ryby”.

Tak zrobili. Kiedy nieśli zwój do wioski, zobaczyło ich kilku białych. Podjechali grupą konno, było wśród nich również paru Yolnu, a także jeden Murri - Aborygen z terenów Queensland, którego biali przywieźli na Terytorium Północne. Był przekupiony. Jego zadaniem było nawiązywanie serdecznych stosunków z miejscowymi. Nie było dyskusji. Wyjęli strzelby i zanim Yolnu z południa, którzy im towarzyszyli, zdążyli zaproponować, rozstrzelali złodziei. Zapadła cisza. Wtedy Murri, który również strzelał, powiedział do wystraszonych Yolnu siedzących na koniach: „Tak już teraz będzie. Teraz macie do

76

wyboru - przyłączyć się do nas albo zginąć z rąk swoich braci jako ci, którzy stanęli po naszej stronie”.

Następnego dnia specjalny oddział złożony z białych

i sprzymierzonych Aborygenów ruszył na północ. Zaczęła się eksterminacja. Całą akcją dowodził Murri. Wiedział, że najłatwiejszym sposobem zdobycia ziemi będzie regularne mordowanie tubylców. Ale musi ono być zorganizowane - należy działać tak, aby nie pozostawiać świadków, aby żaden żywy nie wy dostał się, bo wiadomość o zagładzie wsi przeniknie do innych klanów.

Biali o wiele wcześniej zaplanowali ten scenariusz podboju północy. Firma Eastern And African Cold Storage Company, dla której pracowali, doświadczenie w pozyskiwaniu nowych ziem zdobyła w Afryce. Tam właśnie oparto się na doskonale funkcjonującym mechanizmie pozyskania przychylności jednego klanu i dokonywania jego rękoma najkrwawszych mordów na sąsiednich klanach. Bill Farer, jego pomysłodawca, przeniósł na grunt Ziemi Arnhema wspomnianą metodę i tym samym osiągnął to, co nie udało się kilka lat wcześniej Macartneyowi.

Grupa morderców uzbrojona w strzelby, jeżdżąca konno, mająca na sumieniu setki ofiar, wyspecjalizowała się w rzeziach do tego stopnia, że miała swoje ulubione scenariusze pogromów. Biali szybko doszli do wniosku, że wjeżdżanie do wsi i strzelanie do zaskoczonych mieszkańców jest nudne. Nie dawało to żadnej satysfakcji - ludzie byli łatwym celem: oszalali ze strachu, obijający się o siebie i brzuchy koni, na których przyjechała do nich śmierć. O wiele ciekawsze było zabijanie na otwartej przestrzeni. Trzeba tylko otoczyć grupę i kazać jej biec przed siebie. Jeźdźcy czekali chwilę, aż kobiety, dzieci i mężczyźni oddalą się o kilkaset metrów. Teraz wyglądali jak stado zwierząt biegnące przez równinę. Można było zacząć polowanie.

Niedobitki klanów północno-centralnej części Ziemi Arnhema ukryły się na wzgórzach. Przebywały tam całymi dniami, aby w nocy schodzić do wody w poszukiwaniu jedzenia.

77

Głowiono się nad sposobem walki z najeźdźcą. Starszyzna klanowa nie potrafiła znaleźć rozwiązania zaistniałej sytuacji w kodeksie Madayin. Stwórca świata Wanarr nie przewidział u ludzi takich zachowań. Wtedy Yolnu powołali partyzantkę. Nie była to metoda walki wojowników, za których się uważali,

ale sytuacja wymagała działania.

Madayin okazał się kodeksem niewystarczającym. Po raz pierwszy był nieprzydatny do życia, a życie po raz pierwszy wymagało zachowań, które nie licowały z kodeksem.

Akcje nie były spektakularne, ale miały jedną zaletę - nie dochodziło do bezpośredniej konfrontacji. Obawiając się broni palnej, Aborygeni wyczekiwali w ukryciu w okolicach osad białych. Kiedy tylko nadarzała się sposobność, zabijali konie i bydło. Gdy któryś z białych oddalał się na kilkadziesiąt metrów od osady, mordowali go.

Wielomiesięczna kampania zaowocowała. W roku 1908 Yolnu zobaczyli, że biali wyruszają na południe. Klany, które walczyły po stronie białych, w obawie przed zemstą opuściły swoje ziemie i wyjechały z obcymi. Zdrajcy zgodnie z prawem danym przez Wanarra zasłużyli na karę. Ich potomkowie do dziś mieszkają w okolicach osady Borrooloola. Kilku wróciło na tereny swoich ojców w latach dziewięćdziesiątych. Są bezpieczni.

Zgodnie z Madayin grzechy ojców nie przechodzą na dzieci.

W roku 1916 biały człowiek znów pojawił się na Ziemi Arnhem. Tym razem był to James Watson, misjonarz. Od początku wzbudzał niechęć. Osiadł na południowej wyspie Goulburn. Tamtejszej starszyźnie nie podobało się, że biały swoją osadę zaczął budować nieopodal świętego miejsca, do którego rada starszych udawała się na obrady. Budował misję. Aborygeni nie zdawali sobie sprawy, że biali ludzie również mają swojego Boga. Watson z pewnością zginąłby z rąk tubylców, gdyby nie przypadkowe spotkanie. Pewnego razu próbował on przekonać jednego Yolnu do istnienia Wielkiego Stwórcy. Mówił mu:

78  
„Kiedyś po ziemi chodził człowiek, który umarł za wszystkich ludzi. Jego ojciec stworzył cały świat. Także ciebie. Ten człowiek kocha ciebie i twój klan. Ma na imię Jezus”.

Spotkanie z misjonarzem było prawdziwym początkiem końca dla Yolnu. Misjonarz jako pierwszy pokazał im, że obcy wchodzący do ich świata przyniósł nie tylko broń palną i konie, bezwzględność i brak zasad. Przyniósł także konstrukcję swojego świata: prawo dane od ich Boga. Yolnu zrozumieli,



że biali nie są prymitywnym gatunkiem, który przypadkiem zaczął żerować na ich terenach. Pojęli, że biały człowiek jest o wiele groźniejszy. Jego świat okazał się głębszy o istnienie Boga i prawa ustanowionego przez ludzi.

Z początku fakt ten napawał ich nadzieją. Jeśli wierzą w swojego Wielkiego Stwórcę, z pewnością potrafią też uwierzyć w naszego Wielkiego Stwórcę. Jeżeli mają swoje prawo, zapewne będą szanowali prawo Madayin. Rozczarowanie nadeszło szybko. Od misjonarzy dowiedzieli się również, że biali mają parlament i sądy. Walcząc o swoje prawa przed sądami, Aborygeni zauważyli, że biali nie chcą słuchać o prawie danym przez Wanarra. Wanarr dla nich nie istniał. Yolnu zrozumieli, że Wanarr przegrał spór dwóch Wielkich Stwórców. Ta myśl raz zrodzona zatrąła umysły Yolnu. Świat białego człowieka okazał się silniejszy niż ich świat, droga białego człowieka - pewniejsza niż droga Yolnu. Starszyzna klanowa nie mogła uwierzyć w nagłą słabość boga. Gdzie podział się dawny Wanarr? Co z jego prawem? W obliczu nowego świata rządzącego się swoimi zasadami Wanarr przestał być Wielkim Stwórcą, a okazał się kimś słabym, nieprzydatnym, w końcu - nieprawdziwym. Madayin przestało działać. Wanarr przestał istnieć. „W co więc wierzyliśmy przez te wszystkie lata?” - zastanawiali się Yolnu. To był mocny cios. Silniejszy niż broń białych, silniejszy niż choroby, które przynieśli. Yolnu zrozumieli, że ich bóg umarł, a tym samym świat, który stworzył, skończył się. I ta myśl pozbawiła ich siły do walki.

79

Za brodem droga z ubitej ziemi biegła, falując, na wschód. Było tam martwe drzewo na wielkiej, pustej przestrzeni. I góra, która na moment wychyliła się, żeby zaraz znów zniknąć. Gdzieś w podwoziu falcona coś postukiwało, samochód kołysał się i zostawiał za sobą rozwinięte skrzydła czerwonego kurzu. Asfalt skończył się już dawno - przy rzece - i z każdą chwilą coraz mniej przystawaliśmy do rzeczywistości. Ta ziemia chciała nas z siebie wypluć, odrzucić jak wirus, z którym każdy zdrowy organizm próbuje walczyć. Byliśmy tu niczym nieusprawiedliwieni, mieliśmy w sobie zwykłą ciekawość, a to przecież za mało, żeby wadzić się ze światem, który nas nigdy nie zapraszał.

Kraj, który się otwiera, jest żyzny i pełen życia. Podmokłe łąki. W oddali wyrastają płaskie wzniesienia. Skały zanurzone w zieleni są wielobarwne - przesycone ciężkimi kolorami: asfalty, jasne i ciemne brązy, brunatne i ciemnożółte zacieki. Jakby je ktoś pieczołowicie malował. Woda stoi, cisza na zabój, słońce w pionie, droga wciąż na wschód. Soczyste trawy wyrastają wprost z tafli.

Polowali we dwóch. Kilkaset metrów od drogi szli po kolana w wodzie. Pochyleni. Ich napięte plecy widać było z daleka. Od ciemnej skóry ramion odbijało się słońce. Skradali się. Wy-patrywałem ofiary ukrytej gdzieś przed nimi w dynamicznej zieleni, ale dookoła nich była tylko kołysząca się płaszczyzna falujących traw. Mieli na sobie jedynie przepaski na biodra. W dłoniach śmieszne włócznie.

### Sztuczne domy

Odmienność, która poraża. Zderzam się z niezrozumiałym i to zderzenie przekłada się na mój krok. Idę i cały czas jestem świadom tego, że idę. To męczące uczucie. Każdy krok jest faktem mechanicznym. Idę po obcym dla siebie terenie i czuję swoje ciało dokładnie i wyraźnie.

Wieś Menngen jest jak złośliwy sen. Złośliwy, bo detale tego snu uciekają przed moim spojrzeniem, jakby cała scena była ruchoma, jakby wszystko potrafiło się ruszać. Wystarczy zamknąć oczy, żeby pod powiekami zobaczyć Menngen i nie móc jednocześnie nic o nim powiedzieć. Menngen to nic. Menngen to wyrwa w buszu. Wokół Menngen jest Nicłość, a jednocześnie jest wszystko, bo samo Menngen jest niczym. To wykarczowany plac, czerwony plac, gigantyczny okrąg, na którym bez ładu i składu, niespodziewanie, wylądowała armada domów z blachy falistej. Sztucznych domów dla Aborygenów.

Domów jest może dziesięć, może dwanaście. Są jeszcze dwa kolektory na wodę, gigantyczne metalowe baseny pokryte stożkowatymi dachami. Te kolektory wyglądają jak nerki albo inne ważne i niezbędne organy ciała będącego wsią. Domy mają powybijane szyby. Część otworów jest zasłonięta kawałkami dykty, zabita deskami. Przed domami walają się wyrzygane z wnętrza jakąś dziwną odśrodkową siłą nadpalone

garnki, podarte i spłowiałe materace, szmaty, które kiedyś były  
81

dresami. Wygląda to, jakby wnętrza nie były w stanie utrzymać w sobie zawartości. Niektóre z budynków są otoczone niskimi płotami. Takimi na metr wysokimi. Po co te płoty? Pomysł białych, którzy je stawiali? Przy płocie - czasem musi być tu silny wiatr - leży wał przedmiotów. Folia od tytoniu do skrętów, worek z marketu poplamiony jakąś ciemną cieczą, suche liście, puszka zbyt zardzewiała, by mogła ujawnić swoją dawną zawartość. Jest szkło, okładka kolorowego magazynu. Za płotem kilka psów w płataninie śmieci. Płot dzieli pylistą ziemię na dwa rejony. Jest więc „przed płotem” i „za płotem”, ale obie strony niczym się od siebie nie różnią. Po co więc płot? Albo dalej - po co Aborygenowi dom, jeśli z tego kwadratu cienia wywleka z mozołem łóżko i stawia je przed wejściem, i na tym łóżku ustanawia punkt obserwacyjny dla swojego świata?

Śmieci są dla Aborygenów faktem kulturowym. Jeśli są śmieci, to znaczy, że jest cywilizacja. Cywilizacja to jeszcze antena satelitarna na dachu, bateria słoneczna obok. W oddali - tam gdzie pustka wrywa się spomiędzy domów i bez najmniejszego sensu biegnie w kierunku buszu - stoi samochód. To raczej kawał pordzewiałej blachy przypominającej kształtem land cruisera. Nie ma silnika, silnik został wyjęty, ale z wnętrza, spod otwartej maski, wystaje metalowe krzesło. Ktoś wstawił ten zardzewiały mebel rodem ze szkolnej świetlicy, jakby chciał jeszcze bardziej podkreślić stan auta. Krzesło dobitnie uwydatnia statyczność konstrukcji. Ten kawał rdzy stoi samotnie na placu, przed jego reflektorami rozciąga się busz, najpierw w postaci pojedynczych drzew, dalej i hen daleko w postaci zielonego beznadziejnego dywanu.

Śmieci są wszędzie. Miejsca, które Aborygeni zamieszkują, są miejscami naznaczonymi. Zawsze wyglądają tak samo. Odpadki, pustostany, wraki samochodów. Rzeczy bezużyteczne nie są niszczone. Pozostają chciane, choć już w niczym nie przypominają swojego pierwowzoru. Rzeczy bezużyteczne zajmują odpowiednie miejsce pomiędzy rzeczami zdatnymi  
82

do użytku. Leżą przed domami, na środku placu, jakby ich

obecność choć w niewielkim stopniu potwierdzała ich nieśmiertelność. Przedmioty, które wciąż są zdatne do użytku, są nadal używane, ale niszczą szybko, jakby dotknięcie rąk przyspieszało upływ czasu. Starzeją się i nagle zostają porzucone. Ale nie odchodzą. Istnieją nadal jako te, które swoje odśłużyły, które swój czas służby mają już dawno za sobą i teraz nastąpiła dla nich pora świętej bezczynności.

Pomiędzy doszczętnie zdemolowanym pustostanem a domem, w którym mieszkają Aborygeni, różnica jest niewielka. W pustostanie wybite okna nie są zasłaniane płytami, podłoga zasłana jest szkłem. W domu Aborygena stoi telewizor, w pustostanie telewizora nie ma. Pomiędzy martwą, czytaj zniszczoną, materią a materią wciąż zdatną, a więc żywą, trwa porozumienie. Nie ma wysypiska, rzecz jest taka, jaka jest, bez nadanego jej wcześniej statusu kulturowego. Pęknięte didgeridoo stanie się ozdobnym wsparciem dla opadającego okna. Spalony korpus pikapa - miejscem spotkań.

Bo tak naprawdę, czym jest ta przestrzeń? Kto doprowadził rzeczywistość do tak totalnego utrudnienia, wynaturzenia? Jak w sposób zamierzony osiągnąć jeszcze raz podobną, choćby nawet na innym gruncie, porażkę? Menngen nie jest ani cywilizacją, ani naturą. Menngen to pozostawione samym sobie przedmioty, zdane na łaskę świata.

Zderzam się z niezrozumiałym i moje zderzenie przekłada się na krok. Doskonała okazja do obserwacji procedury poznawania. Człowiek, który znajduje się nagle w okolicznościach wykraczających swoim kształtem poza jego sposób myślenia, zaczyna widzieć siebie. Nie mogąc objąć tego, co dookoła, obejmuje natychmiast, łapie jak koło ratunkowe samo swoje istnienie. Ono jest pewne, namacalne. Dłonie mają ciężar, kolana, pracując, skrzypią. Potem przychodzi czas na próbę ogarnięcia tego, co wokół. ok. A więc to jest wioska aborygeńska. Ale wioska aborygeńska jest pojęciem zbyt indywidualnym, stanem rzeczy zbyt jednostkowym, by to coś

83  
tłumaczyło. Powiedzieć „wioska aborygeńska” to tak samo, jak powiedzieć „cyklotron”; jedno i drugie jest faktem, jedno i drugie jest niepowtarzalne i bez odnośników. Dziwne, że w encyklopediach brakuje hasła „wioska aborygeńska”. Definicja

powinna brzmieć: przestrzeń, w której nie istnieje ani pełna cywilizacja, ani niezakłócona przez człowieka przyroda. Jest cicho, bo jest południe. Nikomu z klanu Wardaman w tych krótkich cieniach rzucanych przez pojedyncze drzewa nie chce się grać w karty i palić skrętów. Wszyscy pochowali się, leżą gdzieś na tyłach tych sztucznych chat, na materacach wywleczonych z brudu wewnątrz w kurz podwórek. Półdzikie, namnożone jak egipska plaga dingo zadowolają się szczelinami w fundamentach domów. Z półmroku wystają ich mordy, nie chce im się szczekać, jest za jasno i za milcząco na szczekanie. Słyszę w tej ciszy skrzypienie stawów kolanowych. Raczej czuję je gdzieś wewnątrz siebie.

Harney, syn starego Harneya

Kiedy nie ma nic do roboty, wychodzi przed dom i siada w fotelu. Takim rozwalonym, ze sprężynami, które wystają z obicia jak zastygłe w ruchu żmije. Wyciąga przed siebie nogi i powoli roluje skręta. Jego dom wygląda jak wszystkie domy w osadach aborygeńskich. Sterta gratów przed wejściem, dosłownie kupa, zajmująca całą werandę. Krzesła, dziurawe garnki, kartony pękate od zawartości, czarne worki, szmaty. Za granicą framugi drzwi wejściowych - jego prywatność. Brudne ściany, na środku pokoju materac, na którym bawi się nagie dziecko i oswojony, parchaty dingo. Psów i dzieciaków pełno też wokół domu. W kącie jeden mebel - telewizor. Nie mogę przestać o tym myśleć jako o legowisku, norze, zamkniętej i osobnej. Bill Harney siedzi więc przed domem, a wokół jego stóp rozciąga się popiół z ogniska, który dawno temu wyszedł poza krąg z kamieni. Ten popiół układa się w jajowaty kształt, jakby ogień codziennie posuwał się po kawałku. Płonie jeden pniak. Tak trwa dzień. Bill siedzi w fotelu, a ludzie ze wsi przychodzą do niego, siadają i po chwili milczenia, kiedy już dusze zestrojają się w ciszy do rozmowy, mówią. Mówią krótko. „Bill, daj trochę tytoniu”. Albo: „Bill, kiedy będzie nowy generator?”. „Bill, pożycz samochód, chcemy jechać zapolować”. Potem znów zapada milczenie i Bill coś odpowiada lub wyciąga z kieszeni foliową paczuszkę przewiazaną recepturką i podaje, a oni wysupłują odrobinę tytoniu do skręta.

85

Sprawa z żądaniami nie jest wcale prosta. Nikt ze wsi nigdy

nie powiedział tego Billowi w twarz, ale wiadomo, że zarabia pieniądze na oprowadzaniu białych po świętych miejscach. A przecież dziedzictwo klanu Wardaman jest wspólne, więc wspólne są i pieniądze.

Bije z niego uśmiech. Ma go w zmęczonych oczach, uśmiech wbrew wszystkiemu. Te śmiejące się i zmęczone oczy pasują do zmarszczek, znoszonego kapelusza, wyplamionych spodni, brązowych redbacków, które, zdaje się, nigdy nie widziały pasty. Uśmiech, tak jak i nazwisko ma po ojcu: W.E. Harneyu, australijskim pisarzu irlandzkiego pochodzenia. Stary Harney poświęcił życie poznawaniu Aborygenów, a pasja badawcza zaowocowała kilkoma książkami. Potem była jeszcze sława i przypadkowo spłodzone dzieci. Nikt nie wie, ile tych dzieciaków zrobił. Kiedy stary Harney przemierzał australijskie Terytorium Północne, seks z Aborygenkami nie licował z moralnością białego, zatem jego wyczyny pozostały na zawsze tajemnicą, a rodzące się dzieci nikogo we wsiach nie dziwiły. Dużo dzieci się rodzi, małżeństwa są kwestią umowną, sezonową, łatwo się zgubić, kto jest ojcem, kto ojczymem, kto jednym z licznych wujków. Od matki mały Bill otrzymał imię Yidumduma. Ludzie z Menngen wołają na niego jednak Bilami. Krócej, a i tak wiadomo, o kogo chodzi. On sam mówi o sobie Bilidumduma. W tym imieniu mieści się wszystko. Są w nim połączone tak jak w jego żyłach białe i aborygeńskie krwinki.

W Menngen wszyscy wiedzą, że to Bill odzyskał wieś i okolicę. W rozpościerającym się dookoła buszu żyje kilka tysięcy sztuk bydła i duchy przodków. Ziemie ciągną się po horyzont, powietrze nad nimi faluje z gorąca, jest tam tylko mdła zielen drzew, a płaskie jak stół wzgórza majaczą gdzieś w od dali. Jest jeszcze parę jeziorok billabongi parędziesiąt nigdzie niesklasyfikowanych miejsc świętych z malowidłami naskalnymi. Malowidła są naprawdę stare. Na australijskim Terytorium Północnym niektóre okazy datowane są na dwadzieścia tysięcy lat. Są więc starsze niż te z jaskini Lascaux we Francji,

86

które Europejczycy pokazują z dumą, potwierdzając tym samym wielowiekową tradycję europejskiej sztuki.

Wieś Menngen od zawsze należała do klanu Wardaman. Od zawsze, a więc od czasu gdy po ziemi wędrował Tęczowy Wąż

i Bracia Gromowładni. O ile Tęczowy Wąż, stwórca świata, pojawia się w podaniach większości klanów Aborygenów australijskich, o tyle Bracia Gromowładni są ściśle związani z Wardaman. Było tak: w Czasie Snu Bracia Gromowładni spotkali Tęczowego Węża. Doszło do bójki z użyciem forteli i oszczepów, z której to Gromowładni wyszli zwycięsko. Legenda przetrwała i przetrwało coś jeszcze: upór. Ludzie z Wardaman wygrali na przykład swoją krainę w sądzie. Jeszcze w latach dziewięćdziesiątych xx wieku wieś Menngen nazywała się Innesvale i była wraz z okolicznymi ziemiami zarządzana przez firmę zajmującą się hodowlą bydła. To nie było trudne - odebrać Aborygenom z klanu Wardaman ich terytoria. Zgodnie z polityką kolonizacyjną Australii ziemie całego kontynentu definiowane były jako „Terra Nullius” - ziemie niczyje. Północną Australię w latach 1860-1890 zasiedlali więc właściciele gigantycznych stad bydła. W 1869 roku założono miasto Darwin, w 1872 pociągnięto transkontynentalną linię telegraficzną. W 1877 przybyli chrześcijańscy misjonarze. Aborygeni dostawali posady na farmach jako jackaroo. Za miskę jedzenia i odzienie. Opornych eksterminowano. Bill Harney od najwcześniejszych lat był jackaroo. Najmował się w rejonie ziem swojego klanu. Do dziś pracowałby jako kowboj na farmie, gdyby nie uchwalony w roku 1976 Akt Prawa do Ziemi. Wszystko zaczęło się od starszych z Yirrkala, którzy w 1963 zaprotestowali przeciw otwarciu kopalni boksytu na ich ziemiach. Protest nic nie dał Yirrkala, ale wzbudził ogólnaustralijską dyskusję nad prawnym i etycznym aspektem odbierania Aborygenom ich ziem. Owocem debaty stało się uchwalenie Aktu Prawa do Ziemi, przywracającego Aborygenom prawo do terytoriów klanowych.

87

Harney, należący do starszyzny Wardaman, ubrał się w czystą koszulę, założył kapelusz i pojechał do sądu w Darwin. Tam kazano mu udowodnić, że ziemie, których żąda, w przeszłości faktycznie należały do jego klanu. Wraz z rządowymi ekspertami wsiadł do terenówki i pojechali. Kazał kierować się na Katherine, a potem dwieście kilometrów na zachód. Następnie skręcili w busz. Jeszcze dwadzieścia, trzydzieści kilometrów i ścieżki się skończyły. Ostatni odcinek trzeba było

pokonać piechotą. Tam pokazał im miejsca święte i malowidła. Także to, które przedstawia Braci Gromowładnych. Uwierzyli, bo ktoś, kto nie wychował się na tych ziemiach, nigdy by tam nie trafił. W ten sposób Bill odzyskał krainę Wardaman. Od tamtego czasu wraz z ludźmi zarządza farmą przemianowaną na Menngen. Wydzierżawiają białym pastwiska, które są tak wielkie, że bydło zaganiać można helikopterami, żyją spokojnie, ukryci w głębi buszu.

Przejęli farmę, ale codzienność wcale nie okazała się łatwa. Budynki, choć są zamieszkałe, szybko popadły w ruinę. Kiedy do wsi przyjeżdżają pracownicy socjalni, nawet nie próbują interweniować. „To jest inna mentalność - mówią o mieszkańcach wioski. - Oni po prostu nie mają kulturowego nawyku właściwego obchodzenia się z przedmiotami”.

Z domów nie korzystają zbyt często. Większość mieszkańców Menngen woli czas spędzać na łózkach rozstawionych pod gołym niebem. Tak jak Lily, która jako jedna z kilku osób we wsi nosi prawny tytuł właściciela ziem Wardaman. Lily wszystko kwituje uśmiechem, pali papierosa, wokół niej śpi w słońcu kilka psów. Czuje się u siebie i mówi, że swoje domy urządza tak, by było jej wygodnie. Więc nikogo nie powinno dziwić, że całe dni spędza na łóżku, grając w karty i paląc.

Rozrywek jest mało. Raz w sezonie do Menngen zjeżdżają się ciężarówki i ładuje się na nie bydło. Wtedy jest trochę pracy. Jest kurz, słońce przeziera przez pył, w boksach cisną się jasne cielska krów. Jest nerwowo, ciężarówki zawracają z rykiem, zwierzęta oszalałe ze strachu wtórują im, jackaroo nie mają

88

chwili na zapalenie skręta. Na co dzień jednak panuje spokój. Stad nie trzeba pilnować, bo krowy i tak nie uciekną - potrafią przeżyć jedynie w pobliżu zbiorników wodnych. A tych jest kilka. Tak więc nie mają dokąd uciekać. Busz to dla nich śmierć.

Czasem, kiedy we wsi zabraknie jedzenia, trzeba jechać na polowanie. Ludzie z Menngen robią to rzadko - współcześni Aborygeni uprawiają „wooliehunting”, mówią ze złośliwym uśmiechem sprzedawcy w liquor store w Katherine. „Wooliehunting” to zakupy w marketach Woolworths. Czasem jednak, pomimo że do miasta pojedzie kilka rodzin, okazuje się, że



nikt nie pomyślał o kupnie jedzenia na zbliżający się tydzień. Mówią: „Zdarza się, nie ma problemu, bro”. To ich cecha kulturowa, jakaś życiowa zaduma, która pozwala im zapomnieć o dniu jutrzejszym. W takich sytuacjach Bill daje kluczyki swojemu przybranemu synowi Wallace'owi i ten z kilkoma chłopakami rusza land cruiserem w busz.

Wallace jest biały. Trzy lata temu zakochał się w córce Billa i zamieszkał z nią w Menngen. Zwykła historia miłosna Terytorium Północnego: biały i Aborygenka. Ale sielanka szybko się skończyła - dziewczyna bez słowa pożegnania spakowała się i wyjechała gdzieś do Australii Zachodniej. On został. Mieszka w przyczepie na skraju wsi, hoduje pytona. Bill przygarnął go, bo wie, co znaczy życie bez ojca. Stary Harney, ojciec Billa, zbierał opowieści z Terytorium Północnego, był działaczem społecznym, budował nawet drogi. W latach sześćdziesiątych xx wieku został pierwszym oficjalnym strażnikiem Parku Narodowego Uluru-Kata Tjuta, w obrębie którego znajduje się święta góra Aborygenów, Uluru. Przyjaźnił się z Aborygenami. Był niewątpliwie niezwykłą postacią. Kiedy Douglas Lockwood napisał książkę *We, The Aborigines*, dedykował ją właśnie staremu Harneyowi. Napisał: „Ta książka jest dedykowana pamięci Billa Harneya. Był jedynym białym, którego znałem, potrafiącym myśleć jak Aborygeni. Oni byli jego przyjaciółmi. On był ich przyjacielem”.

89

Bill, który ojca prawie nie znał, wychowany został przez matkę, Ludi, i ojczyma, Joe Jomornji. W trójkę mieszkali na farmie Willeroo, na której krok po kroku dzieciak poznawał dziwne relacje białych i Aborygenów. Cudem uniknął odebrania matce i osadzenia w rodzinie zastępczej. Matka tuż przed każdą wizytą pracowników socjalnych we wsi barwiła jego skórę sokiem z czarnych porzeczek albo popiołem. Pamięta tylko, jak zamaskowany siedział pośród czarnych dzieci, patrząc na mężczyznę, który pytał: „To wszystkie? Żadnych mieszanych?”.

Smutne dzieje Aborygenów, którzy zetknęli się z zachodnią cywilizacją, były częścią jego życia. Widział, jak biali w prosty i tani sposób rozwiązują problemy z czarnymi: białym proszkiem podobnym do mąki. Strychniną. Tamtego dnia

jego wujowie po powrocie z pastwisk jedli obiad w cieniu drzewa. Jeden wyczuł podstęp. Pobiegli w stronę jeziora i klęcząc w wodzie, garściami połykali muł - najlepsze, jakie znali, antidotum na zatrucie. Wymiotowali, skręcali się w konwulsjach. Część przeżyła. Zmarł między innymi jeden z ojcymów Billa, Jack Jarribirdi.

Było późno, słońce już dawno ustąpiło, siedzieliśmy wokół rozpalonego koksownika, a liście drzewa, którego gałęzie zwiisały nad ogniem, szumiały nerwowo od gorącego powietrza. To był senny dzień w Menngen. Cisza tego dnia złamana została raz, gdzieś koło południa, przerwali ją na chwilę kowboje jeżdżący na quadach po buszu, kilkaset metrów od wsi. Warkot silników nie ustawał przez dłuższy czas, to cichł, to nasilał się, był chwilami jak odległa kanonada grzmotów. Teraz jednak było cicho.

Rozmawialiśmy niewiele. W zasadzie milczeliśmy. Psy spały pod płotem, zagrzebane w liściach i sennych zdarzeniach. A potem któryś z nich zaczął się szamotać przez sen. Raz, potem drugi. Ktoś zaśmiał się, że pies ma złe sny, ale nim śmiech ucichł, zwierzak zapiszczał przeciągle. Był to pisk strachu

90

albo bólu, bo nim jeszcze się wybudził, rzucił się przed siebie, uderzył w metalową siatkę i padł na ziemię. To była jakaś mieszanka wielopokoleniowa, rasa trudna do ustalenia: psy we wsiach aborygeńskich krzyżują się ze sobą bez żadnej logiki, psów we wsiach jest czasem więcej niż ludzi, przewalają się wokół domów sfory leniwych od słońca, chudych i pogodnych parchów o sierści wyjedzonej przez świerzb. Ten miał pomarszczony pysk boksera, siwą sierść, był brzydki, ale sympatyczny. I kiedy już myśleliśmy, że wszystko będzie dobrze, że tylko coś go ugryzło, kiedy spał w tych liściach, on w drugim napadzie bólu rzucił się znów przed siebie. Tym razem jednak ból go dopadł z taką siłą, że zaczął biegać wokół naszych nóg, obijać się o gorący koksownik, przewracać krzesła. Zataczał te kręgi coraz szybciej i szybciej, aż w końcu upadł pomiędzy naszymi nogami. Dostał skurczów. Jego ciało zwijało się w kłębek, żeby zaraz wyprostować się, pod skórą trzeszczały kości, cały strzelał w napiętych stawach. I żółta piana z pyska. Myśleliśmy z początku, że zjadł żabę. Taki dziwny

gatunek żaby o toksycznym śluzie. Przychodziły, świadome swojej nietykalności, do kolektorów na wodę i wyszukiwały miejsc, gdzie spomiędzy spoin blach ciekły strużki wilgoci. Siedziały pod nimi w trawie całymi dniami, w błocie. Może zjadł taką żabę? A potem ktoś przypomniał sobie kowbojów najemników, którzy kręcili quadami ósemki wokół wsi. Rozrzucali poćwiartowane mięso nafaszerowane strychniną. Na dingo, które atakowały stada bydła. Agonia trwała kilkanaście minut. Zjedzona strychnina trafiła do żołądka i tam wypaliła dziurę.

Następnego dnia ciało psa zostało przywiązane do zde-rzaka terenówki za tylne łapy i pojechało w busz. Na nierównościach, zeszywniałe, podskakiwało jak manekin treningowy. Na miejscu w buszu kopaliśmy dziurę świdrem spalinowym. Dwa koła, silnik i wielkie pionowe wiertło. Pieprzona skorupa nie chciała ustąpić, wznosił się tylko pył, kawałki skał chrobotwały pod wirującym ostrzem. Kamienie

91

wybieraliśmy rękoma. Pracowaliśmy w milczeniu, zmieniając się przy wiertle. Potem, kiedy dziura wydawała się wystarczająca na psa, próbowaliśmy w niej go upchnąć, ale był za długi. Wystawały mu nogi. Ktoś łopata połamał je i udeptaliśmy ciało tak, że w końcu schowało się w dole. Na to przyszły kamienie.

Tamtej nocy zdechło jeszcze siedem psów. Wszystkie od strychniny. Podrywały się nagle z ziemi i pędziły gdzieś ze skowyt. Te, które miały swojego pana, szukały go oszalałe, w obliczu śmierci utożsamiając go z Bogiem. Te, które były bezpańskie, a było ich więcej, pędziły jak strzała w busz, na oślep, i tam w ciemnościach zdychały. To było jak czekanie na meteoryt w sierpniową noc. Rozmawialiśmy, ludzie palili, co dziesięć minut w którymś końcu wsi słychać było skowyt, a potem znów zapadała cisza. Siedzieliśmy przy koksowniku, Aborygeni zakładali się, ile jeszcze ich zdechnie, każdy głos w nocy przybliżał ich do wygranej.

Pomimo że ludzie z Wardaman wrócili do Menngen jako właściciele, problemy, które dręczą Aborygenów na całym kontynencie, dotyczą i ich klanu. Bezrobocie, frustracja, brak perspektyw. Bill się martwi. Ludzie z klanu zachłyśnięci mia-

stem, z którego wyciągają to, co najgorsze - alkohol, hazard, fastfood, słodycze i narkotyki - przestali wierzyć w klanowe podania. Są one po prostu niewiarygodne. Co kilka dni jeżdżą za to do Katherine i to jest dla nich wiarygodny świat. Markety i bary. Wykańczają się szybko, bo dostają spore zasiłki rządowe. Reszty dopełnia zła dieta. Efekt: otyłość, cukrzyca, alkoholizm, zawały, samobójstwa. Bezczynność mieszkania w Menngen i pieniądze, który regularnie wpływa na konta bankowe, zastąpiły barbarzyńską strychninę.

„Bracia Gromowładni? To przecież bajka - śmieje się Josh. - Chyba ich jednak nie było. Nie pozwoliliby na to, co się z nami stało”.

92

Josh nigdzie nie pracuje. Kiedy jest trzeźwy, jest spokojny, niemal ospały. Kiedy zaczyna pić, nabiera fantazji. Zdarza się, że z chłopakami ze wsi wsiadają do samochodu i jadą do Katherine. Robią zakupy - kilka kartonów piwa Victoria Bitter. Piją już w mieście i zamawiają taksówkę z powrotem do wsi. Trasa: ponad dwieście kilometrów. Porzucony samochód odbierze się następnym razem - za tydzień, gdy wpłyną na konto pieniądze z zasiłku.

Do wszystkiego można się przyzwyczaić i Bill oswoił się z tym, że ludzie z Wardaman się poddali. Choć pewnych rzeczy znieść się nie da. To było kilka miesięcy temu. Najpierw w środku nocy ktoś przybiegł do niego i powiedział, że nieopodal wsi był wypadek. Potem Bill dowiedział się, że rozbity samochód został ukradziony w Australii Zachodniej, a sprawcami byli jego wnukowie bliźniacy i jeszcze dwóch chłopców ze wsi. Wszyscy poniżej dwudziestki. Na końcu powiedziano mu, że jego wnuk, ciężko ranny w wypadku, zmarł w szpitalu.

Wieś na kilka dni zastygła w odrętwieniu. Pojawiła się policja, przeszukiwano dzieciaki. Bill wyjeżdżał znacznie częściej do Katherine. Po tygodniu uśmiechał się do ludzi prawie tak samo jak dawniej. Bliźniak, który przeżył wypadek, wyjeżdżał na wózkach z domu, posuwał się z trudem po czerwonawej, gliniastej ziemi, mijał wodopój dla koni i wracał. I to był jedyny znak, że doszło do tragedii.

Kradzież się udała. Tak się zaczął dramat. Chwilę potem pę-

dzili z otwartymi oknami, płynnie wchodzili w zakręty, unosili się niemal nad szosą, rękawy ich bluz furkotały na wietrze. Pijani śmiali się, opowiadali po raz kolejny, jak to było, kto najbardziej panikował, kto zachował zimną krew. Przekrzykiwali muzykę, którą puścili na cały regulator. Pili i wyrzucali puste puszki przez okno, powtarzając jak Biblię słowa płynące z głośników. Zatrzymali się jeszcze gdzieś po drodze, by

93

dokupić karton piwa, i znów jechali międzystanową jedynką. Opuścili Australię Zachodnią, wjechali na Terytorium Północne. Do Menngen mieli trzysta, czterysta kilometrów. Busz po prawej, busz po lewej. Słońce schodziło w dół, to było popołudnie i krajobraz nabierał coraz cieplejszej barwy. Za rzeką Victoria wzgórza ustępują w końcu dywanowi równin. Zaczynają się ziemie należące do klanu. To właśnie te ziemie tak dobrze zna Bill Harney. Nikogo jednak nie interesują jego opowieści. Opowieści te nie interesowały również jego dwóch wnuków. Skupieni byli na czymś innym. Jeden z nich kierował, drugi w nadciągającym zmierzchu wypatrywał beczki po ropie stojącej na poboczu przy zjeździe na Menngen.

W końcu pojawiła się beczka i wypisane na niej białą farbą litery układające się w nazwę wsi. Zwolnili, był wieczór, wjechali na wyboisty dukt biegnący kilkanaście kilometrów w busz, do wsi. Byli prawie w domu, byli uratowani, bezpieczni, nie zostali złapani. Znają tu każdy zakręt, każdą rozpadlinę w ziemi, każde małe jezioro billabong. I to poczucie zdejmujące z nich przybrane maski, które zakładają zawsze, gdy wynurzają się do świata, bo nagle przestają być wyrachowanymi złodziejami, gdzieś znika ich pierwotna twardość i cynizm, a pojawia się zwykła dziecięca niecierpliwość. Pędzą więc z zawrotną szybkością, wóz podskakuje na wybojach, gdzieś w połowie drogi kierowca traci kontrolę nad pojazdem, samochodem zarzuca, wypada z drogi na zakręcie, przelatuje przez niewielką polankę i uderza w drzewo.

Kiedy drogą nadjechali ludzie ze wsi wracający właśnie z Katherine, zastali dwóch chłopców w szoku, bezwładnie kręcących się w pobliżu rozbitego wozu. Jeden poszedł przed siebie w busz. Odnaleziony został następnego dnia. Do wypadku doszło nieopodal tradycyjnego miejsca klanowych

coroboree. Odświętanych spotkań starszyny pełnych rytuału i pieśni.

To było przestępstwo bez przyszłości, a więc doskonale wpisujące się w dalsze życie tej trójki, w krótkie losy zabitego  
94

chłopaka, którego imienia zgodnie z tradycją już nigdy nie będzie można wypowiadać głośno. Bo co zrobić z samochodem, który już kilka godzin po kradzieży został wpisany na listę pojazdów poszukiwanych? Jeździć nim po Katherine i wpaść w ciągu kilku dni? Zostawić go we wsi, żeby policja, która regularnie odwiedza Menngen, zaczęła w końcu pytać o niego mieszkańców? Pozostaje więc to, co zwykle czeka nieprzydatny już samochód. Zostanie porzucony gdzieś w buszu, parę kilometrów za wsią, w miejscu, w którym skończyła się benzyna w baku, w miejscu, w którym zatarł się silnik z braku oleju, albo tam, gdzie pękło zawieszenie po wjechaniu w rozpadlinę, którą zostawił wyschnięty strumień. Zostanie podpalony, a skakanie po masce i wybijanie szyb zamieni go w stos pogiętej blachy. Pewnie stanie się miejscem libacji. Jego fotele zostaną wyrwane, tuż obok nich pojawi się krąg popiołu po ognisku. Kilka okolicznych metrów kwadratowych usłane będzie puszkami po piwie. Z czasem deszcz i słońce zamienią jego kolor na rdzawy. Lakier się złuszczy, a blacha skruszeje. Skradziony samochód przestanie istnieć, upodobni się do suchego, bladego, niemal białego buszu, utonie w kłujących trawach i nie będzie do niego prowadziła żadna ścieżka.

Dziś Bill ma około siedemdziesiątki. Po ojcu, oprócz nazwiska, odziedziczył życiową aktywność, która wyróżnia go we wsi bardziej aniżeli odcień skóry. Do Menngen z całego świata zjeżdżają się ludzie chcący spotkać żywą legendę. Płacą kolosalne sumy za to, by pojechać z nim w busz, do ukrytych malowideł naskalnych przedstawiających Braci Gromowładnych. Płacą, by spędzić z tym człowiekiem noc przy ognisku pod gołym niebem, by słuchać tego, co mówi i jak gra na didgeridoo. Dotrzeć do niego nie jest łatwo. Nikt tu nie organizuje wyjazdów turystycznych, nie ma hotelu ani miejsca noclegowego. Spać można w domu Aborygenów albo pod drzewem. Ale ludzie potrafią tam dotrzeć. Raz bogaty Amerykanin kazał usiąść pilotowi helikoptera na skraju wsi. Płacił każdą

sumę za noc w świętym miejscu. I Bill poszedł z nim. Jako  
95

jeden z ostatnich zna historię klanu, potrafi odczytywać sens naskalnych rysunków. Jego opowieści o gwiazdach i ukrytych w nich znaczeniach w końcu spisano. Istnieje bowiem obawa, że część tej wiedzy zniknie wraz z Billem. Ale książka to nie to samo. Bill mówi o przeszłości krótkimi zdaniami. Wtedy jego oczy błyszczą. A słuchacz ma wrażenie, że ziemia i skały z zacierającymi się ochrowymi rysunkami oddychają jak żywe.

Bill pamięta tę opowieść. Tę o walce Tęczowego Węża z Braćmi Gromowładnymi. Dawno temu Tęczowy Wąż, popychając morze w głąb lądu, sprawił, że kraina Wardaman zalana została przez wodę. Powódź zepchnęła ludzi na najwyższe wzgórza. Pierwsi mieszkańcy tej krainy, Bracia Gromowładni, słyszeli odległy śpiew Tęczowego Węża, który kazał wodzie coraz bardziej przybierać, i martwili się, bo siedząc na wzgórzu, które stało się ich więzieniem, otoczeni byli przez żywioł, którego nie potrafili pokonać. Pewnego dnia Czarny Orzeł podpowiedział im, aby zabili Tęczowego Węża włóczniami. Tak uczynili. Legenda mówi, że przebitemu włóczniami Wężowi wypadły oczy i zamieniły się w okresowe jeziora, a jego ciało przeistoczyło się w podłużną formację skalną, którą Bill do dziś pokazuje przyjezdnym. Ale z każdą wizytą skała coraz bardziej przypomina skałę, a coraz mniej pokonanego węża.

Potem był pogrzeb. Wnuka pochowali na cmentarzu w Katherine. Inaczej się nie dało. Było niesienie trumny z kościoła i kondukt. Na pogrzebie nikt nie pamiętał o ciszy wokół imion zmarłych. Członkowie rodziny, kładąc się na trumnie, zawodzili imię chłopaka, Bill oparł o nią czoło i milczał. Jego wnuk stał się kolejną ofiarą nowej klęski, która nawiedziła krainę Wardaman. Współczesny żywioł jest o wiele mniej zrozumiały, a przez to trudniejszy do pokonania aniżeli mityczna powódź. Porady Czarnego Orła i starania Braci Gromowładnych tym razem na nic się nie zdadzą, bo wróg jest o wiele bardziej bezcielesny. I kiedy wszyscy idą po pogrzebie w stronę bramy  
96

cmentarnej, stary mężczyzna opierający się na lasce, któryś z kuzynów Billa, nie wytrzymuje i nagle zaczyna krzyczeć: „Ile

jeszcze takich śmierci! Ilu ludzi jeszcze zginie od picia i narkotyków! Ilu? Gdzie jest wasza duma!? Gdzie!? Gdzie jest wasza duma!?" Starzec skanduje pytania, charczy, aż poczerwienieje. A oni z pochylonymi głowami słuchają go i idą krok za krokiem w stronę bramy cementarnej, za którą zaczyna się słoneczne i pełne życia Katherine.

One

Młode chodzą w sportowych ciuchach. Są kobiece, ale wszystko psują te rozciągnięte koszulki i szorty ciemne od brudu.

Mają pomalowane paznokcie u stóp. Ich kobiecość jest niekobieca. Są zaniedbane, ale przejrzyste, niczym niezmacone, szczerze w swoim istnieniu. Unikają kontaktów z obcymi. Kiedy grają w koszykówkę, są zdecydowane, waleczne. Krzyczą. Plują na asfalt i rozcierają bosą stopą ślinę.

Gdy na boisko weszła świnia, przegoniły ją kopnięciami i kamieniem.

Ich białe rówieśniczki można spotkać na Bondi Junction, ostatniej stacji metra w Sydney. Od Bondi Junction już tylko kawałek do Bondi Beach - kolorowej dzielnicy sezonowych robotników, surferów, Rosjan i Żydów. Dziewczyny w przestronnym holu dworca skupiły się w grupki, śmieją się, krzyczą, rozmawiają przez komórki. Są zakodowane w swoich gestach, ich ruchy błyszczą tak, jak błyszczą sznureczki koralików przypięte do telefonów. Telefony są spersonalizowane. One same są wystudiowane, jakby ich ciała były naturalnym przedłużeniem barwnej Oxford Street. Ich ciała lśnią najbardziej chodliwym towarem: młodym wiekiem, niewinną zmysłowością, zdrowiem. Widać je z daleka: noszą mundurki - marynarki z wyszytą tarczą szkoły, spódniczki, podkolanówki, czarne półbuty. No i kapelusze z szerokim rondem. Kapelusze chronią przed słońcem.

98

Wyglądają jak z Pikniku pod Wiszącą Skałą Weira. Weir, Australijczyk z Sydney, poruszony zasłyszaną historią z początku xx wieku, kręci w 1975 roku film. Historia trzech uczennic elitarniej szkoły, które pojechały w dniu świętego Walentego na piknik w busz i przepadły bez śladu, nie ma rozwiązania. Taka niekończąca się senna projekcja pełna zieleni i witalności skromnych dziewcząt. Po dwóch latach Weir



kręci Ostatnią falę. Biały prawnik broni pięciu Aborygenów oskarżonych o zamordowanie jednego ze swoich. W filmie materialistyczna cywilizacja zderza się z przepojonym wierzeniami i duchowością światem Aborygenów. Tym razem Weir mówi jeszcze konkretniej: nie ma możliwości zrozumienia niewytłumaczalnego.

Kiedy pod Wiszącą Skałą w stanie Wiktorja policja i okoliczni mieszkańcy szukają dziewcząt, australijscy urzędnicy zastanawiają się nad zlikwidowaniem niewygodnego podziału społeczeństwa australijskiego na białych i Aborygenów. Wpadają na prosty i niezwykle skuteczny pomysł.

Pytanie: Gdzie leży przyczyna skrajnej odmienności Aborygenów?

Odpowiedź: W ich tradycji.

Recepta: Sprawmy zatem, by dzieci o niej zapomniały. By zapomniały o swojej tożsamości.

Tak w pierwszych latach XX wieku powołano do życia zasadę: dzieci z mieszanych związków białego i Aborygenki będą odbierane siłą. Niektóre źródła mówią o jednym dziecku przypadającym na każdą trójkę narodzonych, inne o jednym na dziesięć. W sumie ocenia się, że w latach 1900-1970 około stu tysięcy życiorysów na samym starcie nabrało tragicznego wymiaru. Odebrane rodzicom dzieci wywożone były do innego stanu i osadzone w misji, domu dziecka albo rodzinie zastępczej. W niektórych rodzinach cztery kolejne pokolenia doświadczyły rozłąki z potomstwem. Twórczy pomysł przyniósł traumę, która pogłębiła społeczną frustrację Aborygenów.

Procedurę odebrania dziecka sprowadzono do formalnego minimum. Pracownicy opieki społecznej w towarzystwie

99  
policji przyjeżdżali do wsi, gruntownie ją przeszukiwali, a znalezione dzieci zabierali ze sobą bez nakazu i bez żadnego zaświadczenia. Aborygeni nie mieli prawa wiedzieć, gdzie potomstwo trafi, dzieci nie miały prawa dowiadywać się o miejscu zamieszkania swoich rodziców oraz swoim pochodzeniu. Najczęściej mówiono im, że rodzice nie żyją albo po prostu że „nie byli dla nich dobrzy”.

Spółeczeństwo musi być jednolite. Dzieci uczono języka angielskiego, od maleńkości wdrazano im sposób bycia bia-

łych, przystosowywano do prostych, potrzebnych prac: służącego, pracownika fizycznego. Tępiąco w nich resztki dawnej mentalności. Na początku lat siedemdziesiątych projekt zarzucono, a dzieci skazane na bycie sierotami nazwano Stolen Generations - Skradzionymi Pokoleniami.

W roku 1995, po wieloletniej walce organizacji pozarządowych i poszkodowanych, rozpoczęło się śledztwo, którego celem było ustalenie rozmiaru spustoszenia, jakiego w społeczności Aborygenów dokonała przymusowa asymilacja. Członkowie specjalnie powołanej komisji ruszyli w kraj. Odwiedzili każdą wieś, każdą ukrytą w buszu osadę. Rozmawiali z ludźmi, zapisywali wspomnienia, próbowali rekonstruować przeszłość.

W maju 1997 roku ukazał się raport Bringing them Home. Stał się on porażającym dokumentem zbrodni, bo tak nazwano akcję odbierania dzieciaków, której dopuścił się rząd Australii. Raport zgromadził relacje siedmiuset ofiar polityki asymilacyjnej.

Co piąte dziecko odebrane matce w trakcie przebywania w ośrodkach zastępczych było wykorzystywane seksualnie.

Co szóste - dręczone psychicznie.

Sama idea przymusowej asymilacji okazała się fiaskiem: dzieci nie były lepiej wyedukowane niż ich rówieśnicy żyjący z rodzicami we wsiach, jako dorośli miały problemy ze znalezieniem zatrudnienia, a ich dochody nie przekraczały średnich zarobków Aborygenów. Doszły do tego niewymierne detale: depresje, kryzysy tożsamości, problemy z kierowaniem

100  
własnym postępowaniem. Raport nazwał po imieniu praktykę rządu australijskiego. Było to, zgodnie z ustaleniami konwencji onz z 1948 roku, ludobójstwo.

Rząd w Canberze nie wystosował oficjalnych przeprosin za Skradzione Pokolenia.

Premier John Howard dyplomatycznie stwierdził, że ośbicie szczerze żałuje za to, co się stało, niemniej nie może przeprosić w imieniu państwa, gdyż nikt nie może odpowiadać za cudze błędy z przeszłości.

Zrobił to dopiero premier Kevin Rudd 13 lutego 2008 roku. A skradzione dzieci? Szukały lekarstwa na swoje cierpienie:

alkohol, narkotyki, samobójstwa, mgliste wspomnienia o wielkiej, ciepłej postaci zwanej matką.

A płacz tych dzieci? Gdzieś ginał, rozwiewał się z wiatrem, zanim doszedł do granicy osiedli białych. Wszystko działo się w delikatnym oddaleniu; ten niewielki dystans, którego nie chce się pokonać.

John Pilger - jeden z czołowych dysydentów australijskiego dziennikarstwa - pamięta swoje pierwsze spotkanie z Aborygenami. Miał wtedy kilka, może dziesięć lat. Dzień ten zapadł mu w pamięć. Po wielu latach napisał *A Secret Country* - książkę, w której ujawnia wielkie dramaty demokracji australijskiej, nad którymi zapadło zbiorowe milczenie.

„La Perouse, 1951. To był jeden z tych momentów dzieciństwa, kiedy wychodzisz poza siebie, poza swoje zwykłe doświadczenie. Te sylwetki nie przypominały nic znajomego. Oni w zasadzie nie powinni istnieć. Powinni dawno wyginać. Oczywiście, dorośli wspominali czasami, że istnieją, ale nawet nie wiadomo było, ilu ich tak naprawdę jest. Nie byli policzeni, w przeciwieństwie do stad australijskich owiec.

Ale z pewnością nie byli »niewidzialni«.

Chciałem jechać do La Perouse i stać na wydmach, patrząc na nich. Nie miałem prawa tego robić. Nikt wprawdzie tego nie zabraniał, ale taka była niepisana zasada. Ci nie-istniejący

101  
ludzie, mieszkający w skrzynkach po owocach, nie byli niebezpieczni, aczkolwiek nikt nie mógł być tego całkiem pewien. Było tam także mnóstwo rdzy i zbitego szkła, które mogło boleśnie skaleczyć stopy.

Wraz z moimi kolegami, a był wśród nich Pete, który odbył ze mną drogę aż z Bondi, odważnie schodziliśmy w dół, zamiatając piasek nogami, wprost w kierunku domów ze skrzynek. Z bliska okazało się, że te sylwetki mają twarze i oczy, rozszerzone oczy, które się w nas wpatrywały. Drzwi domów były wykonane z cienkiej siatki. Ta siatka miała za zadanie zatrzymywać muchy, które unosiły się chmarami nad stertami śmieci. »Wyrzuć to na La Perouse« - było nawet takie powiedzenie. A za każdymi siatkowanymi drzwiami, tak się nam przynajmniej wydawało, czaiła się czujna i obserwująca nas kobieta.

Muchy obsiadały dzieciakom powieki. To było fascynujące. Niektóre dzieci miały tylko jedno oko otwarte. Nie było to dziwne - w Australii wszyscy patrzyli przez szparki między powiekami. Nie przychodziło ci nawet do głowy, że ktoś może mieć zamknięte oko, bo ma po prostu problem ze wzrokiem. No i zwisał im z nosa aż do górnej wargi smark. Było to najlepsze potwierdzenie tezy o ich brudzie. O tym, że był to naturalny sposób obrony przed wszelkimi infekcjami, również nie mieliśmy bladego pojęcia.

Chłopcy w moim wieku nosili poszarpane spodnie z demobilu z ogromną liczbą klamer. Dziewczyny ubrane były w sukienki uszyte z worków po cukrze. Patrzyliśmy na siebie jak przez dwustronne, fenickie lustro. Jedyna interakcja, którą pamiętam, nastąpiła wtedy, gdy jeden z nich powiedział do Pete'a »zdychaj«. Poza tym raz widziałem ich śmiejących się - gdy nurkowali po monety. Rzucane przez ciekawskich, których przyciągał wielki biały facet sprzedający bumerangi.

Mężczyźni pojawiali się od czasu do czasu. Zwykle wychodzili zza domów, często z butelką. Nosili kowbojskie ubrania i ilekroć złapali nasze spojrzenie, chowali się z powrotem.

102

Obrażliwe okrzyki rzucające w ich kierunku były zachowaniem powszechnie dopuszczalnym.

Mężczyźni mieli zwyczaj zbierać się za stacją telefoniczną La Perouse, zbudowaną jeszcze w zeszłym wieku w celu połączenia linią telefoniczną Australii i Nowej Zelandii. Mieli wielki wózek, z którego dochodziło pobrzękiwanie butelek. Dyskutowali o czymś. Pewnego razu jeden z nich rozbił flaszkę i ostro zakończonym kawałkiem pchnął drugiego w twarz. To wydarzyło się akurat wtedy, gdy wysiadaliśmy z tramwaju. Zrobiło to na nas wielkie wrażenie. Widzieliśmy kałużę krwi na trawie, a policjant krzyczał: »Co, do jasnej cholery, sobie wyobrażacie, wy czarne pomieszańce?«.

La Perouse była jedyną z plaż Sydney, która nie otrzymała nazwy rdzennie aborygeńskiej. Nieopodal były inne plaże: Bondi, Tamarama, Coogee i Maroubra. Nazwa tej plaży leżącej tuż przy wejściu do Zatoki Botanicznej pochodziła od nazwiska hrabiego La Perouse - Jean-Francois de Galaupa. Przez zwykły przypadek przybył on na dwóch statkach do

Zatoki Botanicznej 26 stycznia 1788 roku pod dowództwem kapitana Arthura Phillipa.

W szkole uczono nas współczucia dla hrabiego. Gdyby przy-  
płynął do Zatoki Botanicznej trochę wcześniej, miałby prawo  
do zajęcia kontynentu dla Francji, a my wówczas mówiliby-  
śmy po francusku. Próbowaliśmy sobie wyobrazić, jak to jest  
być Francuzem, ale panowała powszechna zgoda, że mieli-  
śmy szczęście: niewielki przypadek sprawił, że jesteśmy Bry-  
tyjczykami. Nikt poważnie nie traktował faktu, że Australia  
już wówczas, w chwili przybycia pierwszej floty, nale-  
żała do ludzi, którzy żyli na niej przez tysiąclecia, którzy re-  
prezentowali setki »narodów«, mówili własnymi językami  
i żyli w swoim własnym kraju.

Kiedy Brytyjczycy przybyli do Australii, określili ją mia-  
nem »Terra Nullius« - ziemia niczyja, i na potrzeby historio-  
grafii uznali, że ci, którzy ziemię tę zamieszkiwali, nie istnieją.  
Teza ta nie była jedynie czymś w rodzaju zaprzeczenia  
103

rzeczywistości czy jednorazowym, nielogicznym wybrykiem  
racjonalnego umysłu - następne pokolenia zaakceptowały  
informację, którą ich uraczono: że wszyscy mieszkańcy tego  
niezamieszkałego świata po prostu umarli".

Niech tak zostanie. Oni wszyscy już umarli.

A one? Są jeszcze te, które znalazły białych mężczyzn  
i wsparte na ich ramieniu pokonały różnice dzielące dwa świa-  
ty. Rzucają się w oczy z daleka. Są zadbane, delikatne, bardziej  
kobiece w naszym rozumieniu.

Osada, która nie istnieje

Wędrowaliśmy zadbanymi alejkami Królewskiego Ogrodu  
Botanicznego. Sydney jeszcze spało, była niedziela. Chłodny  
poranek. Pomarańczowe słońce majaczyło chwilami w szcze-  
linach pomiędzy drapaczami city i wtedy wyglądało jak ory-  
ginalna reklama. Kluczyliśmy wśród zieleni, na wycucie wy-  
bierając drogę przez park. Byle szybciej być na miejscu. Święto  
narodowe miało zacząć się od aborygeńskiego rytuału. Taki  
symbol, że ten naród związany jest z tą ziemią i jej bliźniami,  
że ci ludzie, którzy nijak nie mogą się wpasować w rytm bia-  
łego społeczeństwa, są jego solą. Idąc, mieliśmy nadzieję, że  
to zobaczymy. Gdzieś wewnątrz wzbierało w nas podniecenie

myśliwego, który we mgle podąża w stronę ambony, aby z niej ustrzelić nieuchwytnie dotychczas zwierzę. Potem usiedliśmy na trawie w półokręgu jak przed dzieleniem chleba. Było coś pomiędzy nami, jakaś nić, wzajemna sympatia dopuszczalnych. Syczały otwierane termosy z kawą.

Zbocze wzgórza parkowego opadało do nadbrzeża i z miejsca, które zajmowaliśmy - z ogrodu o drzewach wielkich jak domy - widać było tafłę zatoki i otaczające ją białe wieżowce. Wyglądały jak zwiastun zimnego świata. Wydawały się odległe, niezwykle odległe. Nawet słońce, które wychodziło z za ich podniebnych ciał, było znacznie bliższe. Ono wysunęło się ostatecznie z za konturów miasta, zrobiło się nagle jaśniejsze i wtedy zagrała muzyka. Zamilkliśmy, jakby

105

w głowach przestawiły się nam zwrotnice na te części mózgu, które odpowiadają za poczucie uniesienia i szacunek dla sacrum.

Zacząło się. Wyszły szeregiem. Kobiety ubrane w przepaski, w skrawki tkanin, bardziej kawalkada bogiń rodem z Olimpu aniżeli Aborygenki. Miały to wystudiowane. Układały się w koła i gwiazdy, ich dłonie łączyły się i rozłączały, przechodziły jedna obok drugiej, tworząc skomplikowane układy. Było to coś o ziemi i naturze, zjednoczeniu żywiołów, pojawił się nawet dym - płonąła mała góreczka liści. Miały one niepokojący, nieznaną zapach. Spomiędzy tancerek wyróżniła się gruba matrona z bezprzewodowym mikrofonem zatkniętym za uchem. Pojawiła się nagle i była jak obelisk pomiędzy trawami. Zaczęła śpiewać, ale kiedy tylko wydała z siebie pierwsze dźwięki, potężne i czyste, z głośników rozległ się ryk sprzężenia. Technicy poderwali się z tłumu, pokazali się nagle przy stoliku z aparaturą. Nie dało się na nich nie patrzeć. Byli teraz częścią spektaklu. Ale pomimo starań nie mogli poradzić sobie z falami pisków i charczeniem. Ona jakby tego nie słyszała. Śpiewała nadal z rozanieloną twarzą, a treść pieśni - tak, z pewnością to treść pieśni - unosiła ją ponad rzeczywistość. Do nas jednak jej anielski głos dochodził zniekształcony, jak transmisja radiowa z odległego punktu świata albo głos z innej planety. Tancerki nerwowo patrzyły po sobie. Gruba śpiewaczka nie przejmowała się

awarią albo tuszowała konsternację udawaną obojętnością. Tak trwał ten wymarzony przez nas spektakl. Już po chwili chcieliśmy, żeby jej męka się skończyła, żeby wreszcie zapadła cisza, cisza byłaby bardziej na miejscu niż to starcie z techniką, żal nam było wiotkich tancerek, żal nam było śpiewaczki i tych chłopaków w czapkach z daszkami, którzy wzięli na siebie ciężar klęski. Potem, jak w amerykańskich produkcjach filmowych, nad wzgórzem uniósł się helikopter z nazwą kanału telewizyjnego na białej burcie. Pojawił się nagle, wyrósł spod ziemi kilkadziesiąt metrów od nas i zastylł na tle miasta. Huk wirnika do końca zdławił nieudany 106

śpiew, suknie i te wszystkie szarfy tancerek łopotały na wietrze, a dym z ogniska płożył się po ziemi, szedł pomiędzy nami, zawijał się w niewielkie, efektowne kłęby.

To miało być spotkanie. Obrzęd, zajrzenie za zasłonę, zaproszenie dla białych od prawowitych właścicieli. Święto o wielowiekowej tradycji w miejscu, gdzie zanim powstał Królewski Park Botaniczny i te wszystkie okoliczne popieprzone biurowce, istniała jedna z wielu osad aborygeńskich. Święto z granem na tradycyjnych instrumentach, śpiewem. Dopiero kiedy dym snujący się po ziemi zaczął zasłaniać stopy tancerek, a potem sięgnął ich kolan, uderzyło mnie, że wszystkie one mają urodę Aborygenek półkrwi. W ich ruchach było za dużo subtelności, były szczupłe, miały delikatne europejskie rysy i ciemną złocistą cerę. Dzieci z mieszanych małżeństw. Pewnie tancerki z jednego z awangardowych teatrów Sydney.

Pragnienie przemocy

Tamtego wieczoru Katherine tętniło ciemną radością, nocą i brzmieniem. Musiało trwać święto, święto niewidoczne, święto bez przyczyny, utajony zryw Aborygenów do zabawy, tylko im znany powód, którym się nie dzielili, bo i tak nikt by tego powodu nie zrozumiał. Na zwykle wyludnionej po zmroku Terrace Road kilku białych lawirowało pomiędzy grupkami zamoczonych alkoholem miejscowych. Ci nie mogli się ruszyć z miejsca, każdy nalegał, by iść gdzie indziej, krzyczeli, ich mocne głosy odbijały się od ślepych witryn sklepów. Z otwartych drzwi barów dobiegała muzyka. W jednym z nich, przy akompaniamencie trzech kolorowych świateł

zawieszonych pod sufitem, faceci z gitarami grali country. Biali siedzieli przy barze i rozmawiali, popijając drinki. Nad stołami do bilardu pochylali się biali i czarni, w głębi lokalu czarni podrygiwali pijacko w takt muzyki. Gdzieś pod ścianą dwóch dyskutowało. Co chwilę popychali się i zataczając, łapali równowagę. Jeden z nich, ten starszy, miał bielusięnką brodę i białe włosy. Wyglądał jak czarny Bóg.

Przed wejściem do knajpy, do której prowadziły schodki, siedziała na wózku inwalidzkim młoda Aborygenka. Z dłońmi złożonymi na podołku, w milczeniu obserwowała swoją towarzyszkę. Kobieta, która z nią przyszła, mogła być jej matką, albo i jakąś nieśmiertelną babką. Była maleńka, pomarszczona i kompletnie pijana. Każdemu mężczyźnie, który wyłaniał

108  
się z zadymionego wnętrza, oferowała obciążanie za dwadzieścia dolarów. Mówiąc to, chwyciła go za łokieć i patrzyła w górę - była dość niska - wprost w oczy i ni to uśmiechała się, ni to pokazywała zębia, z których sterczało kilka zębów. Jej poryta wiekiem twarz zmieniała barwę w zależności od światła padającego z knajpy - raz była demonicznie czerwona, raz niebieska.

Było późno i to świąteczne ożywienie dobiegało końca. Niecodzienność, która wraz ze świętem pojawiła się w Katherine, po zachodzie słońca zaczęła się rozwiewać. Za dwie, może trzy godziny, po północy, zgodnie z anglosaskim zwyczajem, muzyka zgaśnie, stawiając ostatnich gości twarzą w twarz z ciszą. Światła przygasną i ludzie rozmyją się w milczeniu ulic.

Katherine zasłonięte nocą. W ciemności nie widać reklam sklepów i barów, ulice są słabo widoczne, samochody przejeżdżają od przypadku do przypadku. Ludzi jak na lekarstwo. Busz otaczający oazę zacieśnia swój uścisk, niemal wchodzi z suchym trzaskiem łamanych traw i gałęzi na ulice. Jest gęsty i bezbrzeżny. Katherine jest tymczasowe ze swoimi świecidełkami reklam i domów. Znikome. Wszystko w okolicy jest większe i silniejsze od tego miasta. Nawet Katherine River. Miasto jest do tej rzeki przyklejone. W porze suchej staje się ona jedynie nitką błotnistego szlamu rzuconą na dno wielkiego, wrytego przez tysiąclecia koryta. Most kolejowy, który rozpiął się nad nią nienaturalnie wysoko, jest cały z żelaza.



Ma nity wielkości połówek mandarynek. Jest rdzawy i przy zachodzie słońca te połówki mandarynek przypominają jakąś formację skalną widzianą z samolotu. Rzucają podłużne, regularne cienie. Od przęsła tego mostu aż do mętnej brei w dole biegnie pionowa miara poziomu wody. Czarno-biała szachownica. Czasem, tak jak w 2002 roku, rzeka rozjuszona swoim długotrwałym bezruchem wylewa. Kiedyś dosłownie uniosła się w górę, pęczniała, wylała na łąki, zalała drzewa. Wspięła się po zboczach koryta. Sięgnęła mostu i poszła dalej. Powódź zalała domy, zniszczyła miasto. Ludzie na dachach. Wtedy do miasta wpłynęły kłody krokodyli.

109

Tamte wydarzenia pozostawiły ślad. Nowe budynki stoją na betonowych palach. W obawie przed wodą, która jeszcze może powrócić. Żart natury: domy na palach w środku buszu. W którymś sklepie na tablicy korkowej wiszą dowody tamtych wydarzeń. Wygięte od słońca, obsrane przez muchy, wyblakłe zdjęcia spadzistych dachów wynurzających się z wody.

Na przylegającym do Terrace Road skwerze-placyku z niewielką sceną kończy się impreza plenerowa. Sami Aborygeni. Na podwyższeniu kilka osób - są tam dzieci i dorośli. Śpiewają smutną pieśń religijną, której nauczyli się z pewnością w misji. Akompaniuje im kobieta na organach elektrycznych podłączonych zwojami kabla do wzmacniacza i pokaznego głośnika. Być może właśnie skończyła się msza, bo dwóch mężczyzn przed chwilą zniosło ze sceny stół i zaczęło go wkładać na zaparkowanego pod drzewami pikapa. Teraz stoją w cieniu i czekają na sprzęt grający. Impreza gaśnie, ale bardzo powoli. Chór co pewien czas kończy kolejną pieśń. Zapada cisza i wtedy słyhać, jak po drugiej stronie ulicy w knajpie, w błyskach świateł, gra country. Chórzyści już mają schodzić ze sceny, kiedy ktoś rzuca tytuł nowej pieśni. Czemu nie? Noc jest piękna, głos się niesie, to rzadka okazja. Chwila zastanowienia, organistka podaje pierwsze takty i w ciemność wieczoru znów wzbija się chrobotliwy i smutny śpiew. Ci dwaj od noszenia sprzętu wracają spod sceny w cień. Falszywy alarm. Jeszcze nie koniec.

Na trawniku paręnaście osób słucha muzyki. Kobiety w su

kienkach, mężczyźni w koszulach wypuszczonych na spodnie. Może są odświętnie ubrani, a może tylko półmrok zasłania objawy nędzy. Rozmawiają, część żegna się już i grupkami rozmywa się w nocy. Największy entuzjazm wykazują dzieci. Oświetlone mdłym światłem latarni, biegają dookoła rozłożonego na trawie koca, przewracają się umyślnie, piszczą i znów biegają. Nikt nie zwraca na nie uwagi. Z tyłu, z dala od gwaru, na niskim murku oddzielającym skwer od ulicy

110  
siedzi chłopak. Ma około dwudziestki. Jak każdy młody Abo-rygen nosi czapkę z daszkiem i sportową koszulkę. Jest bosy i pijany. Tam gdzie siedzi, nie dochodzi światło latarni. Kryje się w mroku ze swoim gniewem. Nie jest agresywny, jest po prostu rozgniewany. Mówi coś, pluje, zwiesza głowę. Głowa mu ciąży, ciąży mu ta impreza, ta muzyka. Koło jego nogi leży na trawie dwumetrowa sucha gałąź palmy. Bierze to skrzydło gigantycznego orła, unosi i bije bez przekonania w ziemię. Wstaje, jakby nie mogąc znieść swojego oddzielenia od tych ludzi, idzie w ich kierunku, ale zaraz wraca i znów siada. Chce papierosa.

Coś musiało się tu wydarzyć, on musiał zrobić coś złego, bo nagle do krawężnika podjeżdża policyjny furgon. Wszystko odbywa się dyskretnie i cicho. Policjant i policjantka podchodzą, wiedzą, kogo szukają. On wstaje, funkcjonariusz kładzie rękę na jego ramieniu. W tym dotknięciu nie ma żadnego przymusu, nie ma komunikatu „jesteś zatrzymany”. Jest ojcowski, niemal ciepły, niemal pełen zrozumienia gest, coś w stylu „pójdźmy już, synu”. Policjanci są czarni i srebrzyści, wyglądają jak para pięknych kosmitów w opiętych uniformach. Ona ma blond kucyk. Anglosaskie rysy twarzy, uprzejmość i stanowczość w jednym. Chłopak coś mówi, kołysze się, a oni mu odpowiadają. Ale dialog do niczego nie prowadzi. Trwa już nieuchronne, już się wszystko stało i biorą go do samochodu, on bosy pomiędzy nimi. Samochód odjeżdża. Znikają we trójkę.

Nigdy wcześniej nie widziałem policyjnego zatrzymania, w którym byłoby tyle uległości zatrzymanego i zrozumienia funkcjonariuszy. W tej chwili, która rozegrała się w półmroku na skwerze w Katherine, w powietrzu wisiała śmierć. Dlaczego nie uciekał? Dlaczego nie ratował się, nim przyjechali

policjanci? Dlaczego widząc ich, nie próbował uniknąć aresztowania? Był zrezygnowany. Poddał się biegowi wydarzeń, pogodził się z ich przyszłym ciężarem. Zrezygnował z własnej woli na rzecz działania siły. Poddał się tej sile, poddał się ograniczeniu swojej wolności, jak zwierzę pogodzone z własnym końcem.

111

„Te dzieciaki mają w głowach piekło. To one najbardziej cierpią” - mówi Iwon, Niemka spod Monachium, która kilka lat temu rzuciła recepcję hotelu i pojechała do Australii pracować dorywczo jako jackaroo. Kobieta - kowbojem. Jeździ konno, ma toyotę hiace, w której śpi, pali i pije z mężczyznami. Jej łóżko to platforma z desek na tyle samochodu, pokryta kocami i kołdrą. Chodzi w krótkich szortach. Na muskularnych nogach ma ropiejące rany od ukąszenia owadów. „Sama nie wiem, co to było - mówi, oglądając jakąś jamkę w ciele. - Chyba nie pajak, bobym umarła, ale to musiało być toksyczne świństwo”. Rana jest niemal pusta w środku, zaczerwieniona na obrzeżach i niebezpiecznie miękka. „Chyba gniję” - śmieje się Iwon i wyciąga z lodówki samochodowej puszkę piwa Victoria Bitter. Ostatnio mieszka gdzieś w buszu na zachód od Katherine. Iwon wie dużo o aborygeńskich dzieciakach. Mają w głowie piekło. Powtarza to zdanie kilka razy, jakby to właśnie ono najdokładniej tłumaczyło problem. One widzą każdego dnia dorosłych pogrążonych w jakimś niezrozumiałym marazmie. Mogą nie zastanawiać się nad fatalną kondycją społeczności, ale muszą z pewnością ją dostrzegać. Co więc widzą? Swoich rodziców grających w karty na kocu rozłożonym pod drzewem, sfrustrowanych, biernych, cokolwiek by się działo. Pijących, czekających na coś, co wciąż nie nadchodzi. Dzieciaki intuicyjnie wiedzą więc, co je spotka. Wiedzą, że nie ma dla nich dobrej przyszłości. Że ich życie będzie wyglądało tak jak życie ich rodziców. A przecież to śmierć w bezczynności. Kochają zatem telewizję. Albo inaczej. Nienawidzą tego, co telewizją nie jest. Bo w telewizji wszystko ma swój sens. W świecie rzeczywistym nędza ich rodzinnych wsi miesza się z rasizmem miast. W telewizji jest inaczej. Lepiej. Koszykarze ubrani w piękne i luźne ciuchy są gwiazdami. Kiedy wyskakują do kosza z piłką i lecą w zwolnionym tempie, za

nimi, na trybunach, błyskają flesze. Cały ekran jest w gwiazdach. Tysiące ludzi, bez względu na kolor skóry, ogląda ich i na pewno kocha. Podobnie jest z raperami. Mają tatuaże, są 112

agresywni. I piękni. Mają wielkie samochody terenowe, lotniska, domy z basenami i kobiety. Kobiety są równie piękne, co uległe, bo raperzy są królami. Mają złoto i władzę. Każdy ich zna. Ludzie ich kochają.

Na ekranie dzieją się cuda i dzieciaki patrzą w ten ekran, siedząc przed domem na przytarganych skądś materacach. Wszędzie jest kurz i słońce. Obraz na ekranie ledwie widać, choć telewizor ustawiony jest w cieniu. Kiedy podejdziesz jeden z włączających się po wsi psów, kiedy wejdzie za telewizor i ruszy kabel ciągnący się po ziemi, któryś dzieciak wstanie i go odpędzi. Potem wróci na materac. Tak jest wszędzie. W każdej wiosce, gdzie jest telewizor, gdzie na dachach zainstalowane są anteny satelitarne wymierzone swoimi rozdziawionymi gębami w gwiazdy.

A kiedy sfrustrowane dzieci zaczynają obawiać się swojej przyszłości, kiedy dociera do nich agonía ich rodziców, zaczynają szukać wzorca, ideału, wyjścia z sytuacji. Znajdują swoich czarnych supermanów: raperów i koszykarzy, i zaczynają się ubierać jak oni, mówić jak oni. „Jeżeli czarni mogli w Ameryce stać się potęgą, my też możemy” - twierdzą. Więc ich naśladują. Powstają do buntu, ale bunt jest za trudny. Prawdziwy bunt jest cierpieniem. Prawdziwa niezgoda jest bardziej bolesna od pokory wobec okrutnego świata. Bunt tych dzieci, skrzywdzonych i niewierzących w dobrą przyszłość, jest zwykle przeciwem telewizyjnym: jedynie wizualnym. Więc ubierają się jak raperzy w luźne ciuchy, noszą połączane łańcuszki. Do zdjęć pozują z dłońmi złożonymi w dwa pistolety. Dwa palce to lufa, dwa palce niby na cynglu. Kucają, przyjmują pozy gwiazd boysbandu z rękami skrzyżowanymi na piersi. Niekiedy nawet dwudziestolatkowie, naiwni, wierzący, że poszarzałe od słońca i lepkie od brudu podkoszulki dadzą im siłę, że groźne i wystudiowane gesty zapewnią im ucieczkę od przyszłości. To jest ich bunt. Lekkie odrealnienie, pogoń za innym stylem życia, w gruncie rzeczy marzenie.

A mają przecież przykłady, że Aborygen też może. Yothu

Yindi. Bezprecedensowe wydarzenie muzyczne na skalę światową - grupa chłopaków z Ziemi Arnhema i kilku białych, którzy podbili uszy melomanów na całym świecie. Powstali w 1986 roku, pierwszą płytę nagrali w 1988 w jeden dzień.

Następny zajęło im zmiksowanie jej. Wygrali nią kontrakt płytowy w najważniejszym niekomercyjnym wydawnictwie płytowym Australii: Mushroom Records. Yothu Yindi w języku Yolnu oznacza „dziecko i matkę”, oznacza więź, więź klanów, więź z ziemią, tradycją. Pomimo międzynarodowej kariery wciąż są orędownikami tej więzi. Ich muzyka to połączenie zachodniego rocka z pieśniami i liniami melodycznymi sprzed tysięcy lat. Używają tradycyjnych instrumentów, tańca, wszystko owijają jednak w uniwersalną stylistykę muzyki rozrywkowej, typowej dla zachodniej cywilizacji. Stąd prawdopodobnie ich sukces. Tworząc w formie niezmiennych, skazaliby się na nieistnienie - nikt by ich na Zachodzie nie zrozumiał.

Wybić szybę samochodu łokciem, wsiąść za kierownicę i popodłączać kabelki stacyjki. Pędzić, żeby w końcu porzucić samochód gdzieś w buszu. Włamać się do sklepu albo napisać białą kobietę w parku. Realizować proste zadania, mówić o nich jako o wolności. Prawdziwa walka jest niemożliwa. Idea rewolucji czy zbiorowego sprzeciwu byłaby nawet trudna do wytłumaczenia. Siłowa zmiana stanu rzeczy jest dla Aborygenów zbyt abstrakcyjna, aby ją pojąć. Nie leży w ich mentalności. Nie leży w mentalności dorosłych, więc tym bardziej nie leży w mentalności dzieci. A więc znowu bierność. Oni chyba nawet nie chcą być twórcami muzyki, koszykarzami. Na to trzeba wielkiego samozaparcia. W ich przypadku gigantycznego. To za trudne. Alkohol jest prostszy.

Fromm w książce O sztuce miłości pisze: „Wielu ludzi nawet nie zdaje sobie sprawy ze swej potrzeby przystosowania. Żyją pełni złudzeń, że postępują zgodnie ze swoimi przekonaniem i skłonnościami, że są indywidualistami, że dochodzą do swoich poglądów drogą własnego rozumowania, że jedynie

za sprawą przypadku ich koncepcje pokrywają się z koncepcjami większości. Powszechna zgoda służy im za dowód, że

te przekonania są słuszne. Ponieważ wciąż jeszcze istnieje potrzeba odczuwania pewnej indywidualności, jest ona zaspokajana na polu mało istotnych różnic; inicjały na torebce czy swetrze, wywieszka z nazwiskiem kasjera bankowego, przynależność do partii demokratycznej zamiast do partii republikańskiej, do takiego, a nie innego klubu - stają się wyrazem indywidualnej odrębności. Reklamowy slogan: »To jest inne« wyraźnie wskazuje na tę wzruszającą potrzebę odróżniania się, podczas gdy w rzeczywistości już prawie nic z niego nie pozostało.

Ta wzrastająca tendencja do eliminowania różnic wiąże się ściśle z pojęciem i poczuciem równości, jakie wzmaga się w najbardziej rozwiniętych społeczeństwach przemysłowych. Równość w religijnym kontekście oznaczała, że wszyscy jesteśmy dziećmi Boga, że wszyscy posiadamy ten sam ludzko-boski pierwiastek, że wszyscy stanowimy jedność. Znaczyła ona również, że należy szanować właśnie różnice pomiędzy ludźmi, że aczkolwiek jest prawdą, że wszyscy stanowimy jedno, jest również prawdą, iż każdy z nas jest niepowtarzalnym istnieniem, jest wszechświatem sam w sobie. [...]

Filozofia Oświecenia także stała na stanowisku, że równość jest koniecznym warunkiem rozwoju indywidualności. Oznacza to (najjaśniej sformułował to Kant), iż żaden człowiek nie może być środkiem do osiągnięcia celów innego człowieka, a także że wszyscy ludzie są równi, ponieważ są dla siebie celami i jedynie celami. [..]

We współczesnym społeczeństwie kapitalistycznym znaczenie równości uległo przekształceniu. Przez równość rozumie się dzisiaj równość automatów, ludzi, którzy utracili swoją indywidualność. Równość oznacza dzisiaj raczej »identyczność« niż »jedność«. Jest to identyczność abstrakcji, identyczność ludzi wykonujących tę samą pracę, ludzi, którzy mają te same rozrywki, czytają te same gazety, mają te same uczucia i te same idee. [...] Współczesne społeczeństwo głosi ten ideał

115

nieindywidualizowanej równości, ponieważ potrzebuje ludzkich atomów, z których każdy będzie taki sam, aby działały w masowych zbiorowiskach sprawnie, bez tarć; aby wszyscy słuchali tych samych rozkazów, a jednak aby każdy był przeko-

nany, że postępuje zgodnie z własnymi pragnieniami. Podobnie jak nowoczesna produkcja masowa wymaga standaryzacji wyrobów, tak samo proces zachodzący w społeczeństwie wymaga standaryzacji człowieka i tę właśnie standaryzację nazywano »równością«.

Zespolenie przez dostosowanie się nie ma ani intensywnego, ani gwałtownego charakteru; jest łagodne, dyktowane rutyną i właśnie z tego powodu często nie wystarcza, aby uśmierzyć niepokój wyobcowania. Przypadki alkoholizmu, narkomanii, erotomanii oraz samobójstw są we współczesnym zachodnim społeczeństwie symptomami pewnej porażki w wysiłkach przystosowania się do stada".

Pewnego wieczoru na północy do ogniska rozpalonego pod wielkim drzewem przyszedł chłopak o imieniu Daniel. Trzeba było kilkunastu dni, żeby ktoś z mieszkańców wsi się przełamał. Nasz namiot był rozbity na granicy wsi i buszu, za dwoma gigantycznymi kolektorami na wodę. Mieszkańcy wiedzieli, że pojawili się obcy, ale przez te wszystkie dni nikt nie przyszedł, nie zainteresował się nami. Całkowicie wystarczała im obserwacja z daleka, patrzenie na zielonkawe płótno namiotu, na ogień, na nasze postacie. Zaczepiani, odpowiadali życzliwie z drzwi domów, mężczyźni odmachiwali na powitanie. Ale nic więcej. Nikt z nich nie przyszedł za kolektory, jakby przestrzeń za nimi ich nie dotyczyła, jakby nie była to już ich wieś. Byli zajęci swoimi sprawami, swoją bezczynnością i krótkotrwałym pobyt obcych na ich ziemi, zaledwie dwutygodniowy, niczego nowego do ich życia nie wnosił. Pewnego dnia coś się jednak zmieniło: najpierw przyszedł jeden. Niby mim oходом, niby przechodząc nieopodal, stanął nad ogniskiem z rękoma wciśniętymi w kieszenie spodni i kiwnął głową na powitanie. Pomilczał chwilę, patrząc gdzieś w bok,

116

i nagle zapytał o tytoń: „Haveya tobac, bro?". Postał jeszcze chwilę, milcząc, skręcił papierosa, potem włożył go za ucho. Znowu milczał. Było zupełnie cicho. Gałęzie drzewa zwisały ciężkimi konarami nad ognisko, a płynące w górę ogrzane powietrze kołysało równomiernie liśćmi. W ciszy słychać było tylko ich szum.

Potem wpadali częściej. Po tytoń, kawę. Albo cukier. Albo

bibułki. Albo znowu tytoń. Nie siadali, stali tylko w blasku ognia, milcząc, nie patrząc w oczy, spragnieni tytoniu, nie rozmowy. I zjawił się nagle ten chłopak. Usiadł w cieniu, nieśmiały, usiadł tak, żeby nie znaleźć się w świetle wiszącej z gałęzi żarówki w metalowej siatce. Z czapką spuszczoną na oczy. Był podobny do tamtego rozgniewanego chłopaka z Katherine. Ta sama wiotkość ciała, czapka z daszkiem, sportowe ciuchy. Wszystko na nim było przesiąknięte tym ostrym zapachem potu, który tak bardzo nie pasował do delikatnych dłoni i chłopięcej budowy. Milczał, jakby samym swoim przyjściem dał dość do myślenia nam i sobie. Obracał w dłoniach zapalniczkę. Potem się odezwał. Miał głos dziecka. Cichy i aksamitny, zupełnie nieprzystający do szczecinki nad górną wargą, kolczyka w uchu i warkoczyka zaplecionego z tyłu głowy. Pytał o Europę. Po każdej odpowiedzi milczał, kiwając głową, jakby na podstawie tego, co usłyszał, obmyślał następne pytanie. Interesowały go różne rzeczy. Głównie muzyka. Potem mówił. Mowa była melodyjna i kojąca. To nie był ciąg zdań, tylko płynna recytacja. Opowiadał o sobie. Że ma na imię Daniel, że większość czasu spędza w wa. Tam ma kolegów, mieszka w internacie przy szkole. Nie potrafił powiedzieć, która to szkoła. Z kolegami jest fajnie. To kumple. Ale trzeba walczyć o swoje. On, Daniel, potrafi uderzyć za nic. Uderzyć bardzo mocno w twarz albo głowę. Albo złapać kogoś za głowę i bić nią o ziemię, aż pojawi się krew. Krew na rękach. „Robiłem tak wiele razy. Wiele razy biłem, aż miałem krew na rękach” - mówi i pokazuje jaśniejsze wnętrza dłoni, jakby miały na nich migotać resztki gniewu. Ale na dłoniach nic nie ma. Nawet w głosie Daniela nie ma emocji. Opowiada o krwi

117  
i bólu niemal śpiewem, swoim delikatnym głosem, potem milknie, patrzy w ogień. Znow zaczyna opowiadać o przemocy, znow milknie. Ale tym razem już patrzy w oczy.

W Menngen mieszka jego rodzina.

Daniel w Menngen robi bumerangi.

Jego bumerangi służą do zabijania.

Wie, gdzie znaleźć w buszu drzewo żelazne, wie, które wybrać, żeby bumerang był naprawdę zabójczy. Robienia bumerangów nauczył się od kogoś we wsi. Podał imię, ale już go



nie pamiętam.

Daniel umie zmieniać tarcze w szlifierce kątovej tak, by przyciętą gałąź zamienić w gładki kawałek drewna. Potem jeszcze natrzeć drewno olejem silnikowym, żeby błyszczało. Gotowe. „Umie rzucać tak, by zabijać - mówi Daniel. - Jak kangur dostanie w łeb takim bumerangiem, nawet się nie obejrzy, a leży w kałuży krwi z rozbitą głową. Zupełnie martwy. Krew jest wtedy wszędzie" - mówi i zatacza dłonią koło. Rano zgodnie z umową przyszedł. Przyniósł ze sobą bumerang. Myśliwski. Może bojowy. Niekształtny, niepodobny do gadżetów, które kupują biali i spoceni turyści w sklepach z upominkami. Jedno jego ramię było o wiele dłuższe niż drugie. Miał około siedemdziesięciu centymetrów długości, na szerokość prawie dziesięć. Ważył coś koło dwóch kilo. Poszliśmy ścieżką w busz. Droga była piaszczysta ze śladami ciężarówek. Po prawej stronie mineliśmy zagrodę dla krów zbudowaną z metalowych, porzewiałych rur. Szliśmy dalej. Wieś znikła. Za plecami była już tylko zieleń. Droga biegła cały czas w głąb buszu, a śladów kół z czasem robiło się coraz mniej. Co pewien czas teren się obniżał. Było to raptem może pół metra niżej, ale w tych nieckach ciało przenikał lodowaty strumień powietrza. Rosły tam też różne rośliny. Trawy były ciemniejsze, bardziej wilgotne, jakby pod ziemią biegł nurt wody. Żadnego zwierzęcia.

W końcu doszliśmy. To była podłużna polana. Nie znaleźliśmy żadnego kangura. Szliśmy za krótko, Daniel nie do  
118

końca wiedział, gdzie można spotkać zwierzęta. Było gorąco, chciało nam się pić, a nie pomyśleliśmy o wodzie. Daniel postanowił, że tu będzie rzucał. Wyjął skręta z ust, zrobił dwa kroki i wyrzucił bumerang, jakoś zza siebie, dziwnym ruchem. Bumerang poleciał wysoko i upadł dość daleko. Nawet nie było tego słychać, tylko z ziemi wzniósł się niewielki obłoczek pyłu. Poszliśmy tam. Kiedy Daniel podniósł bumerang, okazało się, że na całej długości jednego ramienia, na naoliwionej gładzi, pojawiło się głębokie pęknięcie. Wróciliśmy do wsi w milczeniu.

Coco ma pięć, a może i sześć identycznych koszul hawajskich. Wiszą w szafie w jego zagraconym pokoju. Coco każ-

dego dnia wygląda tak samo. Koszule niegdyś były bardziej kolorowe. Jaskrawsze. Wymęczyły je liczne prania i wywieśzanie na słońcu, w głębi ogrodu, na sznurach rozciągniętych pomiędzy drzewami. Do tych koszul zwykle zakłada krótkie spodnie. I klapki. Raz, kiedy szedł na pogrzeb znajomego, założył do takiej hawajki i krótkich spodni czarne półbuty. Chodził po trawniku, pochylał się, oglądał swoje stopy zamknięte w sztywnych skórzanych formach. „Po raz pierwszy od trzech lat mam na stopach pełne obuwie. Very strange, very strange” - mówił do siebie.

Jest pół-Fidżyjczykiem. Wypłowiełe koszule hawajskie pasują do jego melancholijnego sposobu bycia i orzechowych, wielkich oczu dziecka osadzonych w twarzy pięćdziesięciolatka. W oczach ma promieniującą łagodność. Płucze ryż pięć razy, nim zacznie go gotować. Tak uczyli go Japończycy, którzy odwiedzają go każdego roku. „Ryż musisz płukać tak długo, aż woda stanie się krystaliczna” - mówi.

Mówi też, że świat jest mistyczny. Funkcjonuje od świtu do zachodu słońca. Taka anomalia charakterystyczna dla ludzi żyjących zbyt blisko natury. Jej ciężka dłoń wyznacza zakres ludzkiej aktywności słońcem, deszczem, wiatrem.

120

Wieczorami, kiedy słońce zajdzie, Coco gra na gitarze klasycznej. Przy łóżku w jego maleńkim pokoju stoją w ramach zdjęcia kobiet: żony i dwóch córek. Żona nadal mieszka na Fidzi, córki robią karierę modelek gdzieś w świecie. „Są piękne - mówi - piękne. Ale tak musi być, że żyjemy w rozłące. Na Fidzi panuje bieda i tam nie ma dla nas przyszłości”.

Coco prowadzi galerię w Katherine. Handluje sztuką aborygeńską. Galeria mieści się w garażu. Od ulicy malarstwo aborygeńskie oddzielają kraty. Spalona słońcem First Street z pożółkłymi drzewami i tyłami sklepów jest martwa, więc sprzedawane przez Coco kolorowe obrazy wyglądają jak dzikie zwierzęta, które tylko dlatego znajdują się jeszcze w galerii, że jest między nimi a wolnością ordynarna bariera z prętów. Kiedy wieje wiatr, do galerii wpadają liście.

Trochę się wstydzi tych uwiecznionych płócien, negocjacji z miejscowymi artystami, zamieniania sztuki na gotówkę. Czasem, paląc, mówi, że tak naprawdę nie lubi handlować, że

stara się być fair wobec tych wszystkich ludzi, którzy przyjeżdżają do niego poczerwieniałymi od kurzu, rozklekotanymi pikapami, oferując swoje prace. Mówi, że to wielki łańcuch zależności i nic nie można na to poradzić. „Artyści aborygeńscy chcą żyć, ja chcę żyć, ludzie chcą mieć obrazy na ścianach”. Jednego poranka pojawia się ich trzech. Nie są już chłopcami, ale jednocześnie jeszcze nie są zniszczeni przez alkohol. Podobni trochę do Lenny ego Kravitz, ospali, w podkoszulkach, luźni. Pewnie mają po dwadzieścia pięć lat, bo wyglądają na ponad trzydzieści. Jeden narzucił na ramiona czerwoną rozpinaną bluzę. Detal, ale bluza jest naprawdę czerwona, wręcz jarzy się tą czerwienią. Nie jest to czerwień brudnej ziemi, jest to czerwień, jaka pojawia się tylko na dziecięcych rysunkach, i chłopak wygląda w tej bluzie jak buntownik. Jego bunt jest buntem doskonałym. Jak z bajki. Totalnym i jednocześnie nieprawdziwym. Nie ma nigdzie wokół niego odpowiedników tego koloru w naturze. Nie ma takich kwiatów, kwiatów nie ma tu w ogóle, trawy są spalone, samochody, nawet jeśli

121  
były czerwone, to poszarzały od kurzu. Drogi, które prowadzą z Katherine we wszystkich kierunkach, są czerwone, ale ta czerwień jest szara, ponura, zmęczona. Więc bluza świeci. Wysiadają z samochodu leniwie, bez pośpiechu. Ten, który prowadził, w dużych okularach przeciwsłonecznych, uchylił drzwi do sklepu i zagląda do wnętrza. Potem zapala papierosa i woła kolegów. Witają się jak przyjaciele. Chcą sprzedać rury, które wiozą na pace, ale te ich niemrawe pogadanki są jak preludium do strzelaniny na filmach. Coco ma ręce założone na piersi i jest jakiś inny. Niezwykły, milczący, oszczędny w gestach. Chodzi o pieniądze. Więc oni mu mówią: „Coco, patrz: mamy dla ciebie nowe didge, piękne didge, dobre didge”. Jak na filmie odrzucają zakurzone koce i pokazują towar. Stąd gdzie stoję, nic nie widać, tylko te cztery głowy schylone nad burtą pikapa. Potem jeden z nich sięga i wyciąga je na zewnątrz. Trzy rury wymalowane we wzory, które wymyślili jeszcze ich praojcowie. Ktoś nad nimi ciężko pracował. Czarna farba lśni, kreski, charakterystyczny sposób zdobienia pochodzący ze wschodnich rejonów Ziemi Arnhema, są proste i gęsto położone. To dobre rury. Coco chyba zna tych chłopaków.

Potem powie, że przywożą dobre instrumenty. Wiedzą, o co w tym chodzi.

Nie zaprasza ich nawet do środka. Wszystko odbywa się na placu przed sklepem, w słońcu, wśród żółtych, drobnych liści lecących z drzew jak płatki na procesji. Fidzyjczyk bierze jeden instrument po drugim i próbuje brzmienia. Dmucha, sprawdza tooting: wysoki wibrujący ton, oni niby niezainteresowani tym testem, oparci o zakurzony samochód, rozmawiają. Potem lakier. Dokładnie. Kawałek po kawałku. Drewno nie może być nigdzie pęknięte, nie może być skazy, bo instrument zacznie z czasem grać nieczysto. Z trzech wybiera dwa, idzie do biura po pieniądze. Ten, którego nie chciał, łąduje na samochodzie zawinięty w koc. Pojadą zaraz do innego sklepu, żeby go opchnąć. Za zarobione pieniądze zabawią się. Upiją w którymś z pubów Katherine. Może nie? Może zrobią zakupy. Potem ruszą czerwoną, zakurzoną trasą w drogę powrotną

122

i znikną w Nicości, rozmyją się. Może zostanie tylko bluza jako punkt w czasie i przestrzeni. Ale nie. Ona też zniknie, jedyny dowód na to, że było się w Katherine na handlu, tam, w pięknym i piekielnym Katherine.

Kiedy Coco sprzedaje malarstwo czy didgeridoo, chce, by ludzie byli szczęśliwi. „Wiesz - mówi, jakby tłumaczył się z tego, że handluje - ja w sklepie mam wiele rur, ale wszystkie grają, wszystkie mają duszę. Nie sprzedaję shitu jak inni, kawałków wydrążonego drewna. Ja wiem, że ludzie kupują je i wieszają w swoich domach na ścianie. Że ważniejsze dla nich od tego, jak brzmi, jest to, jak rura wygląda. Ale moje rury grają. Pięknie grają. Innych nie sprzedaję. Chcę, żeby ludzie zrozumieli siłę tego instrumentu. Dlatego ich uczę. Najpierw pokazuję im, skąd prawdziwe didgeridoo-yidaki pochodzą, potem uczę ich dmuchać. I wiesz, lubię to robić, bo wiem, że sprzedaję dobre rzeczy. Nawet jeśli je tylko sprzedaję”.

Od bramy jego kampu wszędzie wydaje się blisko. Czy to nie piękne? Prosty powód do wędrówki, wiecznego błądzenia, obietnicy postoju dalej i dalej. Ta narkotyczna potrzeba zaczyna się właśnie w takim miejscu jak to. Przy bramie. Za plecami ogród - suchy, ale gościnny, pełen beczek po ropie, kur, samochodów, na których tyle samo rdzy, co uschniętych

liści z drzew. Z przodu spalona ulica, która oczywiście gdzieś się kończy, ale co z tego, jeśli nie kończy się pasja przemierzania przestrzeni. Coco zna to uczucie: „A może właśnie tak musi być, że błądzimy i ta nasza poplątana droga jest w istocie prostą ścieżką ku czemuś - mówi pewnego razu. - Ścieżki w buszu nigdy nie są proste. To plątanina, slalom, wijące się szlaki. Ale kiedy wejdiesz na wzgórze, możesz dostrzec, jak z dystansu na pozór poplątany szlak zamienia się w drogę. Biegając dokładnie od-do. Więc kształt tej ścieżki nie ma znaczenia. I tak pociąga nas jedynie to, co jest na końcu. Zresztą, żeby iść, nie musisz się wcale przemieszczać. Wiedziałeś o tym? Świat jest very strange - stwierdza. - Very strange" - 123

powtarza i słowo „strange" przeciąga, jakby dziwność tego świata była niezmierna. Siedzi przy stoliku pod drzewem, skąd widać bramę. Za bramą jest ulica, za ulicą następna, jeszcze dalej zaczyna się Nicość. A ona gdzieś tam łączy się z błękitem nieba.

Znalazł w tym niezmiernym świecie swoje miejsce. Mała galeria i punkt noclegowy, w którym zatrzymują się wszyscy porażeni wielkością otwartych przestrzeni północy. Rowerzyści samotnie przemierzający kontynent, muzycy didgeridoo pokonujący tereny Terytorium Północnego w poszukiwaniu mistrzów - tych aborygeńskich dziadków żujących tytoń, dla których gra na didge jest częścią religii. Zatrzymują się u niego wszyscy freaks chodzący pieszo po buszu, półdzicy, którzy porzucili domy w Europie i zamieszkali z Aborygenami w ich wsiach, ludzie, dla których samo życie było czymś za małym, czymś zbyt określonym, by mogło się toczyć dalej swoim torem, było zbyt techniczne, zbyt przewidywalne, żeby pozwolić mu się skończyć tak prosto.

Obudził mnie o szóstej, słońce już było ostre, ale jeszcze nie grzało, natura podnosiła się do życia po parnej nocy, ustawiała się tak, aby jak najmniej oberwać od wschodzącego słońca.

Kury - kolorowe przecinki - tańczyły swoje kółeczka po podwórku, ich kręgi prowadziły je niezmiennie coraz bliżej pod liście palm, potem schowane tam, potrząsały dolnymi gałęziami krzaków, całe te chaszczki żyły i tętniły swoim własnym ruchem. Z krzaków dobiegał pisk i drapanie, a mrówki ucie-

kały spod nóg po linach. Zaczynało się robić gorąco. Tylko beczki po ropie i wraki samochodów ani drgnęły w malejących cieniach.

Paddy Fordham usiadł na ławce. Też uciekał przed słońcem. I ja usiadłem przed nim wyrwany ze snu. Miał twarz jak skórzany worek i stary, wyleniały kapelusz. Coco, w swojej nieśmiertelnej hawajskiej koszuli, powiedział do niego, że jestem tu, bo chciałem spotkać legendę północy. Jego spuszczone oczy i milczenie wcale nie oznaczały oczekiwania na

124  
dalsze wyjaśnienia, śmieszne i jednocześnie wygodne jest to aborygeńskie rozmawianie, w milczeniu, siedzenie jeden obok drugiego, w stałym kontakcie, choć każdy zatopiony we własnych myślach. Zadałem kilka pytań, zaspany, nieprzygotowany, przecierając oczy, ale odpowiedzi były pojedynczymi sylabami. Paddy rozglądał się, a potem wyciągnął rękę i ze stolika, przy którym siedzieliśmy wczoraj do późna w nocy, podniósł puszkę. „Pić”.

Coco przyniósł mu litr wina w aluminiowym worku z korkiem. Takie czterolitrowe sikacze stały szpalerami w marketach. Każdy po kilka dolarów. Paddy przechylał ten worek i z otworka spływał do szklanki rubinowy strumyczek. Tak go sfotografowała Ania. Kadr wypełnia jego wariacka koszula, kolorowa jakby stale wycierał w nią swoje brudne od farb bochny dłoni, aluminiowy woreczek z winem, przypominający kombinezony pracujących przy produkcji procesorów Intel, i wór twarzy.

To wszystko co mogę o nim powiedzieć: jego twarz była jak kawał miękkiej ziemi, była tłustą skibą z oczyma jak dwa małe, ciemne kamyki. Każdą bruzdę pokrywał biały zarost, rzadkie igielki, i rzadkie włosy, bardziej popielate i tłuste niż białe, choć takimi się wydawały przez kontrast z ciemną czaszką. I spodnie. Brązowe, oszczane, przyklejone chyba do ciała, nie zdejmował ich, przysięgam, od lat. Tak wyglądały.

Siedział i pił, a ja milczałem. Obudził się pewnie o świcie i zachciało mu się pić, przyszedł więc do Coco, bo tu zawsze mógł na coś liczyć. Coco sprzedawał w galerii jego prace, a on w Katherine pił i malował. Wiele lat temu załapał się ze swoim talentem na hossę malarstwa aborygeńskiego, a tym samym

na nowoczesny styl życia. Malował i pił, a rzeka alkoholu pobruździła mu twarz w drobne koryta po wyschniętych strumykach. Tysiące dolarów, które płacono za jego obrazy, były dla niego jakąś abstrakcją. Liczył się fakt, że Coco płaci mu od ręki za każdy obraz kilka stówek i tak się kręcił ten biznes, i Paddy tak kręcił się po życiu w swojej niszy twórcy ludowego, którym zachłysnął się daleki Zachód.

125

Ponoć raz polecili we dwóch do Paryża na wystawę Paddy'ego, ale malarz zawiódł na całej linii, bo nic nie mówił, znudzony i zalekniony zarazem chował się przed ludźmi, a poproszony o wypowiedź, jakąkolwiek, nawet historię z dzieciństwa, powiedział łamaną angielszczyzną do Coco, który stojąc z boku, z nerwów pocierał podbródek: „Coco, gdzie tu jest kibel?”

A przecież mógł opowiedzieć tę historię o pierwszym spotkaniu z nami. Miał wtedy sześć, może siedem lat, mieszkał jeszcze z rodzicami w południowo-zachodniej części Ziemi Arnhema. Raz do wsi przyjechali ludzie. Byli biali. Mężczyźni wyszli im naprzeciw i Paddy ze zdziwieniem zobaczył, że jego ojciec trzęsie się, jakby miał gorączkę. Paddy chwycił go za rękę, ale ojciec nie przestał drżeć. On sam się nie bał. Interesowali go ci ludzie o jasnej cerze. Rozmawiali krótko, zostawili we wsi worek z białym jak oni proszkiem i wszyscy próbowali mąki, bo to była mąka, palcami brali szczypty do ust i uśmiechali się. On też próbował. Ten smak pozostał mu w pamięci na zawsze. Potem mężczyźni długo w nocy rozmawiali przy ogniu, głosy były nerwowe, nie tylko ojciec się bał tamtego dnia, starzy wiedzieli, co się zaczyna.

Paddy milczał i przeżuwał poranek w jego czystej formie, dodatkowo rozjaśniony alkoholem, który nadaje wszystkiemu oniryczny blask. Kiedy skończył wino, chciał piwa i dostał je, więc znów siedział w milczeniu i tylko raz na jakiś czas chodził do ustępu ustawionego na podwórku.

Potem Coco włączył muzykę. Płynęła z dwóch głośników na dachu garażu, w którym sprzedawał prace aborygeńskich artystów, głośników ukrytych w dwóch koszach na śmieci stojących do góry dnem. Kable zwisały z dachu i biegły po ścianie. Wagner. Coco od niego zaczynał dzień. Walkiria kojarzy mu

się z Europą, z jej dźwięków bije wielka świeżość. Mówił, że przepaja go ta świeżość, ta wola życia, że Wagner jest energią i brakiem jakiegokolwiek tajemnicy, ciałem żywym, pełnym witalności. „Taki dla mnie jest Wagner” - mówił i próżno było  
126

mu tłumaczyć, że Wagner na własnym podwórku to abstrakcja wyższego rzędu, tak szalona, że trudno ją w jakikolwiek sposób przyjąć ze spokojem, prawdziwa apokalipsa. Te kury, słońce, poranki wyrwane poza czas i Wagner. Tym razem jednak, na cześć Paddy'ego, szybko zmienił płytę. Po chwili z głośników popłynęła cisza, szumiąca cisza, coś jak wieczór w buszu, kiedy bez wiatru i słońca na wątych kształtach eukaliptusów rozkłada się półmrok. Coś wtedy szumi cicho - owady, które pogodzone ze śmiercią dnia tupią do swoich kryjówek. I jeszcze sekundnik cykad. One też wypłynęły z tych głośników, i jeszcze pojawił się szum taśmy magnetofonowej. Potem odezwał się splaszczony głos - dźwięczny głos dapsticks wykonanych z drzewa żelaznego, i głos mężczyzny. To musiało być nagranie terenowe, stare nagranie, kiedy do plemion przyjeżdżali etnologowie w koszulach khaki, ze swoimi bujnymi brodami i kaseciakami zawieszonymi na ramieniu, i milcząc, z wielkim szacunkiem słuchali pieśni, nagrywali je, nagrywali trzask płomieni w ognisku, nagrywali głosy w drugim tle i szum - szum traw i drzew, które uginają się pod ciężarem zmierzchu.

Songs from the Northern Territory. Legendarna kolekcja oryginalnych nagrań z lat sześćdziesiątych zarejestrowana na terenach Terytorium Północnego, kolekcja trudna do zdobycia, nieatrakcyjna w słuchaniu. Nie było tam didgeridoo, szalonego, pełnego wibracji i rytmu dostosowanego do ucha białych, był za to wydrążony kawałek drzewa, dapsticks, głos, wibrujący, gardłowy timbre, który w swojej nieatrakcyjności łączył się z ziemią, który współbrzmiał z nocą, z tajemnicą, pełen napięcia. Coś jak gasidło - długi kij, którym kościelny gasi świece na ołtarzu. Taki był ten głos. Prosty i potężny w działaniu.

Głosy objęły nas, instrument, dudniąc rytmicznie, skłonił się ku nam, głosy wchodziły do ogrodu, była cisza. Paddy słuchał. Zarośla poruszyły się i spod liści palm wyszły kury, i stanęły



na pograniczu słońca i cienia, a wtedy Paddy pochylił się w ich  
127

kierunku i zaczął guglać, trullać, i kury wyraźnie ożywione podeszły do jego wyciągniętej ręki. I siedziałem przebudzony na ławce, na drugiej siedział Paddy „worek pełen życia”, a wokół jego nóg chodziły kury, kilka kur. W cieniu ławki, tuż przy jego nogach, wiercąc się i machając skrzydłami, mościły sobie miejsce. A on, kołyszając się, najpierw mrucał, potem coraz głośniej podśpiewywał, jego głos zamierał na chwilę, by znów wrócić, i wtórował pieśni, która nas objęła, i już nie wiedziałem, czy pieśń wydobywa się z głośników, czy wprost z powietrza, czy jest realną częścią tej scenografii, czy tylko playbackiem dla Paddy'ego, dla mnie, który wstałem o szóstej i zaspany usiadłem przed zapitą częścią tej ziemi pełnej mrówek, opowieści, kurzu i cierpienia. I Paddy kołysał się, i śpiewał, znał tę pieśń, znał ją dobrze, więc stukał jeszcze rytmicznie palcem po stole, mrucał, a potem nagle zamilkł i patrzył gdzieś spojrzeniem ukrytym pod rondem kapelusza. A kiedy przyszedł Coco, Paddy coś do niego powiedział, widziałem, że ma mokre oczy, myślałem, że łzawią jak każdemu dziadkowi, ale Coco przetłumaczył: „Paddy pamięta tę pieśń z dzieciństwa. Dziś po raz pierwszy usłyszał klanową pieśń, którą śpiewali jego ojcowie. Miał wtedy siedem, osiem lat, ta pieśń już nigdy później do niego nie wróciła. Usłyszał ojców, którzy dawno umarli”.

Coś się zamknęło w tamtym poranku, pełnym kur, słońca i alkoholu. Paddy posiedział jeszcze trochę, mrucał coś do siebie, potem pijany podreptał w swoich zaplamionych spodniach do wyjścia na zalaną słońcem ulicę.

„Paddy umie rozmawiać z ptakami. Widziałeś? Rzadko to robi. Mało kto to umie. Dziś mnie zadziwił, bo sam zaczął do nich mówić” - tak powiedział Coco swoim ciepłym fidżyjskim angielskim. Jego wielkie, czekoladowe oczy robiły się jeszcze większe, jak zawsze, kiedy opowiadał o czymś, co go dotykało do żywego, co go poruszało. A potem znów powiedział to swoje sakramentalne: „It's very strange, very strange...”.

128

Poszedłem wziąć prysznic. W baraku z drzwiczkami wejściowymi jak do baru na Dzikim Zachodzie. Drzwi od kibla były

wciąż otwarte. Paddy oszczał klapę, wody nie spuścił, żółte kropelki były wszędzie.

Od początku wiadomo było, że nic z tego nie wyniknie albo wyniknie całkiem niewiele - wiele do myślenia, ale żadnych konkretnych pytań i odpowiedzi. Po prostu siedź i patrz, wtłaczaj się na siłę w tę przestrzeń dla ciebie zamkniętą. Czulem jego zapach, widziałem zaschniętą ślinę w kącikach ust, kołyszący się krok, szczenięcia, chrapliwe mruczenie, które było jego rodzimym narzeczem. Jakież szczegóły? Więcej ich w rozmowie z Coco, w katalogach wydanych na okoliczność publicznej prezentacji twórczości Paddy'ego w jakiejś przestronnej galerii Wschodniego Wybrzeża USA. Reszta to zmysły, milczenie, przecieranie oczu i treść między słowami. Jego i mnie łączył stolik, świt i muzyka, która grała z koszy na śmieci. Nic więcej. Jego życie zaczynało się tam, gdzie moje się kończyło, nasze światy stykały się ze sobą, nigdy się nie przenikając. Szklana szyba, zimna, gładka powierzchnia. Jego była pylista ziemia, półmartwa zieleń ciągnąca się po horyzont. Nie chciał rozmawiać z nikim obcym. Wolał siedzieć i patrzeć przed siebie. Coś tliło się w jego oczach, z jakiegoś powodu łzawiły, gdy słuchał pieśni, których dawno się nie wykonuje, może właśnie to, może poczucie, że mój kolor skóry jest winny temu wszystkiemu, może te światła na wzgórzach, miasta, które przypełzły tu taborami i rozbiły się, rozciągając moc swojej destrukcji daleko poza swoje rogatki, może to nas łączyło. Paddy widział te światła, Paddy mieszkał w mieście, malował i przeżuwał w ten sposób koniec pewnego świata, z pełną świadomością. Bez sprzeciwu, bez gniewu, pił, malował i przynosił obrazy do Coco. Coco sprzedawał te obrazy dalej, na drugą stronę zimnej szyby, która dzieliła nasze kultury. Był bramą, przejściem do tego innego świata.

129

Tyle o nim piszę, o Coco i pełnym kur bałaganie jego posesji, galerii za kratami i o listkach spadających jak płatki w dziecięcej procesji, bo nigdzie indziej w Australii nie spotkałem miejsca i ludzi do niego przypisanych, w którym duch cywilizacji tak bardzo współgrałby z milczeniem buszu. Było w tym człowieku coś z pogranicza, to jego handlowanie, umiejęt-

ność rozmawiania z każdym, jego wielkie zdziwienie światem. Jakby jego obejście wyłączone było z otoczenia, jakby nie przystawało ani do cywilizacji, ani do natury. Było jak zardzewiała beczka po ropie, jak miejsce po palenisku wymoszczone w łonie wysokich traw gdzieś na poboczu szosy, gdzie pewnego razu zwałem się w bezbronny sen po całym dniu autostopu, setki kilometrów od miast, kilkanaście metrów od gwiazd. On chyba czuł, że to miejsce takie jest, że jest czymś pomiędzy, że jest przejściem.

Murował bramę. Brama była z gigantycznych bloków granitowych wiązanych betonem, spojona łukiem, oklejona protezą drutu zbrojeniowego i platformami rusztowań. Ulubiony Wagner przeniknął chyłkiem do jego koncepcji, bo brama bardziej przypominała wjazd do gotyckiego zamczyska niż na podwórko galerii w Katherine, miście o niskiej, bezosobowej zabudowie, spadzistych dachach, klinkierowych ścianach, wypielegnowanych ogródkach, neonach. Brama ta była czymś pomiędzy skończonym projektem a od lat trwającą pracą. Była w tym duchu, w duchu przejścia.

Znów jest wczesny ranek i Aborygeni zatrzymują się przed bramą. Jak zwykle leniwym krokiem, niezdecydowani, wrzuceni siłą w okoliczności. Milczą, patrzą na pracujących w turbanach chroniących przed słońcem, turbanach zrobionych z zawiniętych koszul. Kamień obwiązany sznurami wciągany jest na rusztowanie. Coś trzeszczy. „Coco! - woła jeden z nich, kiedy kawałek skały ląduje wreszcie na szczycie rusztowania. - Kiedyś nie będzie Katherine, kiedyś to miasto nie będzie istniało. Wiatr naniesie czerwoną ziemię i znikną ulice; deszcze i susze rozwalą te domy. Kiedy to się stanie,

130

w środku buszu będzie stała twoja brama. Wielka kamienna brama".

On śmieje się, idzie w stronę garażu-galerii. Po chwili z głośników ustawionych na dachu dobiega muzyka. Znów Wagner. W rękawicach roboczych, z młotkiem w dłoni i w okularach ochronnych na oczach wraca do pracy. Pochyla się nad kolejnym kawałkiem skały, zastyga. I znów mówi, ponownie porażony jej przejrzystością: „Wiesz, ta muzyka za każdym razem, kiedy jej słucham, jest dla mnie pełna witalności. Bu-

dzi we mnie poczucie, że żyję, że w moich żyłach płynie krew. To jakby cały świat, żywy świat, śpiewał sam sobą do mojego serca. Ona jest very strange, very strange".

List do Uty

Opowiedział mi to człowiek, który całymi tygodniami przemierzał swoją wysłużoną toyotą hilux pustkowiec Terytorium Północnego i Australii Zachodniej. Podróżował w doborowym towarzystwie: w milczeniu, ze srebrnymi skrzyniami, w których drzemały czarne i ciężkie aparaty fotograficzne, w bagażniku i na tylnych siedzeniach były jeszcze teleskopy na okazałych statywach i wrzucone luzem książki o gwiazdach, leksykony roślin i drzew. Gitara, siekiera, osmalone garnki. Na dachu wiózł żółtą pirogę. Miał około czterdziestu lat, białe włosy, które nadawały mu wygląd szaleńca. Kiedy prowadził, palił skręty, o słońcu mówił „ona”, a najwyżej cenił sobie solowe brzmienia wiolonczeli u lipskiego kantora Bacha.

Otóż ten człowiek mówił, że kiedy przejeżdża przez pustynię Tanami, a zdarza mu się to kilka razy w roku, zwykle na noc rozbija obóz wprost na drodze. Nie trudzi się szukaniem na poboczu miejsca pozbawionego kamieni i nierówności. Po prostu, kiedy gaśnie dzień, zatrzymuje samochód na drodze. Wyłącza silnik i nagle budzi się cisza. Potem rozpala ognisko, osłania je od wiatru chybottliwym murkiem z kamieni i zasypia. A nadjeżdżające samochody? Jeden na tydzień. Zwykle roadtrains - ciągniki Macka z kilkoma piętrowymi przyczepami, na których wiozą bydło. Albo paliwo w obłych cysternach. Pędzą środkiem drogi, wyrzucając spod kół deszcz kamieni. Potem jest jeszcze podmuch powietrza i samochód znika gdzieś w oddali.

132

Opowiadał, że kiedy się śpi, leżąc na środku drogi, kiedy jest się pogrążonym w najgłębszej ciszy, nagle ziemia zaczyna mruścić. To mruczenie przypomina z początku śpiew pomiędzy półprzymkniętych warg. Brzmi jak jakaś tajemnicza modlitwa. Każdy jej wers przenika ciało i dociera do głębi snu. Modlitwa jest coraz bardziej intensywna i rzeczywista. Narasta, aż w końcu człowiek się budzi. Ziemia śpiewa, bo zbliża się wciąż jeszcze niewidoczny samochód. Jest tuż przed świtem, prawie zero stopni. Na wschodzie powoli rozciąga się

zapowiedź dnia. Czas chłodu, po którym przyjdzie cholerny upał. Trzeba dorzucić drewna do ognia. Stary czajnik osiada w popiele. Kubek gorącej herbaty. Potem ognisko trzeba zgasić. Pojawiają się dopiero wtedy. Gdzieś w oddali, blade. Plamki samochodowych reflektorów.

Nie wiem, jakie trasy pokonywał swoją toyotą. Tanami na mapie to nudny, zielonkawy placek z rzadka wyrysowanymi ściegami dróg. Jedna z nich - droga Tanami Road - biegnie od Alice Springs na północny zachód, do Yuendumu. I dalej, do Gordon Drowns. Gordon Drowns to ważny ośrodek. Jest tam lotnisko. Tak podaje mapa. Droga, która tam biegnie, tnie pustynię jak skalpel.

Mówił, że był niemal wszędzie. Wsie Balgo, Lajamanu. Poza tym kilka przypadkowo spotkanych tymczasowych osad z kartonów, szmat i kamieni, które za dwa tygodnie będą znajdowały się zupełnie gdzie indziej. Miejsca nierozpoznane, nieopisane na mapach, bo po co je opisywać, jeśli nic tam nie ma. Po prostu bezkres. Ale Tanami to tylko część przestrzeni. Na wschód od niej rozciąga się przecież Pustynia Simpsona, na zachodzie Wielka Piaszczysta, północ to Pustynia Centralna, południe - Wielka Wiktorii. Taki jest środek Australii: półpustynie, wyschnięte słone niecki, równiny z ubogą roślinnością. Po prostu Nicość.

Dla Aborygenów Nicość była jedynym światem. Kiedyś wyglądała ona zresztą inaczej, kontynent zmieniał się, wewnątrz coraz bardziej pustynniało. Zasiedlili tę ziemię i objęli w posiadanie pięćdziesiąt, a może i sześćdziesiąt tysięcy lat temu.

133

Krucze istoty przytłoczone potęgą natury wydeptały w jej trawach ścieżki, którymi mogły się poruszać bez uszczerbku na zdrowiu. Bezbrzeżne obszary suchego buszu i rozpalone słońce nie były zjawiskami, którymi można zawładnąć, dlatego w ich znaczeniu słowa „posiadać” nie mieścił się atrybut władzy. Posiadać znaczyło dla nich rozumieć, rozumieć znaczyło przeżyć. Jeśli pozna się sposób na przetrwanie, oznacza to, że żywioł został oswojony. Jak pies. Ten stał się dla nich bronią do zabijania i okryciem w zimne noce, kiedy po upalnym dniu temperatura spada do zera stopni. W jaskini, pod drzewem, za załomem skały, tam gdzie lodowaty wiatr nie

docierał, leżeli na ziemi otoczeni nocą, wtuleni w szorstką sierść zwierząt.

Posiadać znaczyło współistnieć. Uczyli się Nicości, a ona odsłaniała przed nimi swoje tajemnice. Trwało to długo. Wystarczająco długo, by drogę do Nicości, którą przywędrowali z Azji Południowej, zalały wody mórz. Subkontynent nazwany Sahuland przestał istnieć, zamiast niego na powierzchni wody pozostało mnóstwo wysp. Ludzie Nicości zostali odcięci od reszty świata.

Wiedza o Nicości wzrastała, aż Nicość stała się w pełni zrozumiała, a przynajmniej wytłumaczalna. W tych ludziach nie było jednak nerwowej potrzeby prześwietlenia rzeczywistości. Nie próbowali jej analizować, by obalić to, co nasuwa się na pierwszy rzut oka. Nie pragnęli zaglądać pod jej podszewkę, by wypatrzeć ukryte tam mechanizmy wszechrzeczy. Natomiast widząc góry i doliny pozostałe po gigantycznych rzekach, dopowiadali sobie, jak powstały, tworząc tym samym historię. „Jeżeli ta góra istnieje - tłumaczyli sobie, kreśląc patykiem na piasku kształt masywu rozciągającego się na horyzoncie - oznacza to, że i jej stwórca musiał kiedyś istnieć. Jeśli ta góra istnieje nadal, istnieje również i stwórca”.

Ludzie ci żyli rytmem, który sam im się narzucił. Niczego nie wybierali ani nie starali się decydować, jakie będzie ich życie. Chcąc przetrwać, musieli zgodzić się na warunki, które postawiła przed nimi natura. Przez cały rok wędrowali.

134

Podążali za wodą i zwierzętami. Ich wędrowka zataczała koło i wracali po roku w to samo miejsce, godząc się na to, by wraz z nadejściem pierwszych mrozów czy suchych miesięcy znów udać się w drogę.

Ścieżki, którymi się przemieszczali, zapisywali w pamięci. Nadawali im kształt pieśni i pieśń jak mapa podawana była dalej, z pokolenia na pokolenie. Dzięki temu, wędrując, nigdy się nie mylili. Pieśń miała jeszcze tę przewagę, że nic nie ważyła. Wysłuchana kilka razy przy ognisku, kiedy nad głowami rozpałał się teatr gwiazd, zapadała w pamięć i stawała się, jak mała gwiazda, częścią wielkiej konstelacji pieśni.

Były pieśni na każdy temat i na każdą okazję. Każde zwierzę miało swoją genezę zapisaną w pieśni i w pieśni była też każda

historia z dawnych dni, kiedy zwierzęta i ludzie posługiwali się jednym językiem. Były to niezliczone pieśni, które razem tworzyły coś na kształt śpiewanej wizji świata. A każdą pieśń można było schować w głowie. Czy to nie piękne? To o wiele bardziej poręczne niż papier. Z tego samego powodu ludzie z Nicości nie wytwarzali przedmiotów. Zbyt wielka liczba przedmiotów uniemożliwia sprawne poruszanie się. Poza tym człowiek przywiązuje się do przedmiotu, a przedmiot przywiązuje człowieka do miejsca. Dlatego wszystko co mieli, było bardzo poręczne i lekkie. Tak, by można było wędrować bez trudu ścieżkami Nicości. Zresztą, jaka byłaby to nicość, gdyby mogły w niej istnieć bezkarnie zwykłe, banalne rzeczy. Powołali do życia Czas Snu. A może to Czas Snu powołał do życia ich samych? Trudno jest białemu człowiekowi zrozumieć istotę tego czasu, mityczny prapoczątek, w którym wszystko się zaczęło. Wszystko, co ich otaczało, powstało właśnie wtedy. Góry, drzewa, rzeki, gatunki ptaków. W Czasie Snu istnieli stwórcy i pierwsi przodkowie. W Czasie Snu istniała także mityczna nierozłączność pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem. Pochodzą oni przecież z jednego i tylko gdzieś w dziejach doszło do dziwnego rozłączenia tego, co kiedyś było nierozłączne.

135

Ponieważ ich bogowie żyli pomiędzy nimi, religia, system wierzeń, którym opletli świat, była systemem żywym, choć nie spisany. Sacrum nie przejawiało się jako chłód wnętrza wybudowanego po to, by oddawać cześć, sacrum przepajało drzewa i łąki jako miejsce, w którym i przez które objawiają się bogowie. Święty czas nie był wyznaczoną datą, wypełniał niemal całe życie ludzi z Nicości. Wszystko, co robili, było więc święte. Wędrowki, polowania, zbieranie owoców. Czas śmierci i narodzin.

Mircea Eliade w Sacrum i profanum stwierdza: „Owo doświadczenie religijne powiadające, że przestrzeń nie jest homogeniczna, stanowi przeżycie pierwotne, które możemy postawić na równi z »ustanowieniem świata«. Nie chodzi przy tym o czysto teoretyczną spekulację, lecz o pierwszorzędne przeżycie religijne, poprzedzające wszelką refleksję o świecie. Dopiero owo zerwanie przestrzeni umożliwia stworzenie świata,

albowiem dopiero wtedy »punkt stały« tworzy oś środkową, od której wychodzi każda późniejsza próba orientacji. Ponieważ zaś świętość objawia się przez hierofanię, dochodzi nie tylko do zerwania w homogeniczności przestrzeni, lecz także do objawienia rzeczywistości absolutnej, przeciwstawiającej się nierzeczywistości nieskończonej przestrzeni. [...] Rozumiemy, jaką egzystencjalną wartość dla człowieka religijnego ma to odkrycie - to objawienie - przestrzeni świętej; albowiem nic nie może się zacząć, nic nie może się wydarzyć bez poprzedzającego aktu orientacji; wszelki akt orientacji zakłada jednak istnienie jakiegoś stałego punktu - to właśnie dlatego człowiek religijny ciągle stara się znaleźć »w centrum świata«.

Aby móc żyć w świecie, trzeba go ustanowić - żaden świat nie powstanie zaś w »chaosie« homogeniczności i względności przestrzeni świeckiej. Odkrycie lub wyprojektowanie punktu stałego, »centrum«, jest podobne do stworzenia świata".

Czas Snu nie przestał istnieć. I jednocześnie przestał. Bowiem dla ludzi z Nicości to, że istniał niegdyś, znaczy, że istnieje nadal. Historia jest dla nich istotą żywą i wciąż obecną. Fakt 136

z przeszłości oddziałuje na terażniejszość. Historia była dla nich tym, co dzieje się teraz, a to, co dzieje się teraz, powtarzają, ma swoje korzenie w przeszłości. Poznali w ten sposób umiejętność życia w „kiedyś". Dla nich bowiem czas był ciągłością, dla nas ciągłość czasu jest jedynie jego fizyczną formułą. Kiedy oni poznali tajemnicę wiecznego kroczenia w ciągle trwającym Śnie, ludzie żyjący poza Nicością nauczyli się kroczyć drogą, którą mają przed sobą. Bo dla ludzi spoza Nicości czas dzieli się na to, co było, jest teraz, a za chwilę nie będzie, i to, co dopiero nastąpi. Tak pojmowany czas ludzi spoza Nicości zmusza do pośpiechu, wiecznego przebywania w fikcyjnej drodze, która prowadzi ich z jednego punktu do drugiego. „Wy krocycie wciąż z punktu do punktu" - mówił mężczyzna do białego.

Poznałem tydzień temu w Katherine Paddy'ego Fordhama, malarza aborygeńskiego, jednego z tych wiecznie opitych aborygeńskich dziadków w poplamionych spodniach, którzy wyrzucają z siebie płótna sprzedawane po kilka tysięcy dolarów. Miałem okazję spędzić z nim ranek. Paddy stale zamy-



ślony albo skacowany, w każdym razie milczący i mrukliwy, na pytanie, co się stało ze społeczeństwem Aborygenów na przestrzeni ostatnich dziesięcioleci, powiedział tylko: „Kto wie, co będzie dalej... kto to może wiedzieć. Zobaczymy, co będzie dalej”. Było to dla mnie zdumiewające doświadczenie. Wszyscy obserwatorzy widzą tę kulturę w etapie schyłkowym, pogrążoną w letargu, a Aborygen potrafi powiedzieć „zobaczymy, co będzie dalej”, jakby to, co ma dopiero nastąpić, miało być lepsze od tego, co jest, a czas, który jest teraz, miał być czasem przejścia. Niezwykła jest ta ich siła patrzenia ponad albo w głąb. Dla nich wszystko płynie. Chociaż tak dalece oderwali się od swojej dawnej tożsamości i niezmiennego stylu życia łowców-zbieraczy, są świadomi tej zmiany kulturowej i, co więcej, uważają ją za etap w swoich dziejach, czas mroczny, po którym przyjdzie odrodzenie. Chciałbym bardzo napisać książkę o tych ludziach. Oni osiągnęli stan, w którym wyzbyli się potrzeb. Nie poszukiwali nowych rozwiązań, nie

137  
próbowali udoskonalać. Człowiek, który nie chce zmieniać swojej sytuacji, faktycznie pozbawiony jest potrzeb.

I jeszcze jeden wypisek: „Może i wyglądają na najnędzniejszy naród świata: w rzeczywistości jednak są daleko bardziej szczęśliwi niż my, Europejczycy: nie znając nie tylko zbytecznych, ale także i koniecznych wygod tak bardzo poszukiwanych w Europie, są szczęśliwi w niewiedzy, jak z nich korzystać. Żyją w spokojności, której nie zakłóca nierówność warunków: ziemia i morze z własnej woli dostarczają im wszystkiego, co niezbędne do życia; nie dbają o wspaniałe, bogato wyposażone domostwa; mieszkają w ciepłym i przyjemnym klimacie i cieszą się zdrowym powietrzem: nie potrzebują też ubrań i wydawali się tego zupełnie świadomi, gdyż wielu z nich, kiedy otrzymywało od nas ubrania, porzuciło je niedbale na plaży czy w lesie, jako rzecz całkowicie dla nich bezużyteczną. Krótko mówiąc, nie przydawali wartości niczemu, co im ofiarowaliśmy, ani też nie zamieniliby nic swojego na żaden zaoferowany im przez nas przedmiot. Moim zdaniem oznacza to, że w swojej opinii posiadają wszystko, co konieczne do życia, i że nie mają tego w nadmiarze”. Te słowa zapisał w swoim kajecie James Cook, tuż po pierwszym spotkaniu

z Aborygenami.

To wspólne

To była dziewczyna, która kiedyś wędrowała po Terytorium Północnym na tyle beztrosko, że pewnego dnia zatrzymała się w Katherine i postanowiła, że zostanie w tym śmiesznym mieście kilka dni dłużej. I pozostała w nim na cztery lata. Tyle powiedziała w pierwszej godzinie zmroku gdzieś przy stoliku w ogrodzie na tyłach domu wspólnych znajomych. Pozostała w Katherine, a żeby mieć z czego żyć, od dwóch lat pracowała jako opiekunka socjalna. Biuro, do którego chodziła każdego ranka, było miejscem, gdzie Aborygeni mogli przyjść po poradę prawną, poszukać pracy - taka furтка dla tych, którzy mimo wszystko chcą wyjść poza swoją kulturę. Wyjście poza obręb tej kultury, poza tradycję starszą niż biała społeczność, poza śpiew praojców, w którym zawarte było wszystko to, co stanowiło o ich świecie, prowadzi przez takie właśnie pokoje, niewielkie kanciapy z rzędami skoroszytów na półkach i monitorami komputerów. Ciasny pokój pomiędzy wielkimi światami. „To bardzo dziwni ludzie, można ich zgłębiać w nieskończoność”.

Tyle powiedziała w drugiej godzinie po zmroku, kiedy wszyscy gadali już głośniejsze i swobodniej.

Nienawidzi ich. Za dużo miała z nimi do czynienia, by móc z siebie wykrzesać resztki sympatii. Poczucie misji kiedyś dodawało jej skrzydeł, teraz po prostu nienawidzi tych ludzi. „Czy wiesz, że oni bardzo chcą pracy, a po tygodniu zatrudnienia nagle nie przychodzą przez kilka dni, a potem tłumaczą pracodawcy że nie mogli, bo musieli akurat odwiedzić znajomego? Nie wpoisz im żadnych reguł. Zdarza się, że opuszczają swoje stanowisko i nigdy więcej do pracy nie wracają. Więc po co im ta pomoc? Już wiem, że nie nawiążesz z nimi żadnego kontaktu, żadnej relacji. Rozpuszczeni przez zasiłki chcą tylko więcej i więcej, a rząd płaci”.

Tak pękła w tej trzeciej godzinie. Odsłoniła się. Potem upalona zielskiem mówiła tylko o narkotykach: „Kiedyś jeden z nich zaprowadził mnie do krzewu. Nie znam jego nazwy, można go znaleźć w buszu. Pokazał mi sztuczkę. Nacinasz nożem pień i wkładasz w dziurę słomkę. I pijesz to, co spłynie.

Przez chwilę czujesz, jakbyś umierał. Trudno to wytłumaczyć. Po prostu ogarnia cię stan, którego wcześniej nie znałeś, i intuicyjnie wiesz, że to jest właśnie śmierć. W sokach tego krzewu jest płyn o składzie podobnym do tego, który wydziela się w mózgu człowieka w chwili śmierci. Tak mówią. Nie jest to uczucie przykre, jest fascynujące. Bardzo mocne przeżycie. Wszystko trwa krótko. Kilkanaście sekund może. Pytałam ich - kiedy to robią, czują to samo co my, płyn tak samo na nich działa. Przynajmniej umieranie mamy wspólne".

### Polowanie

Land cruiser kołysze się na nierównościach. Kamienie chrzęszczą pod kołami, wąska ścieżka wiedzie przez morze żółtych traw, artretycznych eukaliptusów i połacie czerwonej ziemi. Niby las, a nie las, niby krzaki, a jednak drzewa. Tysiące kilometrów kwadratowych identycznego krajobrazu. Zgubić się tu, znaczy umrzeć. Oni jednak wiedzą, gdzie są. To ich ziemie i to ich zwierzęta wydeptały te ścieżki w buszu.

Myśliwi wypatrują w milczeniu krów. Okulary przeciwsłoneczne, czapki z daszkiem, ręka zwieszona za oknem. Wyglądają, jakby drzemali. Samochód zjeżdża stromym zboczem wprost w linię papilarną wyschniętej rzeki. Siedzący na ławkach z tyłu bez ostrzeżenia lecą do przodu, ktoś łapie upadającą strzelbę. Pojemniki na mięso ożyły i suną po przejściu, waląc głucho w ścianę. Teraz wóz wspina się powoli na przeciwległy brzeg. Kierowca, nie oglądając się do tyłu, częstuje tytoniem. Samochód podskakuje, tytoń trudno chwycić palcami, wyciągnąć z wymiętej folii. Potem znowu wyczekiwanie. Pół-słówka po angielsku, narada. Chwilowe ożywienie, bo jeden wysiada i sika. Na rozgałęzieniu ścieżek wóz skręca w prawo. Znowu żadnych zwierząt. Dym z tytoniu wypełnia kabinę. Przez chwilę gorzki zapach aborygeńskiego potu łączy się z aromatem tytoniu.

Szukanie krów jest czasochłonne. Nikt ich nie pilnuje, żyją swoim własnym życiem w buszu. Wiedzą, gdzie znajdują się

141  
billabong - okresowe jeziorka - i wokół nich toczy się ich życie. Nie odważą się iść tam, gdzie nie ma wody.

W końcu jeden z myśliwych pokazuje ręką kierunek. Małeńki łeb krowy. Jeden, drugi. Jest ich kilkanaście. Z kabiny

natychmiast pierzcha senność. Samochód przyspiesza i nagle zjeżdża ze ścieżki i zanurza się w trawy. Myśliwi zapominają o kurtuazyjnym angielskim, przechodzą na narzecze. Rzucają gardłowo jakieś hasła, gaszą papierosy, zdejmują ciemne okulary. Są nagle konkretni, techniczni. Jak na wojnie. Żadnych zbędnych ruchów, krótkie komendy. Land cruiser objeżdża stado szerokim łukiem, ale zaniepokojone krowy ruszają z miejsca. Wóz pędzi przez trawy, próbując doścignąć zwierzęta. Kierowca i siedzący z przodu krzyczą coś do siebie. Ten pierwszy z twarzą przy przedniej szybie próbuje wypatrzeć ukryte w ziemi rozpadliny. Ktoś wyciąga z pokrowca strzelbę. Kawalek wypolerowanego od tysięcy złożów drewna i naoliwionego czarnego metalu pojawia się i w samochodzie zapada na ułamek sekundy cisza. Broń pamięta chyba pierwszą wojnę światową, ale i tak robi wrażenie. Krowy znikają. Wokół znów tylko busz.

Mija dziesięć minut, piętnaście. Zwierzęta uciekły gnane strachem, zgubili je. Myśliwi wypatrują. I nagle w kołyszących się trawach pojawiają się ciężkie łby. Mężczyźni krzyczą, jakby liczyć się miały już tylko sekundy, kierowca wciska gaz do dechy i zaczyna się szaleńcza jazda. Wóz w wysokich trawach podskakuje, silnik ryczy, coś wali w podwozie. Pojawiają się drzewa. Slalom. Jedno drzewko uderzone wylatuje w powietrze, potem drugie. Chwilę później metrowy kopiec zamienia się w czerwony pył. Krowy po prawej. Jeden myśliwy próbuje złożyć się do strzału, ale nie może w pędzie nawet trafić lufą strzelby w otwarte okno. Jest jak w kreskówce albo starych komediach. Brakuje tylko slapstikowej muzyki, szalonych pasaży wygrywanych na pianinie. Podnieceni bliskością śmierci myśliwi kotłują się w samochodzie, krzyczą, raz po raz pchają strzelca w stronę okna, ale ustać przy nim nie jest łatwo. Ten z odbezpieczoną strzelbą znów leci do tyłu na towarzyszy, ci

142  
ponownie pchają go do okna. W końcu strzela. W kabinie trzask. Aż zatyka uszy i drapie w gardle. Po chwili znowu. Krowy jak zahipnotyzowane nagle zatrzymują się, myśliwy wybiega z samochodu, ale zwierzęta rzucają się do ucieczki. Znowu pościg. Znowu komedia. W końcu wóz zrównuje się ze stadem. Myśliwy składa się do strzału, ktoś krzyczy do kie-

rowcy, ten zwalnia, suchy trzask wystrzału. Biała jałówka zarzuca nogami i nawet z tej odległości widać płaty śliny, które rozciągają się z pyska w długie nitki. Ale biegnie. Stado rozdziela się i ranna krowa ucieka w niewielkiej grupce w wysokie trawy. Na polanie zatrzymuje się. Myśliwi otwierają drzwi, strzelec wyskakuje, opiera się o ramę okna. Mierzy. Chwila ciszy. Huk. Pudło. Co za wstyd. Wstyd wisi już w powietrzu, jest wśród nas, da się go namacalnie wyczuć, choć nikt nie mówi. Ciemne oczy zwierząt muszą chwytać naszą nieporadność, nasze zawstydzenie. Ledwie drgnęły. Krowy nie uciekają, nie patrzą w kierunku samochodu, jesteśmy kilkanaście metrów od nich, a one nieruchome, pogodzone z obławą, pogodzone ze śmiercią. Tylko jałówka słania się, przykłęka, piana z pyska ma teraz różowy kolor. Huk. Przestaje na ułamek sekundy działać prawo grawitacji, młodego byka stojącego obok rannej uderzenie podrywa z ziemi i obraca w powietrzu. Pada na bok i próbuje wstać, ale przednie nogi odmawiają posłuszeństwa. Reszta zwierząt nadal czeka. Ich spokój jest przerażający, wydaje się, że prawa natury ustępują nam miejsca, oddają pierwszeństwo, poddają się, godzą się na wszystko, co ma nastąpić za naszą sprawą. Co za wstyd. Ten ze strzelbą biegnie przez trawy, repetując broń. Podchodzi do jałówki. Strzelbę trzyma jedną dłonią, chce przyłożyć lufę do łba zwierzęcia i jednocześnie być od niego jak najdalej. Huk. Zwierzę pada. Repetuje i podbiega do byka. Ten dyszy i wciąż próbuje się podnieść. Chłopak znów wyciąga rękę i strzelbą niemal dotyka łba. Huk. Zwierzę cofnęło się, lecz nie padło. Mężczyźni wysiadają z samochodu i obserwują spektakl. Pałają i śmieją się. W oddali kolejne przeładowanie, tym razem lufa opiera się na łbie. Huk.

143

Kiedy wraca, ma w oczach dzikość. Odkłada strzelbę do auta i próbuje skręcić papierosa. Nie idzie mu. Tytoń się sypie i chłopak przeklina. Reszta klepie go po plecach. Wieczorem we wsi powiedzą, że jest dobrym myśliwym, ale dzisiaj mu nie szło. Tyle naboju, tyle krów. Miała być tylko jedna.

A potem zaczyna się monotonne i przemyślane dzielenie mięsa. Nóż, cięcie, trochę krwi. Skóra z szelestem odchodzi od drżących mięśni. Potem wycinanie płatów, staranne prze-

kładanie mniejszych części do pojemników. Jeden z myśliwych rozetnie nożem wór. W mieszaninie krwi i wody leży białawy płód. Wyjmie go i pokaże. „Złe polowanie, złe polowanie” - będą mówić. Potem większe kawałki ładują na podłódze samochodu wyłożonej gałęziami eukaliptusa. Na górę mięsa na koniec przyjdzie zapasowe koło i dwie skrzynie wypełnione rarytasami dla starszych klanu: uszy, język, jądra. Wejdą jeszcze oni, przeciskając się pomiędzy sufitem a stertą krwawych kawałków. Wóz ruszy z polany, na której zostanie trochę skóry, łby, węzły jelit i ruchome cienie orłów, które wypatrzyły stołówkę.

We wsi radość. Od dawna nieużywana chłodnia aż wibruje. W jej przestronnym pomieszczeniu stoły i półki z cynkowanej, klejącej się od brudu blachy powoli pokrywają się cieniutką warstwą szronu. Z godziny na godzinę wszystko bieleje, brud znika, a kawałki mięsa jarzą się swoją czerwienią. Chwilę po otwarciu chłodni ze wsi schodzą się ludzie. Powoli, bez pośpiechu, marsz gwiazdzisty. Z każdego domu ktoś wychodzi, idzie, niesłyszalny sygnał szybko się rozszedł. Potem zadowoleni wracają do siebie, zostają tylko psy, parchate dingo. Wieś znów pustoszeje. Teraz to widać: wieś to tak naprawdę wyrwa w buszu, wyjątek, który potwierdza regułę. Wielki wykarczowany plac czerwonej, pylistej ziemi, a na obrzeżach domy. Parę eukaliptusów i jeden pękaty baobab. W środku barak z chłodnią.

Kanister i ręka

Ścieżka wiję się leniwymi zakolami w głąb buszu. Cisza, bezwietrznie, wszystko przepojone jest słońcem. Jasność poraża. Cholerna biel, nie żółć, ale biel wylewa się z każdego załamania obrazu. Drzewa chude jakby wciśnięte w kleszcze bieli. Bronią się, wyciągając ramiona. Ramiona giną w jasności, pnie otoczone z obu stron bielą znikają. Bolą oczy. Nawet liście przestają być liśćmi. Korony eukaliptusów są zaledwie mariażem cieniutkich cieni i placków światła. W dole jasność przemienia się w trzeszczące pod stopami trawy. Jest gorąco i sucho. Nie padało od kilku miesięcy. Na wewnętrznych ściankach nosa najpierw gromadzi się cieniuteńka warstwa wilgoci i śluzu, który zastyga. Ta warstwa zaczyna nieznośnie dokuczać. Wkładam palec i delikatnie wyłuskuję zielon-

kawą błonkę. Wcale nie jest wilgotna. Łamliwy kawałek odrywa się od palca i opada w dół. Znika pomiędzy trawami. W nosie pieczenie. Znów wkładam palec. Czubek pokryty jest smużką krwi.

Sandały szurają w czerwonym pyłe. W Wardaman ziemia jest jak skała. Wyszuszone i splekane. Żadne otoczaki, raczej równe, kruszące się płytkowate łupki. Tu gdzie biegnie ścieżka, widać tę skałę najlepiej. Zaraz za ścieżką, tam gdzie zaczyna się busz, skała pokrywa się czymś trzeszczącym i łamliwym. Jak coś tu mogło wyrosnąć? Jak busz w postaci zwiewnych nasion mógł osiąść na takim twardym gruncie? Siła przyrody  
145

dorównuje jej milczeniu, zaś jej milczenie natężeniu jasności. Zanurz się w busz, zanurz się głęboko, idź i opukuj pnie eukaliptusów, słuchaj ich wnętrza, słuchaj tego, jak trzeszczy świat pod stopami. Słuchaj słońca. Busz się przed tobą otworzy, zobaczysz, busz się przed tobą otworzy. Wierzę temu, co do mnie mówią. Wierzę ich szerokim wargom, różowawym od środka, splekanym i czarnym na zewnątrz od tytoniu i kurzu. Wierzę ich dłoniom.

Pojemnik na wodę waży coraz mniej, bo od czasu do czasu piję. Piję jednak zbyt powoli, żeby poczuć wyraźną różnicę w wadze. Przystanę, odkręcę szeroką nakrętkę i napiję się. Woda wcale nie smakuje. Jeszcze nie. Za mało czasu minęło. Jest ciepła i śmierdzi nagrzanym plastikiem. Kiedy idę, z każdą chwilą jej chlupotanie coraz bardziej wytrąca mnie z czegoś, czego oczekuję. Z każdym krokiem woda przelewa się od jednej ścianki do drugiej i tym chlupnięciem wprawia moje ramię w ruch. Pięć litrów wody, najpierw niemal nieobecne, teraz wyraźnie obciąża mi łokieć. Zmieniam rękę. Minęło może pięć kilometrów. Większość moich myśli krąży wokół pozostawienia wody w jakimś bezpiecznym miejscu, na chwilę, choć na chwilę. Ale oderwać się od jej ciężaru, znaczy pozbawić wkrótce ciała sił. Więc idę dalej, niosąc kanister. Nawet się nie rozglądam. Nie ma sensu. Zieleń układa się w monochromatyczną mozaikę wypełnioną żarem. Zmrużone oczy wychwytyją zaledwie węza ścieżki. Teraz pnie się pod górę. Po prawej stronie teren zaczyna się wznosić. Od ścieżki odpada łagodnie lekkim nachyleniem, by po chwili wzbić się

niemal pionowo ponad korony drzew. Góra jest płaska jak stół. Ma może sto, sto pięćdziesiąt metrów wysokości. To raczej pagór niż góra, ale pagór płaski i o stromych ścianach. Schodzę ze ścieżki. Kiedy idę przez trawy, uważnie wybieram miejsca, w których postawię stopę. Wędrówka staje się coraz trudniejsza. Ściana wzgórza zaczyna się wznosić, z każdym krokiem teren za plecami opada coraz bardziej. Wokół jest płasko. Po horyzont ciągnie się niczym niezmacona równina. Z każdym krokiem kraj Wardaman coraz bardziej udowadnia

146  
swoją potęgę. Jest nie do zmierzenia. Nie dla człowieka idącego pieszo, ze zbiornikiem wody, nie dla białej skóry. Tło Wardaman - odległy horyzont - ginie rozmyte, jakby powietrze, gęste powietrze, osiadło na ziemi zbyt ciężko, jakby nagle się zmateriałizowało, nagle zaistniało. Horyzont w Wardaman ginie gdzieś w przestworzach, w przestrzeni, rozmazany, zatarty, ukryty przed szklistością oka. Więc co widać: ziemia w oddali miesza się z powietrzem i powietrze wraz z ziemią wymieszane są z jasnością. Żadne z nich nie ma nadanego mu miejsca, żadne nie przychodzi skądś i nie podąża gdzieś. Wszystko staje się nagle i w jednej przestrzeni jakimś pojedynczym, wyjątkowo mocnym nateżeniem swojego zwykłego istnienia. Żadnego wybuchu, eskalacji, atrakcji. Świat kłębi się, jak się kłębił i jak będzie kłębił się jeszcze przez wiele lat. Kiedy siadam na kamieniu w cieniu drzewa, ukryty przed światłem, oglądam swoje stopy. Czerwonawe od pyłu. Pod paskami sandałów Nike jarzy się bielusiańka skóra. Jeden z palców prawej nogi jest przebity na wylot trawą. Trawa wystaje tuż obok paznokcia. Pięć milimetrów zakrwawionej igły. Na spodniej stronie palca ta igła wychodzi i ginie w gumowej podeszwie sportowego obuwia.

Uran i wąż

Trzeba przejechać tysiące kilometrów, żeby sycić się tym widokiem, tym wrażeniem przypominającym wbicie zardzewiałej igły w jasną skórę natury. To co rozciąga się niemal po horyzont, nagle zapada się. Nie wystarcza prosta równina pokryta gęstym lasem i wysokimi trawami. Krajobraz dosłownie zapada się w głąb siebie i staje się wielkim, gigantycznym lejem. Szarym lejem z jeziorkiem na samym dnie.



Kopalnia uranu w sercu ziem należących do klanu Mirrar, dwieście pięćdziesiąt kilometrów na wschód od Darwin. Zamiast ludzi z Mirrar na miejscu spotykam tylko ją. Kobieta jest szeroko uśmiechnięta. Mogłaby być skautem albo pracować w opiece socjalnej. Nie pamiętam, jak była ubrana, miała z pewnością szorty i wysokie buty: trapery na traktorze. Do busa wsiada ostatnia i natychmiast zaczyna mówić, mówić bez przerwy, i kiedy wyłapuje imię któregoś z pasażerów, do końca podróży posługuje się nim z taką lekkością i swobodą, jakby знаła się z nim od przynajmniej paru miesięcy. Umie zjednywać sobie ludzi. Bus ma kilkanaście miejsc i wszystkie są zajęte przez rześkich, siwych jak gołąbki sześćdziesięciolatek: Jimów i Harrych oraz ich żony. Dominuje kolor granatowy i krem. Aparaty fotograficzne i butelki z wodą. Kiedy przewodniczka wsiada, drzwi zamykają się automatycznie, a kierowca włącza klimatyzację. To co znajduje się za oknem, natychmiast staje się zupełnie odległe. Jest dopiero jedenasta

148

rano, ziemia wydaje się z perspektywy ruchomej lodówki jeszcze bardziej sucha, spękana i pylista. Busz za pierwszymi drzewami robi się gęsty, ale tym razem nie ma możliwości podążania przez płataninę zieleni do tamtej głębi. Kobieta, odwracając się do pasażerów, rytmicznie wyrzuca informacje. Instruuje o konieczności używania kasków (są pod fotelami), okularów ochronnych oraz pomarańczowych kamizelek. Jednocześnie, zmieniając siłę głosu, podaje kierowcy komendy i instaluje przy swoim uchu małe aparaty. Jej głos odtąd będzie płynął z głośników. Eskapada jest pewnie tysięczną, którą prowadzi, i nie ma wątpliwości, że zna odpowiedź na każde pytanie. Nawet najtrudniejsze. Przez dwie godziny świat będzie takim, jakim ona będzie chciała go pokazać.

Trwało to może godzinę, może więcej, zapamiętałem tylko moment, w którym otwarła się ciężka furta kopalni Jabiluka. Procedury. Pieczętka, rozmowa ze strażnikiem. Gruba przewodniczka wychyla się przez okno i śmieje się z czegoś razem z mundurowym. Przez przednią szybę busa widać bloki połączone ze sobą pochyłymi tunelami bez okien. Rury biegnące wiązkami ponad ulicą. Małe, obrzydliwe, industrialne mia-

sto, kolorowe i zadbane, jakby chciało swoim wyglądem przypodobać się otaczającej je z każdej strony zieleni lasów. Biały bus kluczy pomiędzy budynkami i hałdami. Zatrzymuje się na chwilę przy parku maszynowym, gdzie jeden obok drugiego ustawione są gigantyczne, żółte cielska na kołach wielkości domków na przedmieściach. Z wnętrza pojazdu wysypują się żartujący przez całą drogę Jimowie i ich nieustannie gadające żony, stają przed tymi transporterami-potworami i robią sobie zdjęcia - kolonialni myśliwi, którzy pojмали i obezwładnili groźnego słonia. Potem jedziemy dalej. Znów brama, procedura, pieczęta. Dyskretne liczenie pasażerów. Bus rusza, zanurza się w zieleń. W końcu drzewa znikają i ukazuje się to. Zbocza połyskują zimno kawałkami skał, jest cisza, gdzieś na odległej półce wrytej w skałę posuwa się powoli żółty transporter. Teraz jest maleńki, jest kropeczką na tej martwej ścianie, prawie go nie widać. A jednak. Oko w morzu bezruchu

149

wynajduje ten punkcik. Od krawędzi tego gigantycznego leja aż do jego dna, gdzie rozłożyło się szarawe jezioro, biegną linie skalnych dróg. Transportery mijają się w ustalonym rytmie, jedne ciągną do góry w tumanach kurzu, inne powoli zanurzają się we wnętrzościach kopalni. Na dnie jest ciemno. Woda wydaje się martwa i czarna. Co oni tam robią i jak wydobywają ten uran? Nie widać nic. Ani ludzi, ani maszyn. Giną w tych dolnych odmętach, by wynurzyć się gdzieś na półce skalnej, w zupełnie innym miejscu, nagle i nieoczekiwanie. Odrodzeni. Jimowie i ich żony milczą, przewodniczka, jakby przyłapaną na gorącym uczynku, milknie nagle, pozwala się nasycić widokiem, znika w busie. Pstrykają aparaty fotograficzne. Za pustką unoszącą się ponad kopalnią, za jej lekką mgiełką falującego powietrza widać pokręcone formy łańcucha gór, szalone i nerwowe w zestawieniu z równym i martwym dołem na pierwszym planie.

Ludzie z Mirrar zamieszkiwali te tereny od zawsze. Chodzili sobie tylko znanymi ścieżkami, pielęgnowali swoje święte miejsca, żyli. Mówią, że spokój trwał czterdzieści tysięcy lat. Tyle czasu faktycznie zasługuje na miano „zawsze”. Pokazują z dumą malowidła naskalne, które w mrokach przeszłości tworzyli ich praojcowie. Ale te malowidła sięgają najdalej dwudziestu

tysięcy lat przed naszą erą i na tyle nauka szacuje obecność Mirrar na tych ziemiach. Dwadzieścia tysięcy okresów gudjewg. Dwadzieścia tysięcy razy, rok po roku, ziemię nawiedził czas deszczu i gwałtownych burz. Za każdym razem przeistaczał suchy busz w rozlewiska pełne krokodyli, wypełniał spękane rozpadliny po strumieniach spienionym nurtem. Ożywiał przyrodę, nadawał jej szaleństwo, pokazywał, że świat się odradza wciąż na nowo. Gudjewg był zabezpieczeniem, gwarantem niezmienności. Zawsze nadchodził i zawsze się kończył. Mirrar byli pewni, że nic w ich życiu się nie zmieni.

Rysunków, które pozostawili praojcowie klanów północy: Mirrar, Gagadju, Kunwinjku, są setki. Całe galerie. Z początku są prawie niewidoczne. Rysowane białą ochrą, czerwoną.

150

Wyglądają jak zacieki na fakturze skały. Rozmyte kształty postaci, zwierząt. Formy się przenikają, postacie są przejrzyste. Widać zarys szkieletu. Ale ten szkielet jest umowny, to raczej patyczki wypełniające formę ciała, naiwne wyobrażenie twórcy sprzed tysięcy lat, wzruszające wyobrażenie anatomii.

Otoczone największym kultem malowidło w Ubirr przedstawia Tęczowego Węża. To plama żółtej i czerwonej ochry, bazgroły, które łatwo pominąć w spiekocie dnia, w milczącej obecności nagrzanym skał. Nie ma w tym rysunku żadnej wirtuozerii artysty, nie widać starania. Jest tylko mocny akcent koloru i kształt: łuk wyrastający z umownej ziemi i wnikający w tę ziemię po przebyciu przestrzeni nieba. A więc tęcza. Jej kolejne kroki po niebie. Coraz dalej od ziemi, w przestrzeń, która zarezerwowana jest dla sacrum. Tęcza jako symbol przejścia pomiędzy tym co ludzkie a tym co święte. I pomyśleć, że ten znak wyjaśniający najgłębsze i najbardziej eteryczne pokłady człowieka wygląda jak namalowany mimochodem, niechcący, niemal przypadkiem, jak kształt ryby pisany kijem na mokrym piasku.

Tu, na zachodniej granicy Ziemi Arnhema, wąż jest kobietą. Nosi imię Kuringali. Kuringali została odwzorowana na skale właśnie w chwili swojej mitycznej wędrówki. Wślizgnęła się wówczas pomiędzy skały w Ubirr, pływała w żółtych i mętnych wodach wschodniego biegu rzeki Aligator, wygrzewała

się w słońcu trawiastych równin Ziemi Arnhema, której tereny zaczynają się po drugiej stronie rzeki. Kuringali to nie jedyne imię Tęczowego Węża. Jego postać pojawia się w wierzeniach różnych klanów, na terenie całej Australii. Pomimo że Wąż ma różne imiona i w zależności od części kontynentu różne były jego przygody w Czasie Snu, zawsze jest istotą z najwyższego panteonu. Istotą, która łączy w sobie to co duchowe z tym co ziemskie. Jest uosobieniem tęczy, a także Drogi Mlecznej. Jest nie tylko pomostem, ale i symbolem płodności i życia. Jest panem deszczu. Ponoć zwykle śpi pod taflą wody, w głębinach 151

jezior, w rozpadlinach skalnych wodospadów. Przebudzony, z ogromną siłą wypryskuje, rozbryzguje miliony kropeł, w których słońce odbija się, tworząc właśnie tęczę.

Wąż nie próżnował. W Czasie Snu wędrował po kontynencie, ruchami swojego ciała żłobiąc koryta rzek, strumienie, jeziora billabong. Dowody jego istnienia są wszędzie. Według ludzi z klanu Adnyamathanha z Australii Południowej, Wąż, którego nazywają Arkarooli spełził ze szczytów Gór Flindersa popychany pragnieniem. Kiedy dotarł do jeziora Frome, wypił je. Zaspokojony, ruszył w drogę powrotną, ale ludzie, którzy go widzieli, twierdzili, że wyglądał wówczas jak strumień, który wspinał się w kierunku szczytów. Gdy dotarł do swojej kryjówki, zakopał się pod ziemię i zasnął. Woda z jeziora Frome nie była dobra dla Węża, bo do dziś burczy mu w brzuchu, a burczenie to odczuwane jest jako niewielkie trzęsienia ziemi, które każdego roku kilkadziesiąt razy nawiedzają góry Flindersa.

W jednym miejscu Tęczowy Wąż złożył jaja. W centralnej części kontynentu, sto pięć kilometrów na południe od miasteczka Tennant Creek, można oglądać kuliste formy rozrzucone na płaskim terenie. Kamienie są gigantyczne, widać je z daleka, leżą rozrzucone jak orzechy na wielkiej stolnicy. Niektóre zgromadzone w skupiska, piramidki, jakby gigantyczne dłonie chciały ułożyć z nich kształt. Te kilkutonowe głazy stykają się ze sobą niekiedy tylko w jednym punkcie, tak jak stykają się ze sobą kule. Kto je ułożył? Skąd takie dziwactwo na równinie, której jedyną atrakcją jest przestrzeń?

Ludzie z klanu Anmatyerre na stacji benzynowej gdzieś po-

między Tennant Creek a Alice Springs. Siedzą pod drzewem, nieopodal stoi ich wyładowany jakimś pakami pikap Toyota Hilux. Jak zawsze: biała blacha z czerwonymi smugami błota na nadkolach. Jadą do Alice Springs. Mieszkają niedaleko stąd, kilkadziesiąt kilometrów w bok od Stuart Highway, starzec, nie wstając z murku, pokazuje krótkim gestem ręki gdzie, ale na przedłużeniu widać tylko równinę. Noce są już zimne, bo

152

to czerwiec. Wszyscy mężczyźni mają wytarte kurtki flanelowe w grubą kratę. Palą tytoń i milczą. Skąd ten pomysł natury? Skąd takie dziwactwo? „Kto wie skąd - mówią i patrzą na czubki butów. - Tęczowy Wąż złożył Karlwe Karlwe, owalne przedmioty”. „Jesteście pewni, że istniał?” Anmatyerre: „Kto inny mógłby je stworzyć?” Śmieje się chrapliwie. Odpowiedź jest krótka, charcząca, więcej w niej tytoniu niż życzliwości. Nie wiadomo nawet, czy żartuje. Jeden z nich wraca ze sklepu. Ma bibułki, skręca papierosa, staje nad pozostałymi trzema. Potem sterczą jeszcze koło samochodu na placu stacji benzynowej, czekają na coś, słońce świeci, ale już robi się chłodno, obserwuję ich sylwetki. Musimy jechać dalej. Niedawno padało. Kiedy bus kołysze się w koleinach wypełnionych brunatną wodą, oni wciąż, jakby nie mogli się wyrwać ze swoich stron, jakby odwlekali moment wyjazdu, na coś czekają. Z daleka ich postacie wyglądają jak kilka ciemnych punktów rzuconych na stolnicę placu.

Kiedy Tęczowy Wąż z Ubirr zmęczył się wędrówką, wrócił w swoje okolice i zakopał się w ziemi. Zasnął. Był utrudzony tworzeniem świata i pożeraniem ludzi, bo według wierzeń, zezłoszczony, nie gardził nawet ich mięsem. Od tamtego dnia śpi, choć nadal ma wpływ na wszystko, co się dzieje na jego terenach, a Mirrar i inne klany z zachodniego pogranicza Ziemi Arnhema wciąż mają w pamięci jego czyny. Wiedzą też, gdzie się ukrył. Wskazują kilka lokalizacji, bo istnieje parę sprzecznych ze sobą podań. Jedno z nich mówi, że Wąż zasnął w Jabiluka. Jabiluka to dzisiaj kopalnia uranu.

Tam się po prostu nie chodziło. Tam, według wierzeń, spała Kuringali. Była wściekły, kiedy jej się przeszkadzało. To była martwa ziemia. Miejsce bardzo niedobre dla człowieka. Mirrar wiedzieli, że w tamtejszym powietrzu unosi się zła energia.

Ludzie nie zapuszczali się tam, wierząc, że narażą się na gniew Kuringali. W roku 1969 grupa geologów, nie bacząc na ostrzeżenia starszyny klanowej, przeprowadziła badania na martwej 153

ziemi. Licznik Geigera, wskazujący poziom promieniowania radioaktywnego, nie pozostawiał wątpliwości. Pod ziemią znajdują się radioaktywne złoża. Uran.

Od tej chwili historia potoczyła się szybko. Na początku lat siedemdziesiątych rząd australijski rozpoczął negocjacje z klanem Mirrar będącym właścicielem ziem, na terenie których znajdują się złoża. Ludzi z Mirrar reprezentował Toby Gangale, noszący tytuł tradycyjnego właściciela ziem. Przystępował do negocjacji z jedną myślą: ziemie Mirrar, święte miejsca kultywowane od tysiącleci muszą pozostać nienaruszone. Jeśli oddana zostanie ziemia, oddane zostaną korzenie: wierzenia i tradycja ściśle związana z terytorium klanowym. Nacisk, z jakim się spotkał w negocjacjach, złamał go. Nie spodziewał się siły, z którą przyjdzie mu się zmierzyć. Kiedy prowadzono rozmowy, był już alkoholikiem. Naprzeciw niego stanęli zawodowi negocjatorzy. Przebieg negocjacji wpędził go w depresję. W końcu się poddał.

Potem pojawiły się maszyny, te żółte, na wielkich jak domy kołach. W roku 1982 wydobywanie uranu trwało już na dobre. Oni patrzyli w głąb powstającej rozpadliny, tam gdzie ziemia ustąpiła miejsca pustce. Z każdym miesiącem z większym niepokojem obserwowali zapadające się pod ugryzieniami koparek dno kopalni. A jeżeli Węza tam nie ma? Jeżeli nie jest prawdą to, co powtarzaliśmy sobie przez tysiąclecia? Jeżeli jego wędrówka jest mitem? W co wierzyliśmy? Kim w takim razie jesteśmy?

Kopalnia Jabiluka ruszyła. Toby Gangale złamany, z poczuciem, iż nie uchronił klanowych ziem przed zniszczeniem, zmarł. Dziś Mirrar wspominają Gangale. Twierdzą, że umarł z troski. Miejsce tradycyjnego właściciela ziem klanu Mirrar zajęła jego najstarsza córka, Yvonne Margarula. Kopalnia działa. Nie ma najlepszej prasy - ekolodzy, Aborygeni, wszyscy protestują przeciw barbarzyńskiej eksploatacji jednego z piękniejszych rejonów świata, w którym stara kultura splata się z katedralną przyrodą. Władze kopalni wychodzą

naprzeciw: milczeć nie można, trzeba zapraszać zainteresowanych, by pokazać im, że wydobywanie uranu to piękne i godne pochwały zajęcie. Pstrykają więc aparaty fotograficzne. Po chwili Jimowie i ich żony chcą jednak jechać dalej. Tu nic nie ma do oglądania. Kopalnia odkrywkowa, tylko wielka kopalnia odkrywkowa.

Yvonne Margarula podjęła walkę. Przyjęła twarde stanowisko. Jej głos: „Mirrar chcą, żeby kopalnia została zamknięta. Jej obecność uniemożliwia podtrzymywanie silnej więzi z ziemią. Mój ojciec, Toby Gangale, podpisując porozumienie, nie miał pojęcia o swoich prawach, ugiął się pod presją, były to lata siedemdziesiąte, Aborygeni dopiero uczyli się walki o swoje, nie znali bezwzględnych mechanizmów negocjacji białych. I jeszcze jedno: Jabiluka jest świętym miejscem. Naruszenie spokoju tych ziem może doprowadzić do gniewu. Gniew prowadzi do fatalnych konsekwencji. Nawet jeżeli Tęczowego Węża tam nie ma, kopalnia musi zostać zamknięta”.

Pojawiły się również inne głosy. Głosy zwolenników wydobywania: „Aborygeni nadużywają faktu istnienia miejsc świętych. Miejsca nazywane dotychczas świętymi dziś noszą miano świętych i niebezpiecznych, co podnosi ich powagę. Wykorzystują fakt istnienia swoich tradycyjnych miejsc kultu dla osiągnięcia korzyści finansowych. Miejsca te nie są nawet dokładnie określone, pozostają ukryte, w tajemnicy, w trakcie negocjacji nigdy nie wiadomo, czy teren, nad którym toczy się dyskusja, wkrótce nie zostanie uznany za tradycyjne miejsce kultu”. Nikt nie podaje w wątpliwość faktu, że za dzierżawę właścicielom ziem, w tym wypadku klanom, wypłacane są gigantyczne kwoty odszkodowania, nikt również nie zaprzecza, że pomimo pieniędzy sytuacja w regionie nie poprawiła się od lat osiemdziesiątych: „Nie możemy zabronić Aborygenom wydawania pieniędzy pochodzących z dzierżawy na alkohol i zachodnie jedzenie”.

Yvonne Margaruli udało się jednak dopiąć swego. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych xx wieku minister środowiska Robert Hill oferuje układ: Jabiluka będzie działać, w zamian

rząd za kwotę niemal dwóch milionów dolarów poprawi

sytuację w regionie. Mieszkania, bieżąca woda, edukacja, redukcja bezrobocia. Będą dodatkowe pieniądze. Będą nowe korzyści. Ale w martwym leju Jabiluka nie ma Tęczowego Węża.

Po wizycie w kopalni bus wraca na lotnisko. Znowu szosa wiedzie przez gęsty las. Pobocze to ściana z roślin. Gigantyczne tereny kopalni giną w oceanie zieleni. Powrót z niej jest jak powrót do żywego świata. Na trawiastą nawierzchnię pasa startowego właśnie siada awionetka. Wysypujemy się z busa, wchodzimy do holu lotniska. Bardziej niż lotnisko hol przypomina przestronny klub albo dom kultury z wydzieloną częścią kinową. Tam, w jednym z kilku rzędów krzeseł siedzi jedna para. Starsi ludzie. Ona wachluje się folderem z rozkładem lotów, on obraca butelkę wody w dłoniach. W ostatnim rzędzie przysypia starszawy gość. Ręce ma założone na piersi, słomkowy kapelusz rzuca cień na jego twarz. Co chwila głowa opada mu na bok, ciągnąc za sobą całe ciało. Otrząsa się ze snu, przyjmuje pion, ale zaraz znów zasypia i głowa mu opada. Nawet wewnątrz budynku jest gorąco. Śmigła zawieszona pod sufitem wirują, w kącie brzęczy dystrybutor wody. Gruba przewodniczka liczy kaski i okulary ochronne. Na moment powstaje zamieszanie, bo do holu wchodzi kilkoro pasażerów awionetki. Woda w plastikowym i miękkim kubku jest słodkawa i lodowata. Na ekranie w zaciemnionej sali kinowej leniwie przewijają się jałowe i piękne jednocześnie obrazy dzikiej przyrody. Film jest zachętą. „Zobacz jeden z najbardziej malowniczych regionów świata: Park Narodowy Kakadu, mariaż kultury Aborygenów i przyrody”. Pojawiają się obrazy - zachód słońca w lesie deszczowym, krokodyle przewalające się z uśmiechem w błocie rzeki, aligator. Grupa dzieci aborygeńskich zanurzona po kolana w trawach gdzieś się skrada. W tle słychać niskie buczenie didgeridoo. Wtórkuje mu śpiew Aborygenów. Jest mistycznie i naprawdę dziko. Jest autentycznie wspaniale.

### Iluminacja

A gdyby nagle, w jednej chwili, wszystkim ludziom na ziemi Bóg się objawił. Nie żeby zstępował z jakiejś barokowej chmury w oparach malarskiego absurdu. Zrobiłby to z gracją, bezpiecznie i nowocześnie. Wykorzystując swoją niepod-



ważną wielkość, zesłałby na każdego człowieka jedną iskrę, która przeskakując gdzieś w mózgu, sprawiłaby, iż usłyszeliśmy w sobie Jego głos, poczuli przez chwilę sygnał niebieski, co do którego nikt nie miałby wątpliwości, że posłał go właśnie On. Jeden przekaz, maleńki, bezdyskusyjny, a wszystko byłoby jaśniejsze. Sekundowe oświecenie, które tłumaczy wszystko. Mógłby podesłać obraz trwający moment: wskazać nagrodę lub zagrozić, zsyłając piekielne wizje. Byłoby bezsporne, że to wielki Nieobecny - Bóg - przemówił wreszcie, w końcu dał dowód na Swoje istnienie. Wszystkie spekulacje o nagrodzie i karze stałyby się nagle wymierne. Ludzie na ulicy patrzyliby po sobie z niedowierzaniem, obcy upewnialiby się nawzajem, że też to słyszeli, ten głęboki wewnętrzny głos. Mówiliby: „On jednak jest”. Powiedzialiby: „Ja istnieję”, i nie trzeba by już stosować zakładu pascalskiego, mętnych domniemań, teologowie zamknęliby księgi swoich poprzedników i poszliby na zasłużony wypoczynek, zatwardziali ateści na łożu śmierci przestaliby teatralnie wymachiwać pięścią w kierunku szpitalnego sufitu. Fizycy powiedzieliby zbiorowo: „To było do przewidzenia”.

157

Wszystko by się zmieniło. Powszechne stałoby się twierdzenie, że dobra doczesne są li tylko doczesne. W oczekiwaniu na nagrodę ludzie traktowaliby życie jak poczekalnię przed większą i piękniejszą salą. Społeczeństwa przeistoczone w rzesze joginów, mnichów kontemplujących upływ czasu zatrzymałyby się w rozwoju. Świat stanąłby w miejscu, nie byłoby chętnych do wykonywania wszystkich tych prac, które nie służą bezpośrednio przeżyciu. Egzystencja sprowadzona do minimum opierałaby się na trosce o jedzenie, okrycie, podstawowe potrzeby. Więcej zgłoszeń byłoby na etat stróża budowy aniżeli menadżera, więcej chciałoby stać przy kasie i sprzedawać hamburgery, niż zarządzać całą siecią restauracji. Gospodarka by się załamała, ludzie wyzbyci potrzeb przestaliby napędzać koniunkturę, nie byłoby potrzeby, nie byłoby więc i wynalazku.

Dziś chyba jest już na to za późno. Bóg nie objawi się nam, bo wie, że byłby to koniec naszego świata. Jego nagły głos byłby równie tragiczny w skutkach jak głos, który upewniłby

ludzi o Jego nieobecności; to słynne „Boga nie ma”, bo jeśli Go nie ma, wolno wszystko. Gdyby się objawił, wszystko co w swoim doczesnym szale wymyśliliśmy gnani potrzebami, cała nasza trójwymiarowa cywilizacja, zasłaniająca pustkę w miejscu, gdzie powinna być głębia, zatrzymałaby się, a potem dzień po dniu legła w gruzach.

Ale gdyby jednak? Żylibyśmy przepojeni Jego istnieniem, świadomi swojej nieporadnej cielesności i ducha, który unosi się nad wszystkim. Stalibyśmy w miejscu, chłonąc Jego doskonale dzieło, beztroscy i pogodzeni z doczesnością, łakomi pewnej wieczności, przeniknięci wymierną obecnością sacrum, spokojni i pewni swojej duchowej drogi. Tak trwalibyśmy tysiąclecia, w ograniczeniu swoich potrzeb materialnych, w prostocie, szczęśliwi. Coś takiego prawdopodobnie przydarzyło się wieki temu właśnie Aborygenom. Tylko tak mogę ich wytłumaczyć.

Kobieta, która zostawiła psa

Znowu południowy kraniec Alice Springs. Tam gdzie rozpekła się góra i w ciasną szparę pomiędzy jej grzbietami wpada autostrada wylotowa z miasta i tory kolei transkontynentalnej. I jest jeszcze rzeka Todd o bezpłodnym łonie: ta rzeka jest wyschnięta, a mimo to na jej dnie urządza się regaty.

Gdy patrzy się ze wzgórza, kolej przypomina metalową, błyszczącą smugę. Wychodzi spomiędzy gór, z kamienistego pejzażu okalającego miasto i pod nogami wślacza się pomiędzy domy Alice, wślizguje się pomiędzy nie cicho, niespiesznie, swoim płynnym srebrem. Na dworcu tchnie prowincją i prestiżem. Jeden peron, za to bardzo długi, ginący gdzieś w otwartej przestrzeni. Skromne budynki dworcowe, spadziste dachy, żadnych pasażerów. Tablica przyjazdów i odjazdów w holu dworca jest maleńka - dwa pociągi tygodniowo. Dookoła hale, płoty z siatki, na środku wielkiego placu leżą złożone w kupę drewniane palety. W oddali facet w kasku manewruje podnośnikiem widłowym. Skład stoi, mężczyzna w kolejowym uniformie starannie przysuwa trzy metalowe schodki z poręczą jak najbliżej drzwi wagonu. Pasażerów nie widać.

| •  
.  
.  
>  
|>  
\  
[,

Cielsko pociągu budzi niepokój. Trudno jest ustać na szerokich torach tuż przed transkontynentalną lokomotywą. Pionowa czerwień jak ściana. Znak w okręgu, na długonogim wielbłądzie siedzi nomada w turbanie. Afgańczyk.

159

Przybyli do Australii na początku XIX wieku. Od początku wzbudzali niechęć i zaciekawienie. W tych swoich jasnych strojach salwar kamiz, ogorzali, brodaci, wyglądali jak bezsenni wędrowcy i byli nimi. Zdziwienie budziły też ich zwierzęta - wielbłądy, na których pokonywali bezdroża centrum kontynentu. Nikt nie był w tym lepszy. Umieli znaleźć wodę na pustyni, więc byli żywym narzędziem podboju. Podejmowali się wytyczania nowych szlaków i transportowania towarów. Pomagali przy budowie linii telegrafu, kładzeniu torów kolei, uczestniczyli jako przewodnicy we wszystkich ważniejszych ekspedycjach. Dostarczali zaopatrzenie do kopalń i osad wewnątrz kontynentu. W Australii Południowej pojawili się w 1838 roku. Pierwszy wielbłąd sprowadzony został dwa lata później. Nie wiem, jak miał na imię. Przyplłynął z Wysp Kanaryjskich jako jedyny, który przetrwał kilkumiesięczną podróż morską. Nie pożył długo. Jakiś czas potem zabił Johna Horrocka - człowieka, który go sprowadził - i sam poszedł pod nóż. Ale biali widzieli potencjał w Afgańczykach i ich zwierzętach. W roku 1866 wyruszono nawet po wielbłądy do Karaczi. Owocem wyprawy stała się ponad setka zwierząt i trzydziestu jeźdźców.

W jakimkolwiek mieście osiadali, wybierali sobie dzielnicę, w której czuli się najlepiej. Tam ogniskowała się ich kultura: wyrastały meczety, sklepiki tworzyły pasażę przypominające uliczki Kandaharu i Quetty. Szybko stało się to zwyczajem - miasta na pustynnym outbacku dzieliły się na trzy części: jedna przeznaczona była dla białych, druga dla Aborygenów, trzecia dla Afgańczyków. Tę ostatnią potocznie nazywano Afghan albo Ghan Town.

Afgańczycy łatwo nawiązali kontakt z Aborygenami. Jako że do Australii przyjechali głównie samotni mężczyźni, powszechnymi stały się ich małżeństwa z Aborygenkami. Dzielnice białych szybko oddzieliły się od obu grup niewidoczną, szczelną barierą. I nawet śmierć ich nie połączyła: w mia-

steczkach cmentarze podzielone były na trzy równe części. Do dziś oglądać można niektóre z nich: między innymi 160

w Farina i Marree. To drugie miasteczko ze względu na dużą populację Afgańczyków prędko zyskało miano Małej Azji. To właśnie z tej osady rzuconej w pustkowia outbacku ruszały karawany we wszystkich kierunkach: także na samą północ i do kopalni złota w Australii Zachodniej. Regularnie transportowali towary z Adelajdy do Palmerston. Kiedy powstała kolej łącząca dwa brzegi kontynentu, północny i południowy, nazwano ją właśnie, na cześć tych dziwnych ludzi na wielbłądach, „Ghan”.

Tak, gdziekolwiek się pojawiali, tworzyli swoje dzielnice. I jeszcze jedno: wszędzie tam, gdzie się zatrzymywali na nocny postój, wsadzali w ziemię nasiona palmy.

Palmy są dziś potężne. Tworzą gaje porzucone gdzieś pośród buszu i kamieni. Oryginalne przerywniki w jednostajnym krajobrazie. Afgańczycy wciąż w tym kontynencie upatrują swojej życiowej szansy. Dla nich, zresztą nie tylko dla nich, Australia jest arkadią - symbolem demokracji i równości, miejscem, w którym można się skryć w ucieczce przed koszmarem własnego domu. Godzą się więc na wszystko. Płacą horrendalne sumy, umierają w upale pod pokładami statków albo z pragnienia gdzieś w opuszczonych magazynach, trzymani w zamknięciu tygodniami, widząc co kilka dni twarz jednego z „tych ludzi”, którzy obojętnym głosem za każdym razem odpowiadają: „Jeszcze parę dni i ruszycie w dalszą drogę. Trzeba załatwić formalności, trzeba jeszcze załatwić formalności”. Potem grupami przechodzą z baraków na przedmieściach, w których zamknęli ich przemytnicy, do autobusów eskortowanych przez skorumpowaną policję, wiele tygodni czekają na łódź w jakimś małym porcie, a widząc rozpadającą się łajbę, modlą się razem, każdy do swojego Boga, żeby ta podróż ich oszczędziła. I nawet jeśli wędrują całymi rodzinami, to i tak wsiadają na chybotliwy pokład, wsiadają bez słowa sprzeciwu, kładąc swój los w ręce kilkuosobowej załogi, która w niebezpieczeństwie i tak pierwsza opuści łódź. Taka podróż z Pakistanu czy Afganistanu do Australii kosztuje pięć tysięcy

161

dolarów amerykańskich. Albo życie, jeśli ma się pecha. Wyprzedają domy, ziemię, zwierzęta i płacą za ten niepewny, ale warty gry zakład. I nigdy nie dostają żadnych pokwitowań. Najlepiej ruszyć z Indonezji. Trzeba płynąć na południe. Dotrzeć do Wyspy Bożego Narodzenia. Ten skrawek ziemi, parędziesiąt kilometrów kwadratowych, należy do Australii. Ruszają w tę kilkusetkilometrową morską podróż wysłużonymi łodziami albo na zbitych z drewna i beczek po ropy tratwach. Bez nawigacji, z nadzieją, nie zważając na niebezpieczeństwo dryfowania i śmierć gdzieś na otwartym i kołyszącym oceanie. Trafić na oceanie na wyspę to sztuka. Tak jak iść z odległego miasta do miasta na azymut. Ale na wyspie są obozy dla uchodźców, są lekarze, wyspa jest czystym. Jedna z takich łodzi na burcie miała wymalowany napis „Palapa”. Drewniana, dwudziestometrowa konstrukcja indonezyjska służyła kiedyś rybakom. W Pantau, małym porcie na południowo-zachodnim wybrzeżu Jawy, załadowano na nią 438 osób (369 mężczyzn, 26 kobiet, 43 dzieci). Przybyły tu z Afganistanu wydeptanymi przez przemytników ścieżkami. Tylko przemytnicy umieli bez śladu transportować większe grupy ludzi przez kraje tranzytowe tuż pod okiem władz lokalnych. W Indonezji mają w garści policję - to ona pomagała, zdaniem uchodźców z „Palapy”, w ich transporcie. 23 sierpnia 2001 roku w Pantau, wchodząc na „Palapę”, każdy z uchodźców dostał na drogę suchy prowiant i butelkę wody. Stłoczono ich pod pokładem. Wielu z tego biednego i wyczerpanego tłumu podróż na Wyspę Bożego Narodzenia podejmowało po raz drugi. Miesiąc wcześniej, po trzydziestu sześciu godzinach chaotycznego poszukiwania wyspy, musieli zawrócić na północ. Kapitan miał kompas, nie widział na jedno oko, ocean był wzburzony. Teraz nastał czas drugiej szansy. Chwilę po odpaleniu zabytkowego silnika ładownia wypełniła się spalinami. Rzygali. Tak płynęli do przodu. Potem silnik zgasł i zrobiło się cicho. Najpierw próbowano

162

naprawić usterkę. Kilkuosobowa załoga nie poradziła sobie jednak z problemem. Z tłumu uchodźców podniosło się paru mechaników, ale i oni nie potrafili zaradzić awarii. Były kłótnie, ostatnie próby pocieszania się, a potem ludzie wpadli

w zwykłą panikę. Kapitan płakał. Dowodził dryfującą łodzią bez radia, wypełnioną po brzegi nielegalnymi imigrantami. Kiedy na horyzoncie pokazała się nadzieja - ruchomy punkt - próbowano dać sygnał, machając z dachu łodzi. Ale punkt nie odpowiedział. Potem jeszcze kilkakrotnie przepływające w oddali statki ignorowały ich nawoływania. Każdy kapitan wiedział, że w tym rejonie Oceanu Indyjskiego mała jednostka oznacza przemytników i uchodźców. A to wstęp do problemów. Taką łódź trzeba omijać, należy ją zignorować, zapomnieć o niej jak najszybciej, może faktycznie ktoś potrzebuje pomocy, ale ważniejsze jest bezpieczeństwo własnych ludzi i obrany kurs.

Potem próbowali wiosłować, ale wiosłując, oceanu się nie przepłynie. W końcu nadleciał samolot. Krzyczeli, machali rękoma, prosząc o pomoc. Śmiali się szczęśliwi, w euforii, bo samolot oznaczał ratunek. Ten zataczał koła, zniżał się, a w końcu odleciał.

Pilot jednostki patrolującej wody terytorialne Australii złożył raport. Informował w nim, że widział łódź, na pokładzie której znajdowało się około osiemdziesięciorga ludzi, najprawdopodobniej uchodźców, próbujących nawiązać z nim kontakt - wymachujących rękami, powiewających jakimiś skrawkami materiału. Do raportu dołączył wykonane zdjęcia. Było sobotnie popołudnie. Raport trafił do Canberry i ugrzązł w biurokratycznej maszynie.

Samolot patrolowy powrócił jednak nad „Palapę” cztery godziny później. Pilot tym razem dłużej filmował. Nadał kolejny raport: widział ponad dwieście osób na pokładzie. Próbował skontaktować się z załogą, wywołując jej członków przez radio, ale nikt nie odpowiadał. W związku z tym nie podjęto akcji ratunkowej. Był to urzędowy unik: wiedząc o tym, jaki

163

ładunek jednostka wiezie w stronę Australii, uznano, że nie wysłała ona sygnału ratunkowego „Mayday”, a tym samym akcja ratunkowa nie jest konieczna. „Palapa” radia nie miała. Urzędy imigracyjne Australii od dłuższego czasu borykały się z rzeszami uchodźców koczujących na Wyspie Bożego Narodzenia. Canberra zdawała sobie sprawę, że jeśliby „Palapa” dopłynęła do jej brzegów, trzeba by się zająć uchodźcami

zgodnie z prawem międzynarodowym: przetransportować ich na kontynent, nakarmić, udzielić pomocy medycznej. Ledwie dwa dni wcześniej dobiła do feralnej wyspy grupa blisko czterystu osób, tuż po niej kolejna. W pewnym momencie liczba uchodźców czekających na pomoc na tym maleńkim skrawku ziemi dochodziła do tysiąca. Wszystkie obozy na kontynencie były przepełnione: znajdowało się tam około trzech tysięcy sześciuset osób. Nie chciano kolejnej gigantycznej grupy emigrantów.

Zdecydowano się natomiast poinformować służby ratunkowe Indonezji. Łódź znajdowała się na wodach, które zgodnie z umową między Australią a Indonezją podlegały służbom ratunkowym tej drugiej, zatem to Indonezja powinna zająć się problemem. Faks wysłany do Dżakarty pozostał jednak bez odpowiedzi.

Na „Palapie” uchodźcy zaczęli tracić nadzieję na pomoc. Chociaż samolot ich dostrzegł, nic się nie wydarzyło. Żadnej pomocy, nadpływającego statku ratunkowego. Martwy silnik sprawił, że pompy korzystały jedynie z energii z wyczerpujących się akumulatorów. Co jakiś czas trzeba było je wyłączać, by ostygły. Po przerwie przez kilkadziesiąt minut nie można było ich uruchomić. Powoli tonęli.

O północy z soboty na niedzielę „Palapa” znalazła się w centrum sztormu. Trudno sobie wyobrazić, co działo się na jej pokładzie. Ludzie próbowali przywiązywać się do siebie za pomocą podartych kawałków odzieży. Na dolnym pokładzie mężczyźni starali się utworzyć mur z własnych ciał, by przeciwdziałać wdzieraniu się wody na pokład. Trzeszcząca

164  
od uderzeń fal łódź powoli się rozpadała. Pod wpływem ruchu gwoździe zaczęły wychodzić z drewna i znalezionym kawałkiem metalu próbowano je osadzić z powrotem na miejscu. Tak było do świtu. W huku wzburzonego morza słychać było płacz i słowa modlitwy. Rankiem sztorm ustał.

Samolot ponownie odszukał „Palapę” Tym razem była osiemdziesiąt pięć mil morskich od wyspy i wciąż się od niej oddalała. Kiedy uchodźcy zobaczyli awionetkę, uznali, że Australijczycy nie wiedzą o ich tragedii. Na znalezionych naprędce kartonach wypisali wielkimi literami dwa słowa: „Help

i „sos". Urzednicy, którzy otrzymali raport o wezwaniu pomocy z „Palapy" próbowali go jeszcze raz przekazać Indonezji. Późniejsze dochodzenie wykazało, ile minut zajęło podjęcie każdej decyzji. Dwadzieścia minut trwało wysyłanie faksów i próby telefonowania do Dżakarty z informacją o tonącej łodzi. W końcu wysłano komunikat, który odebrały wszystkie jednostki w rejonie. Brzmiał mniej więcej tak: „Trzydziestopięciometrowa indonezyjska łódź z ponad osiemdziesięcioma osobami na pokładzie dryfuje - tu podano długość i szerokość geograficzną. - Łódź ma na dachu wypisany komunikat »sos« i »Help«" I tak sygnał, który mógł być wysłany już osiemnaście godzin wcześniej, odebrał norweski frachtowiec „Tampa". Po kilku godzinach rozpoczęto akcję ratunkową. Na pokład ku zdziwieniu załogi „Tampy" weszło nie osiemdziesiąt, ale ponad czterysta osób. Po drabinie spuszczonej w dół do tonącej „Palapy" wspinały się kolejne zastępy zmęczonych i przerażonych ludzi. Kapitan Arne Rinnan, relacjonując po czasie akcję ratunkową, powiedział: „Wysłano samolot, który pilotował nas do tonącej łodzi. Na miejscu okazało się, że mogła zatonać w każdej chwili, coraz szybciej nabierała wody. Aby usprawnić ewakuację, kazaliśmy im pozostawić bagaże. Wielu uchodźców było tak wyczerpanych, że nie mogli ustać na nogach. Wprowadzeni na pokład przewracali się, około dwunastu osób było w trakcie akcji nieprzytomnych. Mnóstwo ludzi miało biegunkę, była tam również ciężarna, którą dostała silnych bólów porodowych".

Frachtowiec „Tampa" ruszył w kierunku indonezyjskiego portu Merak. Na mostku pojawiła się jednak delegacja pięciu mężczyzn, którzy zażądali zmiany kierunku i wysadzenia grupy na Wyspie Bożego Narodzenia. Byli agresywni, krzyczeli, tłumaczyli, że są blisko upragnionego azylu i nie pozwolą, aby po tak ciężkich przejściach wrócić znów do Indonezji. Mówili, że nie mają nic do stracenia. Rinnan skierował „Tampę" w stronę wyspy.

Rinnan: „Wiele widziałem podczas dwudziestu trzech lat pracy kapitana, ale to, czego doświadczyłem tamtego dnia, było najgorszym, co mi się przytrafiło. Kiedy poprosiliśmy przez radio o żywność i leki dla wycieńczonych uchodźców,



Australia przysłała nam na pokład komandosów. Przez kilka godzin rewidowali grupę. Dopiero potem pomogli paru osobom szczególnie wymagającym opieki medycznej. Widać było, że misja im nie leży".

Gdy „Tampa” zbliżyła się do granicy wód terytorialnych Australii - około dwunastu mil morskich od wyspy - poprosiła o zgodę na wysadzenie grupy. Ale nie otrzymała jej. Uzasadniając decyzję, minister spraw zagranicznych, Aleksander Downer, powiedział w parlamencie: „To ważne, by ludzie zrozumieli, że Australia nie ma żadnych obowiązków wynikających z prawa międzynarodowego, które nakazywałyby wpuszczenie na jej terytorium ratowanych osób”.

Rinnan bał się płynąć w stronę Indonezji. Grupa była za duża, „Tampa” nie miała wystarczającej liczby łodzi ratunkowych, istniało niebezpieczeństwo, że wzburzony tłum uchodźców może być niebezpieczny dla niewielkiej załogi. W tym czasie na pokładzie znalazła się żywność i leki dostarczone przez Australię, jednak nadal nie wydała ona zgody na wejście na jej wody terytorialne. Po trzech dniach Rinnan stracił cierpliwość. Przez radio nadał informację, że w trosce o życie i zdrowie uchodźców i własnej załogi zdecydował się na wysadzenie grupy na wyspie. Canberra odpowiedziała natychmiast. Wysłała jednostkę sasr - Morskiego Oddziału Szturmowego, grupy do zadań antyterrorystycznych. Każdy

166  
sposób był dobry, by uniemożliwić uchodźcom zejście na ląd, gdzie zgodnie z prawem międzynarodowym mogli zażądać azylu.

Powstała sytuacja patowa. Rinnan odmówił powrotu na wody międzynarodowe, Australia odmówiła okrętowi prawa przybicia do brzegu, Indonezja również. Norwegia, do której należała „Tampa”, przestrzegła Australię przed ponownym wprowadzaniem zbrojnych oddziałów na pokład jej statku. Odrzuciła także propozycję przyjęcia uchodźców do siebie, tłumacząc, że nie przeżyliby oni tak dalekiej podróży.

W Canberrze tego samego dnia John Howard zaprezentował dokument, który dawał rządowi prawo usuwania z wód terytorialnych ludzi i statków siłą. Rinnan został uznany za przemytnika ludzi.

Wieść o kryzysie obiegła świat, który podzielił się na krytyków i zwolenników nieugiętej postawy Australii. Potępiły ją liczne państwa oraz organizacje praw człowieka. W gronie krajów, które ją poparły, znalazła się Wielka Brytania, również zmagająca się z problemem uchodźców.

Uchodźcy z „Tampy” ostatecznie podzieleni zostali na dwie grupy. Jedną z nich przerzucono do Nowej Zelandii, która zgodziła się przyjąć emigrantów, a w trakcie drugiej wojny w Afganistanie w roku 2004 udzieliła azylu również ich rodzinom uciekającym z kraju ogarniętego wojną. Druga grupa, znacznie większa, osadzona została na wyspie Nauru, gdzie dołączyła do innych imigrantów przebywających w obozach przesiedleńczych. Część z nich w roku 2004, a więc po trzech latach spędzonych na wyspie, uzyskała status uchodźcy. W sierpniu 2005 roku na Nauru wciąż przebywało trzydzieścioro dwoje uchodźców.

W Alice Springs w centrum miasta jest mały plac, na nim kilka drzew, ławki. Plac nie jest ani ładny, ani duży, ot taki kawałek wolnej przestrzeni. Pod drzewami na ławkach siedzą Aborygeni, dzieje się jak zwykle to samo: bezcelowe przemieszczanie się, teatr ruchu, poszukiwanie papierosów, 167

bezczytność. Odchodzą i pojawiają się na placu po chwili albo po godzinie. Była tam jedna stara Aborygenka i ona w tym ruchu nie uczestniczyła. Siedziała na ławce w cieniu nieruchoma, paląc papierosa, przy jej stopach leżały reklamówki. Był jeszcze pies, mały, rudawy kundel, który spał przed nią na środku chodnika.

Nieopodal placu zatrzymywały się minibusy. Musiał to być zwyczajowy przystanek, bo podjeżdżały, zatrzymywały się na dłuższą chwilę, wychodzili z nich kierowcy, palili, rozmawiali, postukiwali czubkiem buta o krawężnik. A kiedy brzuchy minibusów wypełniały się gęsto usadzonymi, pokornie czekającymi na odjazd pasażerami, ruszali gdzieś przed siebie. Z busów korzystali także Aborygeni. Do jednego z wozów wpakowali się objuczeni siatkami z marketów, zapełnili ciasne wnętrze szczelnie, usadzili jeszcze tam swoje osmarkane dzieci. Potem zastygli w oczekiwaniu. W końcu kierowca usiadł za kierownicą i już miał zamykać drzwi, kiedy z ławki

zerwała się ta starucha od psa i milczenia i szybkim krokiem wsiadła jako ostatnia. Gdy drzwi się zamknęły, jej pies się obudził. Najpierw zdezorientowany obiegł ławkę, próbując wyczuć trop swojego człowieka, potem - musiał być niegłupi - ruszył za busem. Dokładnie wiedział, kiedy kobieta wstała, i potrafił swoim psim mózdzkiem połączyć odjazd tego konkretnego pojazdu z jej nagłym zniknięciem. Bus, wolno się rozpędzając, pokulał się w głąb ulicy, a ten mały biegł i szedł przez raźliwie, klucząc pomiędzy samochodami. Jego głos szybko zniknął w hałasie miasta. Potem wrócił. Szedł zakosami z nosem przy ziemi, węsząc, szukając tego zapachu. Podbiegł do nas, popatrzył, ale w jego oczach nawet się nie odbiliśmy, nie widział nas, ruszył węszyć dalej. Potem, ilekroć obok placu przejeżdżał biały bus, choć trochę podobny do tego feralnego, skowycząc, rzucał się za nim na tych swoich krótkich nóżkach i znów wracał. Potem zginął nam z oczu. Musiał ją bardzo kochać, musieli być ze sobą długo, tak nie zachowuje się pies, który zna człowieka od kilku dni. Dlaczego więc zostawiła go na placu?

168

Ten skwer w Alice, gdzie kobieta porzuciła swojego psa, nazywa się Nishaan-e-Afghan. Właśnie w tym miejscu kiedyś znajdowało się największe osiedle społeczności Afgańczyków w Alice. Był tu nawet meczet postawiony przez pierwszych nomadów. Dziś jest to równy, betonowy plac z ławkami i cieniem kilku drzew. Jest tam jeszcze tablica pamiątkowa z sepiowymi zdjęciami i tekstem, który tłumaczy przechodniom pochodzenie nazwy tego miejsca. Znalazł się tam również taki fragment: „Fakt istnienia afgańskich karawaniarzy w XIX wieku został całkowicie zapomniany i zignorowany w dziejach kolonizacji Australii. Dług wdzięczności nie tyle nie został spłacony, ile nawet nie został uświadomiony pokoleniom, które nadeszły”.

Odsunięci

Pine Creek wygląda jak wszystkie miasteczka północy. Jest ciche, nie ma żadnego ruchu. Żadnych ludzi, żadnych samochodów. Bezruch potęguje rozciągający się przy drodze park zabytkowych urządzeń. Są tam stare maszyny rolnicze - skomplikowane, pełne nitów i pokręteł mechanizmy. Stoją

też ustawione pionowo żelazne baniaki. Wyglądają jak bojler-y łazienkowe na gorącą wodę albo jak rakiety, które nawie-dzały nocą Leonarda da Vinci.

Rakiety-baniaki, które cumują przy wjeździe do Pine Creek, nie są tak żywotne, jak te ze snów Leonarda. Nie żeby nie miały nic do powiedzenia. Całe pokryte są rdzą i w ten spo-sób opowiadają swoją historię. Ta ich chropowata rdza pa-suje do buszu. Busz jest słomkowy, biały, brunatny i zielony. Maszyny, choć zostały stworzone przez człowieka, są teraz gdzieś pośrodku - pomiędzy światem ludzi a naturą. Chwi-lami nawet ich nie widać na tle buszu, jakby kawałek po ka-wałku te żelazne przedmioty odchodziły od ludzi i wtapiały się po cichu w ciało traw, jakby zdradzały świat ludzi na rzecz świata, który nie przemija.

Marzy mi się książka pełna beczek po ropie. Zbiór opo-wieści, których głównymi bohaterkami byłyby beczki. Całe Terytorium Północne usłane jest setkami, tysiącami beczek znajdujących się w najbardziej nieoczekiwanych miejscach. Wykorzystane, wydojone z cennego płynu, dawno już przeszły 170

w wyższy stan istnienia. Są nieodłącznym elementem wsi po-rzuconych na pustkowiach. Zamienione na koksownik, część konstrukcji podtrzymującej dach garażu albo bardzo prak-tyczną półkę, pełnią swoją drugą powinność.

Pamiętam taką jedną beczkę stojącą na odludziu gdzieś na granicy Australii Zachodniej, z nazwą wsi wypisaną białą farbą i strzałką skierowaną wprost w wąską dróżkę, której koniec zniknął w zieleni. Gdzieś tam tliło się powolne, tajem-nicze życie. Ale przy beczce to nie miało znaczenia. Była tylko ona - stalowa beczka po ropie otoczona wielką przestrzenią, tak wyraźna, tak rzeczywista, że wydawało mi się, że można się z nią zaprzyjaźnić.

Zniszczone, zardzewiałe przedmioty szybko stają się częś-cią buszu otaczającego każdą wieś. Wystarczy wejść kawałek w zielen. Zawsze trafi się na wrak samochodu, rury, resztki konstrukcji, szkielety dawno zarzuconych projektów. Są nie-mal niewidoczne. Zarośnięte trawą. Każdy taki okaz kiedyś zaczęła toczyć rdza. I znów ta nieuchronność: przedmiot zmie-nia się, coraz bardziej przypomina swoje otoczenie. W końcu

znika. Jednoczy się z naturą. Tak jak oni.

Ta wieczność przedmiotów jest fascynująca. Ich życiorysy przecież nigdy się nie kończą. Większość z nich nie umiera. Raczej przechodzi w inne stany użyteczności. Jest coś jeszcze: jakaś ich nieoczywista głębia, która mówi wszystko o tych dziwnych ludziach używających przedmiotów w nieskończoność. Jestem prawie pewien, że te beczki noszą w sobie nowy ładunek: zamiast ropy - opowieść o pewnym sposobie postrzegania świata Aborygenów: o biedzie, zagubieniu i potrzebie. Jakaś troskliwa ręka dba o park maszyn w Pine Creek. Trawa jest tu przycięta, krawężniki biegną równiutko w dal. Żadnych śmieci. No, kilka w zagłębieniach metalowych kolosów. Paczka po marlboro, puszka po napoju. Wokół maszyn panuje porządek, jakby tym porządkiem chciano oddzielić rdzę od dzikiej natury, która za wyznaczoną pobielonym krawężnikiem granicą schnie, odradza się, umiera i rozkwita jednocześnie.

171

Ale tak naprawdę całe Pine Creek jest przeżarte rdzą. Osada swoją świetność ma już za sobą. „Spokojne miasteczko Pine Creek w latach siedemdziesiątych XIX wieku było świadkiem gorączki złota. Do czasów współczesnych przetrwało z tamtego okresu kilka budynków z drewna i blachy falistej. Miejscowość jest znana wśród ornitologów, ponieważ w okolicy występuje mnóstwo ptasich gatunków” - piszą przewodniki. Pine Creek na naszych oczach powoli jednoczy się z naturą. Stacja benzynowa jest lekko nadgryziona zębem czasu. Baraki z blachy falistej, które kiedyś były piekarnią, rdza przeżera na wskroś. Wewnątrz, w smugach słońca przebijających przez szpary konstrukcji, leżą porozrzucane resztki. Puszki, szmaty. Od razu wiadomo, kto tu był. Kto inny mógł się tu bawić, siedzieć w zaciemnionym, pełnym kurzu wnętrzu? Komu potrzebna jest taka niewygoda? Siedzenie na deskach? Stolik z kartonu po piwie? Przecież kawałek dalej jest zaciemniony bar z chłodnym piwem i wesoło wirującymi pod sufitem wiatrakami. To byli Oni. To Oni bawili się w zabytkowej piekarni. Tylko Oni potrafią cieszyć się wnętrzem takiej rudery. Dla nich stara piekarnia wciąż jest formą praktyczną. Wcale jeszcze nie umarła. Można w niej pić i spać, jest dach, są ściany. To żaden problem, że ściany są pełne dziur. Stara

piekarnia nadal przecież żyje, wciąż może do czegoś służyć. Wypełnia postulat istnienia wiecznego.

Najżywsze jest rozwidlenie dróg, w pobliżu którego miasteczko osiadło. W lewo nitka prowadzi do Oenpelli, prosto - do Katherine. Na drodze samochody pojawiają się co kwadrans. Może trochę rzadziej, a może częściej. Niektóre się zatrzymują. I to już jest atrakcja. Ale nadal jest martwo. Stacja benzynowa nieczynna, w sklepie spożywczym pana Ah Toy jest pusto. Sam pan Ah Toy jeszcze pogłębia ciężką, opitą słońcem ciszę. Mówi cicho, niemal szeptem. Kiedy słucha - słucha z uwagą. Kiedy się wita lub żegna, robi to starannie. Tak, to jest najlepsze słowo - starannie. Asfalt przed sklepikiem pana Ah Toy przyjałby ze spokojem nawracającą ciężarówkę.

172

Pan Ah Toy ma azjatyckie rysy i jest już starszym człowiekiem. Przed południem dogląda sklepu, potem idzie gdzieś aleją drzew. Jest drobny i nosi dokładnie wyprasowaną koszulę. Uśmiecha się dobrotliwie. Spogląda zza okularów oczyma, które wiele widziały. Słucha i potakuje, ale nic już nie jest w stanie zmącić jego widzenia świata, nic nie przeszkodzi mu w prostej wędrówce po drodze, którą poszli jego rodzice i dziadkowie. Rodzina pana Ah Toy od pokoleń mieszka w Pine Creek i prowadzi sklep spożywczy. Po swoim dziadku Ah You, który sto lat temu przybył na te tereny, powtarza: „Jeżeli mieszkasz gdzieś, działaj na rzecz tego miejsca”. Pan Ah Toy wypełnia więc swój obowiązek. Jest w tym wytrwały. Dwa miesiące po opuszczeniu Pine Creek znalazłem gazetę, w której było zdjęcie pana Ah Toy. Został uznany człowiekiem roku Terytorium Północnego.

Kobieta, która pojawiła się w sklepie pana Ah Toy, zastygła przy kasie. Chce dostać towar na kredyt. Jej czarne dłonie opierają się na blacie. Drobna dziewczyna, może córka, a może wnuczka Ah Toy, patrzy w skrecone rachunki, coś notuje. Na kobietę nie zwraca uwagi. Klientka nie daje za wygraną. W ciszy co chwilę słyhać jej mechaniczne: „No, daj... no, daj... no, daj”. Mówiąc to, patrzy gdzieś w dal, przez okno sklepu na asfalt, zupełnie oddzielona od tego, co dzieje się przy kasie, oddzielona nawet od swojej prośby.

Byli za barakiem, który kiedyś służył jako warsztat taboru ko-

lejowego. Ten barak stawiali chińscy robotnicy zatrudnieni przy budowie linii kolejowej łączącej Palmerston, dzisiejsze Darwin, z Pine Creek. W 1880 roku, kiedy rząd australijski zdecydował o połączeniu obu ośrodków, Pine Creek tętniło życiem, złoto wydobywano na potęgę, a droga łącząca miasta po ulewach stawała się niechętna podróżnym. Znikała nagle, okrywała się błotem. Budujmy więc kolej - zapadła decyzja. W końcu przyszłość osady miała być barwna i dynamiczna. Pociąg kursował na tej linii do 1976 roku. Czego nie mogła dokonać ulewa, dokonał cyklon Tracy. Pod koniec swoich 173

dni kolej docierała do sennego Pine Creek, którego dawna świetność zapisana była w rozpadających się budynkach. Siedzieli na ziemi, obłożeni puszkami po piwie Victoria Bitter. Nie wyglądali ani na zasmuconych swoim piwem, ani na agresywnych. Rozmawiali i głośno bekali. Było ich czterech: dwóch młodych, na oko dwudziestoletnich, we flanelowych koszulach w kratę, jeden w średnim wieku i siwy jak gołąbek dziadek w rozchełstanej zielonej koszuli odsłaniającej chudą pierś. Zaprosili do siebie na trawę i poczęstowali piwem. Przybili piątkę na powitanie, przedstawili się. Imion nie pamiętam, ale pamiętam te szeroko otwarte oczy, ciemne, prawie zupełnie czarne. I uśmiech. Szybko przeszli do konkretów. Chcieli, żebym im pomógł. Kiedy skończą ten karton piwa, a większość z trzydziestu kilku puszek była już wypita, będą chcieli iść do baru. Dzisiaj w barze jest zabawa. Ale jest problem, bo w barze biali nie chcą im sprzedawać alkoholu.

- Jest zakaz sprzedawania piwa, bo ponoć za dużo pijemy - wyjaśnił ten w średnim wieku.
- Nie zostanę z wami do wieczora.
- Nie bój się, znajdziemy cię.

Puszki zgniatali z siłą namiętności, z ciepłym trzaskiem metalu.

Potem siedziałem z nimi jeszcze chwilę, a kiedy nastał wieczór, spotkałem ich tam. W knajpie o dwudziestej trzeciej ledwie pulsowało życie. Dwóch młodych niewidzącym wzrokiem patrzyło gdzieś przed siebie, zataczali się. Ten średni, chyba ich ojciec, w jakimś widmowym napadzie energii podskakiwał w miejscu, wysoko unosząc nogi, i coś do siebie krzyczał.

Dziadek siedział przy stole, z głową melancholijnie opartą na dłoni. Palił. Byli zdziesiątkowani alkoholem. Żaden z nich mnie nie poznał, choć nasze spojrzenia kilka razy się skrzyżowały. A w tych oczach nie było już ogników popołudniowego podpicia. Był ciężar pół jawy, pół pijaństwa. Stali pomiędzy parkietem, na którym tańczyło kilka par, a barem, przy którym siedzieli biali. Wyglądali na zawieszonych w działaniu, rozpaczliwie chcących wykonać jakiś ruch, ale zbyt pijanych, 174

by zrobić pierwszy krok. Byli w półmroku. I tak już będę ich pamiętał. Jako ukrytych, odsuniętych na bok.

Kiedy jeszcze siedzieliśmy za budą, w której niegdyś naprawiało się wagony, jeden z młodych pokazał mi gips, którym miał obłożoną lewą rękę.

- Prawdziwy gips. Zakładali w szpitalu. Nie bolało. Nie lubię szpitala.

- Co się stało?

Reszta się śmiała, a on spuścił oczy i dopiero po chwili, namówiony, wstydliwie opowiedział. Tydzień temu z ich wsi, położonej niedaleko Pine Creek, pojechali na polowanie. Strzelali z dachu furgonetki i kiedy on strzelił, poślizgnął się i poleciał na głowę w dół. Walnął w maskę i spadł na ziemię.

- To nie dlatego że nie umiem strzelać. Jestem dobrym myśliwym, umiem strzelać, ja się po prostu poślizgnąłem.

Jego towarzysze kładli się na trawę i wyli ze śmiechu. A potem, kiedy już zapadło milczenie, on, jakby chcąc rewanżu za to swoje odsłonięcie się, mówi do mnie: „Now, tell meya story, bro”. Teraz ty opowiedz mi twoją opowieść. A ja nie wiedziałem, co mu powiedzieć, jaką historię sprzedać, i kiedy wyznałem, że nie wiem, co mam opowiedzieć, jeden z nich stwierdził, że to niemożliwe, że każdy człowiek ma swoją opowieść. Coś opowiedziałem, jakąś historię na zamówienie, ale i oni, i ja wiedzieliśmy, że przegrałem ten pojedynek. I teraz przyszedł chyba czas, żeby spłacić tamten dług. Dług, który zaciągnięty został za barakiem taboru kolejowego w Pine Creek.

To było w Menngen. Rozbiliśmy namiot koło starego biura, które było dziś barakiem z powybijanymi szybami. Wewnątrz walały się połamane meble i książki dla dzieci, najprawdopodobniej służące szkole, której dziś już w Menngen nie było.



Wybraliśmy miejsce oddalone od centrum wsi, żeby nie niepokoić mieszkańców naszą wizytą. W nocy przychodziły dzikie konie. Żyły gdzieś w buszu, ale pozbawione wody pomimo strachu zaglądały do wsi. W dzień widać je było w cieniu drzew kilkaset metrów od pierwszych domów. Stały grupkami, chroniąc swoje ciężkie od słońca łby w cieniu koron. Czasem

175  
decydowały się na eskapadę do wodopoju. Na środku wsi z ziemi wystawała rura z kranem. Pod nim w białych pojemnikach oklejonych pomarańczowym błotem stała woda. Konie wiedziały o wodzie, ale nie szły w jej kierunku, bojąc się ludzi. Ich pragnienie jednak wygrywało w końcu ze strachem. Ruszały powoli, rozglądając się, przystając całą grupą na widok każdego człowieka. Stawały bokiem dla niepoznaki, jakby chciały pokazać, że idą w zupełnie inną stronę. Przez cały czas obserwowały jego ruchy, a kiedy zniknął, szły dalej, krok za krokiem, jak saperzy na zaminowanym terenie. A potem, gdy wchodziły kopytami w grząskie czerwone błoto, zatrzymywały się i powoli, nie spuszczać oczu z ludzi, siorbały chłód. Czasami wody w zbiornikach brakowało i wtedy spragnione wylizywały ich ścianki. Raz w takiej sytuacji pojawił się na placu któryś z chłopaków i kiedy zobaczył, że konie są spragnione, wszedł pomiędzy nie. A one, olbrzymie dzikie konie żyjące w buszu, które tam nie dawały się podejść nawet na dziesięć metrów i uciekały z parskaniem, w którym przewalała się wolność i witalność, dudniąc kopytami przed człowiekiem, rozstąpiły się, pozwalając mu odkręcić kurek. I tak człowiek i zwierzę stali się równi w obliczu pragnienia. Pewnej nocy zbudził nas hałas. To były one. Otoczyły namiot i powoli przechadzały się całym stadem, skubiąc trawę. Były wszędzie. Noc była ciemna, bez księżyca i nawet wyglądanie przez szpary namiotu nic nie dawało. Mogliśmy ich tylko nasłuchiwać. Leżeliśmy z Anią w małym namiocie, w swoich śmiesznych śpiworach, obudzeni, w milczeniu trzymając się za ręce. Nasłuchiwaliliśmy ciszy i tąpnięć, które co pewien czas rozbrzmiewały to bliżej nas, to dalej. Niekiedy któryś z nich rżał i ta cisza, która po tym dźwięku zapadała, mówiła o tym, jaka ta noc była głęboka. Wydawało mi się, że muszą słyszeć moje walące serce. Gdyby się nagle czegoś

wystraszyły - a wystarczyło trzaśnięcie, głos, by spłoszyć je i poderwać całe stado do panicznej ucieczki - pewnie wdeptałyby nas w ziemię. I tak leżeliśmy, a one podchodziły coraz bliżej namiotu i w końcu gdzieś nad naszymi głowami jeden 176

z nich przejechał pyskiem po brezencie i wciągnął powietrze. Potem je wydmuchnął. I był to dźwięk, jaki wydawały farne organy u mojej babki we Wschowie, dźwięk miecha tłoczącego powietrze, dźwięk, który przebijał się w trakcie mszy przez chybotliwe zawodzenie piszczałek organów i biegł astmatycznym westchnieniem ponad ludźmi. A potem coraz bardziej rozzuchwalone chodziły wokół namiotu, zacieśniając krąg, tak blisko, że kopytami zawadzały o linki. A my, leżący na ziemi pomiędzy nimi, byliśmy zdani na ich łaskę i gniew i byliśmy niczym więcej jak drobiną pyłu złożoną po wieczność z dwóch istnień. I wtedy właśnie usłyszałem dźwięk, który wydawały, dudniący rytm kopyt, i dźwięk ten dobiegał nas od dołu, drzeniem samej ziemi. Czułem, jak materia wibruje pod ich uderzeniami, i było to jak bicie wielkiego serca, i ono przechodziło przez nas, i już wiedziałem, że tak wysoko nigdy więcej nie zostaniemy uniesieni, bo to jednostajne głębokie bicie to był właśnie głos ziemi.

I to jest moja historia, bro.

Noty

Rozdział „Tokampini” opublikowany został w „Przeglądzie Powszechnym” nr 12/2006.

Rozdział „Harney, syn starego Harneya” opublikowany został w „Polityce” nr 13/2006.

Książki wykorzystane w tekście:

[s. 25-26] arnold j. toynbee, Studium historii, tłum. J. Marzęcki, Warszawa: piw, 2000, s. 666, 668.

[s. 72-73; 138] manning Clark, Historia Australii, tłum. Katarzyna Bażyńska-Chojnacka i Piotr Chojnacki, Warszawa-Gdańsk: dw Bellona, Marabut, 2004, s. 61; s. 13.

[s. 89] douglas lockwood, We, The Aborigines, Sydney: The Walkabout Pocketbook, 1970, s. 5.

[s.101-104] john pilger, Secret Country, Londyn: Vintage, 1990, s. 23-24.

[s. 114-116] erich fromm, O sztuce miłości, tłum. Aleksander

Bogdański, wstępem opatrzył Marcin Czerwiński, Poznań: Rebis, 2006, s. 26-28.

[s. 136] mircea eliade, Sacrum iprofanum, tłum. Robert Reszke, Warszawa: kr, 1999, s. 15-16.

david marr, maria wilkinson, Dark Victory: The Tampa and the Military Campaign to Re-Elect the Prime Minister, St Leonards: Allen & Unwin, 2003.

philipp A. scherer, Venture of Faith: An epic in Australian Missionary History, Adelaide: Lutheran Press, 1971.

179

Andrzej szyjewski, Religie Australii, Kraków: Zakład Wydawniczy Nomos, 2000.

Richard trudgen, Why Warriors lie down and die, Darwin: Aboriginal Resource and Development Sendces Inc., 2003.

jan wosiTZKY, Bom Under the Paperback Tree: A man's life, Marlston: J. B. Books Pty Ltd, 1999.

Aboriginal Australia & the Torres Strait Island: Guide to Indigenous Australia (praca zbiorowa), Melbourne, Oakland, London, Paris: Lonely Planet Publications, 2001.

Bringing them Home: Report of the National Inquiry into the Separation of Aboriginal and Torres Strait Islander Children from Their Families (praca zbiorowa), Sydney: Human Rights and Equal Opportunity Commission, 1997.

Spis rzeczy

Tokampini.....5

Balanda nie widzą.....18

Czerń.....29

Przypadek policjanta Foelsche'a.....33

\* \* \*.....46

Kropki tworzą obraz.....49

Kukiełki.....64

Pierwszy kamień.....66

Sztuczne domy.....81

Harney, syn starego Harneya.....85

One.....98

Osada, która nie istnieje.....105

Pragnienie przemocy.....108

\*\*\*.....120

List do Uty.....132

To wspólne.....	139
Polowanie.....	141
Kanister i ręka.....	145
Uran i wąż.....	148
Iluminacja.....	157
Kobieta, która zostawiła psa.....	159
Odsunięci.....	170
Noty.....	179

WYDAWNICTWO CZARNE S.C.

[www.czarne.com.pl](http://www.czarne.com.pl)

Sekretariat: ul. Kołłątaja 14, iii p., 38-300 Gorlice

tel./fax +48 18 353 58 93

e-mail: [arkadiusz@czarne.com.pl](mailto:arkadiusz@czarne.com.pl), [mateusz@czarne.com.pl](mailto:mateusz@czarne.com.pl)

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa

tel./fax +48 18 351 02 78, tel. +48 18 351 00 70

e-mail: [redakcja@czarne.com.pl](mailto:redakcja@czarne.com.pl)

Dział promocji: ul. Jaracza 6/5, 00-378 Warszawa

tel./fax +48 22 62110 48

e-mail: [agnieszka@czarne.com.pl](mailto:agnieszka@czarne.com.pl), [anna@czarne.com.pl](mailto:anna@czarne.com.pl)

[ewelina@czarne.com.pl](mailto:ewelina@czarne.com.pl)

Dział sprzedaży: Beata Motyl, MTM Firma

ul. Zwrotnicza 6, 01-219 Warszawa

tel./fax +48 22 632 83 74

e-mail: [mtm-motyl@wp.pl](mailto:mtm-motyl@wp.pl)

Skład: D2D.pl, ul. Morsztynowska 4/7, 31-029 Kraków

tel./fax +48 12 432 08 52

Druk i oprawa: wdz drukarnia lega

Wołowiec 2008

Wydanie 1

Ark.wyd.7,8; ark. druk. 11,5